Piotr Lisiewicz
ZA ODMOWĘ NAMALOWANIA PORTRETU HITLERA ZGINĄŁ W AUSCHWITZ

Hanna Shen
PIEKŁO DZIEWCZĄT I KOBIET Z KOREI PÓŁNOCNEJ

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Cenckiewicz i Rachoń
UJAWNIĄ TAJEMNICE RESETU TUSKA Z PUTINEM

FOT. Z ARCHIWUM JAN MAMON

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #203 06/2023

ISSN 1895-4960

eprasa.pl a63b32ee02

TEMAT NUMERU ▼ 4–18

Ujawnią tajemnice resetu Tuska z Putinem / 4

IDEE ▼ 20–37

Czy chrześcijanin ujarzmi sztuczną inteligencję? / 20

HISTORIA ▼ 38–64

Za odmowę namalowania portretu Hitlera zginął w Auschwitz... / 38

KULTURA ▼ 70–77

Ciotka Bony, warszawska „Sforziada" i Leonardo da Vinci / 70

ŚWIAT ▼ 78–98

Piekło dziewcząt i kobiet z Korei Północnej / 78

Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

Z prof. Sławomirem Cenckiewiczem i Michałem Rachoniem rozmawia Grzegorz Wierzchołowski
Ujawnią tajemnice resetu Tuska z Putinem /4

Ryszard Czarnecki
III RP i Rosja 2007–2015: pochodna relacji Warszawy i Berlina /11

Piotr Grochmalski
Tuska reset z Putinem /12

▶ IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Czy chrześcijanin ujarzmi sztuczną inteligencję? /20

Krzysztof Wołodźko
Naszość, czyli najntisy niepoprawne politycznie /26

Małgorzata Matuszak
Wobec wielkiej krzywdy małego człowieka /29

Józef Pałkiewicz
Czasy pięknych śmierci /32

▶ HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Za odmowę namalowania portretu Hitlera zginął w Auschwitz. Niesamowita historia Marcina Rożka /38

Ewa Polak-Pałkiewicz
Książę kardynał bez koturnów /44

Dariusz Jarosiński
Witolda Jedlickiego wyłom w legendzie „polskiego październikа" /50

Agnieszka Kowalczyk
Obława augustowska 1945 roku /56

Tomasz Łysiak
Rękawica ze złotym lampartem /62

▶ KULTURA

Magdalena Łysiak
Ciotka Bony, warszawska „Sforziada" i Leonardo da Vinci /70

Krzysztof Karnkowski
Klisze na kliszy /74

▶ ŚWIAT

Hanna Shen
Piekło dziewcząt i kobiet z Korei Północnej /78

oprac. Antoni Rybczyński
Jak niemieccy politycy pomogli Putinowi. Czy Niemcy przegapili wojnę? /82

Stefan Czerniecki
„Bezludna wyspa" /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

Antoni Rybczyński
Potomkowie Mahdiego i wagnerowcy, czyli wojna domowa w Sudanie /94

eprasa.pl a63b32ee02

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Tusk i Putin. Tajemnica, którą Polska musi poznać
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Oferma w krainie szulerów
PAPKULTURA 19

Małgorzata Matuszak
Czym jest... dojrzałość
KATECHIZM INTELIGENTA 25

Ryszard Czarnecki
Warszawa–Dakar
CZARNECKO TO WIDZĘ 65

Krzysztof Wołodźko
Łagodna germanizacja? Wymowna lekcja „Mitteleuropy"
DZIENNIK LEKTUR 66

Marek Kalinowski
Londyn gra dla Milesa
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 77

Tomasz Sakiewicz
Spełniona przepowiednia Friedmana
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Tusk i Putin. Tajemnica, którą Polska musi poznać

Dziś wiemy, że premier z PO nie tylko otworzył się na kontakty z Moskwą, lecz także z pełną determinacją o nie zabiegał, ofiarowując zbrodniczemu państwu liczne profity. Przez lata swojego urzędowania szef Platformy nie przedstawił korzyści, jakie Polacy odnieśli z polityki resetu.

Polityka resetu, czyli otwarcia na wszechstronne relacje z Federacją Rosyjską, była pierwszą i najważniejszą decyzją Donalda Tuska po objęciu władzy. Można powiedzieć, iż przewodniczący Platformy wszedł do KPRM przekonany, że układy z Kremlem są jego najistotniejszą misją. Rosja, do której z taką determinacją parł Tusk, była państwem ludobójczym, skrajnie antypolskim i wrogim krajom naszego regionu. Demonstrowała swą postawę tak otwarcie, iż doprawdy trudno było nie mieć świadomości prawdziwego celu jej polityki. Dziś wiemy, że premier z PO nie tylko otworzył się na kontakty z Moskwą, lecz także z pełną determinacją o nie zabiegał, ofiarowując zbrodniczemu państwu liczne profity. Przez lata swojego urzędowania szef Platformy nie przedstawił korzyści, jakie Polacy odnieśli z polityki resetu. Wiemy, iż uzależniliśmy się od rosyjskiej energii w sposób nie tylko dla nas niebezpieczny, lecz także skrajnie kosztowny. Otworzyliśmy przed Federacją drzwi w organizacjach międzynarodowych, utwierdzając przy tym naszą podrzędną pozycję wobec tego państwa i jego relacji z naszym zachodnim sąsiadem i UE. Zrezygnowaliśmy bezpowrotnie z wyjątkowego systemu bezpieczeństwa – Tusk pozbawił Polskę ochrony amerykańskiej tarczy antyrakietowej ewidentnie pod wpływem Putina. Otworzyliśmy Rosjanom drzwi do newralgicznych instytucji państwa odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i straciliśmy prezydenta, ministrów, parlamentarzystów, generałów, szefów centralnych urzędów w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku. Wraz ze śmiercią delegacji reprezentującej Rzeczpospolitą, państwo polskie decyzją ówczesnego szefa rządu dokonało samodegradacji – oddało instytucjom FR realizującym przez lata działania o charakterze ludobójczym pełną kontrolę nad tzw. wyjaśnianiem przyczyn katastrofy lotniczej, dając tym samym Kremlowi prawo kolportowania w świat – jakoby w imieniu władz RP – propagandy na temat tragedii nad Smoleńskiem.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika bardzo dokładnie analizujemy politykę resetu z Rosją, która stała się najważniejszym „osiągnięciem" Tuska, a być może po prostu przepustką do europejskiej kariery. Na łamach „Nowego Państwa" profesor Sławomir Cenckiewicz i Michał Rachoń opowiadają o swoim najnowszym projekcie – serialu dokumentalnym, który najpewniej będzie najbardziej odkrywczą i wnikliwą próbą ukazania opinii publicznej prawdziwego oblicza zbliżenia Tuska z Putinem. ■

W NAJNOWSZYM NUMERZE NASZEGO MIESIĘCZNIKA BARDZO DOKŁADNIE ANALIZUJEMY POLITYKĘ RESETU Z ROSJĄ, KTÓRA STAŁA SIĘ NAJWAŻNIEJSZYM „OSIĄGNIĘCIEM" TUSKA, A BYĆ MOŻE PO PROSTU PRZEPUSTKĄ DO EUROPEJSKIEJ KARIERY.

eprasa.pl a63b32ee02

Serial dokumentalny „Reset", produkcja Telewizja Polska, realizowany przez Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza, oparty jest na obejmującej kilkadziesiąt tysięcy dokumentów kwerendzie w polskich i zagranicznych archiwach różnych instytucji. Kwerendy prowadzone były przez ponad rok. Film konfrontuje dokumenty ze słowami, jakie wypowiadali przed laty autorzy ówczesnej polityki, archiwami prasowymi i innymi otwartymi źródłami. W filmie wypowiadają się eksperci z wielu państw zaangażowanych w przedsięwzięcia, jakie składają się na relacje Polski i Rosji na przestrzeni lat 2006–2014.

eprasa.pl a63b32ee02

Grzegorz Wierzchołowski

Ujawnią tajemnice resetu Tuska z Putinem

Nieznane dokumenty i sensacyjne fakty na temat polsko-rosyjskiego resetu lat 2007–2015 ujawnią w serialu dokumentalnym prof. SŁAWOMIR CENCKIEWICZ oraz MICHAŁ RACHOŃ. Z autorami filmu „Reset", który rzuci nowe światło na polityczny pakt lidera PO z mordercą z Kremla, rozmawia GRZEGORZ WIERZCHOŁOWSKI.

FOT. Z ARCHIWUM JAN MAMOŃ

eprasa.pl a63b32ee02

▶ Czy jest jakiś dokument, jakieś zdarzenie, jakaś decyzja polityczna, które można uznać za początek polsko-rosyjskiego resetu?

SC: Uważam, że pierwszym bardzo wyraźnym sygnałem tego, co ekipa Tuska nazwała później nową filozofią w relacjach z Rosją, jest jego exposé sejmowe z listopada 2007 roku, gdzie pojawia się po pierwsze kwestia ułożenia nowych stosunków z Rosją „taką jaką ona jest", a później – wątek dotyczący tarczy antyrakietowej i kwestii skonsultowania tej sprawy z sąsiadami. W praktyce dotyczyło to konsultacji z Rosją.

Już na samym początku stycznia 2008 roku. Radek Sikorski jako minister spraw zagranicznych udzielił bardzo ciekawego wywiadu prasowego, w którym powiązał kwestię tarczy antyrakietowej – czy sceptycyzmu wobec niej – z kwestią nowych stosunków z Rosją. Sikorski mówił tak: „Pogorszenie relacji polsko-rosyjskich z powodu tarczy byłoby dla nas sporym kosztem w sytuacji, kiedy próbujemy im przywrócić normalność. Nie może być tak, że zostaniemy z tymi kosztami sami". To najlepszy przykład na to, że nowe relacje z Moskwą stanowiły dla ekipy Tuska absolutny priorytet, któremu podporządkowano inne obszary polityki polskiej.

MR: To zdanie Tuska: „Chcemy dialogu z Rosją, taką jaka ona jest" było sygnałem, za którym od razu idą działania o charakterze politycznym i dwustronnym. Natychmiast rząd podejmuje decyzję o kierunkowym zdjęciu weta z kilku spraw, jakie Polska blokowała w relacjach z Rosją jeszcze od czasów rządów Jarosława Kaczyńskiego. *Sensu largo* chodziło o weto do PCA2, czyli takiej wielkiej umowy handlowej pomiędzy Unią Europejską a Rosją, na której zależało i Rosji, i całej UE. Polska utrzymywała to weto przez grubo ponad rok, w reakcji na restrykcje handlowe nałożone przez Rosję na polskie mięso – w związku z tym przez ostatni rok rządów Prawa i Sprawiedliwości nie mogły się rozpocząć negocjacje umowy PCA2 pomiędzy Unią a Rosją. W tej sprawie Putin napisał list do „Financial Times", atakując Polskę. Natychmiast po tym, jak Donald Tusk został premierem, rząd PO-PSL zdjął kierunkowe weto na wejście Rosji do organizacji OECD. To się stało kilka dni po tym, jak Tusk wygłosił exposé, Rosjanie z miejsca pojęli więc, że za chwilę Polska również zniesie weto na umowę PCA2.

Jeszcze w grudniu 2007 roku Ławrow z Sikorskim w Brukseli rozmawiają o wizycie Tuska i Sikorskiego w Moskwie, a w samym MSZ powstaje pierwszy fundamentalny dokument opisujący to, jak polski MSZ, jak polscy dyplomaci, jak polski rząd widzi przyszłe stosunki z Rosją.

SC: Te pierwsze ustępstwa Tuska, o których wspomnieliśmy, czyli sprawa tarczy i porzucenia weta w sprawie PCA2, są swoistym wianem wniesionym przez Donalda Tuska w nową filozofię stosunków z Rosją. Z wianem tym lider PO jedzie w lutym 2008 roku na Kreml na spotkanie z Władimirem Putinem, zapowiadając odejście weta, na czym bardzo zależało oczywiście Rosji, bo paraliżowało ono stosunki handlo-

eprasa.pl a63b32ee02

we, biznesowe i polityczne między Federacją Rosyjską a Unią Europejską. W warunkach wewnętrznych Tusk sprzedaje swoją decyzję jako odejście od rusofobii PiS; to zresztą jest bardzo ważny politycznie aspekt resetu, bo ekipa Tuska wiele razy właśnie tłumaczyła swoje prorosyjskie działania tym, że naprawia rzekome szkody poczynione przez uprzedzony do Rosji czy wręcz próbujący wywołać wojnę z Rosją PiS.

▶ Na ile reset był pochodną polityki niemieckiej wobec Rosji, a na ile autorskim pomysłem Tuska i jego otoczenia?

SC: Nie ulega dla mnie wątpliwości, że polski reset był pochodną polityki Niemiec. Polityka Donalda Tuska była odbiciem, odzwierciedleniem całego przemyślanego kursu strategicznego Niemiec, nie tylko wobec Rosji. Była to, jak bym powiedział, realizacja niemieckiej (a pośrednio i rosyjskiej) koncepcji ułożenia stosunków międzynarodowych, opartej na stopniowej eliminacji wpływów amerykańskich w Europie i nieograniczonym partnerstwie gospodarczym z Rosją. Częścią tej koncepcji uniezależnienia się Niemiec i Unii Europejskiej od Stanów Zjednoczonych były stosunki z Federacją Rosyjską. I właśnie elementem tej układanki była reorientacja polityki polskiej, której dokonał Tusk na przełomie 2007 i 2008 roku. Jeżeli popatrzymy na przykład na całą argumentację Donalda Tuska dotyczącą właściwie tylko kwestii tarczy antyrakietowej – a pamiętajmy, tarcza była koncepcją amerykańską, a nie natowską (bo sojusznicy, w tym Niemcy, zgłaszali wobec niej szereg uwag), i Tusk argumentował zawsze, że alternatywą wobec amerykańskiej tarczy antyrakietowej (w domyśle stałej obecności wojska amerykańskiego w Polsce) jest europejska tarcza antyrakietowa – to on dokładniej podąża za tym kierunkiem polityki niemieckiej, której celem strategicznym, dalekosiężnym jest wyrzucenie Stanów Zjednoczonych z Europy.

MR: Gdybym miał wymienić najważniejsze skutki resetu, to pierwszym chronologicznie na pewno jest właśnie tarcza, to znaczy nie tylko rezygnacja z budowy amerykańskiej bazy w Redzikowie, ale w ogóle wywrócenie globalnego systemu tarczy antyrakietowej w koncepcji, którą od samego początku swojej prezydentury forsował George Bush jr. Tu ważna uwaga. Rozmowy w sprawie tarczy dotyczyły, jak pamiętamy, także Czech. A również w sprawie tego państwa Donald Tusk zachowywał się w sposób absolutnie skandaliczny. Dotarliśmy do dokumentów, pokazujemy je w filmie odtajnione, że czeski premier, będąc w Stanach Zjednoczonych, rozmawia o polskich umowach dotyczących tarczy, a mniej więcej w tym samym czasie premier Tusk w Waszyngtonie unicestwia starania Czechów, torpedując cały wspólny projekt. Mówiąc wprost: działa przeciwko Czechom i przeciw USA, dogadawszy się wcześniej z Rosjanami.

▶ Jednym z kluczowych aspektów resetu była też polsko-rosyjska umowa gazowa, zakładająca uzależnienie Polski od rosyjskiego gazu aż do 2037 roku. W marcu 2008 roku doszło w Ministerstwie Gospodarki do rozwiązania Departamentu Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii. 10 marca 2009 roku Donald Tusk przekazał Ministerstwu Gospodarki instrukcję negocjacyjną na rozmowy z rosyjskim rządem w sprawie dostaw gazu do Polski. W czerwcu 2009 roku wstrzymano realizację projektu Baltic Pipe...

MR: Takim kluczowym momentem, w którym już wszystko jest jasne i klarowne, jest list Donalda Tuska do Władimira Putina z czerwca 2008 roku, napisany po wizycie Tuska w Moskwie, gdzie już też były rozmowy na ten temat. W liście jest napisane wprost, że to wielkie porozumienie z Rosją ma zakładać również, iż Polska będzie kupowała od Putina więcej gazu, że będzie kupowała więcej ropy. Trzeba bowiem pamiętać, że reset w domenie energetyki nie dotyczył wyłącznie gazu, tak jak może się wydawać, lecz w ogóle włączenia całego polskiego systemu multienergetycznego w system rosyjski.

SC: Ta nowa filozofia stosunków polsko-rosyjskich w obszarze energetyki w sposób absolutny wykracza poza kwestię gazową. Mamy tu przecież choćby węzłowy element polityki rosyjsko-niemieckiej, czyli Nord Stream. Co ciekawe – strona polska z Pawlakiem i Tuskiem na czele próbowała z początku bronić koncepcji Jamału II jako alternatywy dla Nord Stream 2, ale Rosjanie wybili im to z głów w czasie rozmów towarzyszących słynnej wizycie Putina na Westerplatte 1 września 2009 roku. Zachowała się – o czym niemal nikt nie wie – notatka z tych rozmów. Dowiadujemy się z niej, że podczas rundy rozmów dotyczącej energetyki zabrał głos Waldemar Pawlak, próbując ratować koncepcję Jamału, ale w pewnym momencie głos zabrał Putin, mówiąc, że na Białorusi rządzi dyktator, nazywa się Łukaszenka i bezpieczeństwo jamalskiej rury stoi w przyszłości pod znakiem zapytania. Putin pytał cynicznie Polaków, czy z takim krajem jak Białoruś można w ogóle planować bezpieczeństwo energetyczne, stąd lepiej położyć rury na dnie Bałtyku. I tak ostatecznie skończyło się bajanie rządu Tuska o alternatywach wobec Nord Stream 2. To początek kapitulacji w tej sprawie.

FOT. MATEUSZ SAWICKI

eprasa.pl a63b32ee02

Wracając do umowy gazowej. Jesienią 2009 roku w KPRM Maciej Woźniak pisze notatkę, alarmistyczną w tonie, do Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska o tym, że w formule, którą wynegocjował Waldemar Pawlak, umowa gazowa nie może być absolutnie parafowana, bo jest po prostu niebezpieczna dla Polski i Unii Europejskiej. Pomimo tego, że ten raport Woźniaka powstał i został wysłany, Rada Ministrów w lutym 2010 roku przyjmuje wersję Pawlaka, przeciw której zaprotestuje (na szczęście dla nas) Komisja Europejska. Ale jeszcze raz podkreślmy: „resetowy" pakiet energetyczny dalece wykracza poza Nord Stream 2 i umowę gazową. Proszę sobie wyobrazić, że już przed 2010 rokiem, a potem zresztą także po katastrofie smoleńskiej, Donald Tusk wprost mówi o tym, że Polska jest bardzo zainteresowana tym, by w obwodzie kaliningradzkim powstała elektrownia atomowa (Bałtycka Elektrownia Atomowa), bo moglibyśmy stamtąd kupować energię. W tej sprawie PGE prowadził zresztą rozmowy z rosyjską spółką Inter RAO, w której doradcą prezesa był wówczas niejaki Władimir Ałganow.

▶ Właśnie. Dochodzimy tu do pytania: kto był inspiratorem resetu na poziomie służb specjalnych? Czy premier Tusk, czy też postkomunistyczne środowisko służb specjalnych, przed którym otworzono wtedy szeroko drzwi do wszystkich struktur państwa?

SC: Za służby specjalne odpowiada premier osobiście – a wtedy było to jeszcze wyraźniej określone pod względem proceduralnym niż dziś. To po pierwsze. Po drugie: wszystkie kwestie dotyczące tak zwanego resetu w zakresie umów ze służbami rosyjskimi musiały uzyskać akceptację premiera i dotyczy to także umowy Służby Kontrwywiadu Wojskowego z FSB z 2013 roku. Oczywiście tych inicjatyw było więcej i nie ograniczały się one do SKW, choć – tak jak się wydaje – w tym przypadku rozwinęły się najpełniej. A więc nawet przynależność Polski do struktur Paktu Północnoatlantyckiego nie przeszkadzała służbom Tuska w prowadzeniu rozmów z Rosjanami. Była to sytuacja kuriozalna, wyglądająca zupełnie inaczej niż to, o czym mówił generał Janusz Nowak w wywiadzie z Robertem Zielińskim, jakoby to było naturalne, jakoby Amerykanie parli do tego, byśmy nawiązali współpracę służb specjalnych z FSB, a współpraca informacyjna z Rosją była czymś koniecznym i oczywistym dla sojuszników NATO. Dziś te sprawy są przedmiotem kampanii dezinformacyjnej, które po raz pierwszy staramy się pokazać opinii publicznej.

▶ Planowano też szeroko zakrojoną współpracę wojskową między Rosją a Polską. Jej projekt został przygotowany 22–24 marca 2010 roku, a więc kilkanaście dni przed katastrofą smoleńską.

SC: Te działania były wręcz nieprawdopodobne. Umowa ta miała zakładać wspólne ekspedycje wojskowe, ale była tylko częścią większego planu, który zakładał odtworzenie współpracy w dziedzinie zakupu broni, szkolenia żołnierzy w rosyjskich uczelniach, wizytacji i wykładów rosyjskich generałów w Akademii Obrony Narodowej, a nawet rozpoznania funkcjonowania polskiej armii aż do poziomu brygady – obserwacji ćwiczeń, zapoznania się z systemem szkolenia, dowodzenia, prowadzenie „operacji wspierania pokoju i reagowania kryzysowego" itd. Choć ostatecznie współpracy tej nie sformalizowano, to mamy liczne przykłady wieloaspektowego otwarcia się na współpracę z Rosją, co pozwala nam stwierdzić, że poziom penetracji informacyjnej polskiego wojska przez Rosjan został zainicjowany.

MR: Dziennikarze „Gazety Polskiej" i „Nowego Państwa" pisali bardzo wiele o tych sprawach i powiem tak: wszystko to, co było tematem naszych przypuszczeń czy publikacji, które pojawiały się na przestrzeni lat w „GP" czy „NP", okazało się idące dużo dalej, niż nam się wydawało. Wszyscy znamy sprawę Tomasza Turowskiego, który został przywrócony przez Sikorskiego do dyplomacji przed katastrofą smoleńską, ale przeglądając nieznane wcześniej dokumenty, doszliśmy do wniosku, że obecność Turowskiego na tym stanowisku, w tym miejscu, gdzie zajmował się przygotowywaniem Smoleńska, nie była przypadkowa. Ludzie o życiorysie bliźniaczym do życiorysu Tomasza Turowskiego – w kwestii ich miejsca w komunistycznych służbach specjalnych, a później w służbach III RP – byli wówczas rozmieszczani w strukturach państwa metodycznie. Natrafiliśmy zresztą na osobę, którą z powodzeniem można nazwać „drugim Turowskim", ale o tym opowiemy w filmie.

▶ Wyjątkową postacią, jeśli chodzi o reset, był też Jarosław Bratkiewicz, dyrektor Departamentu Wschodniego MSZ (od grudnia 2007) i dyrektor polityczny MSZ (od listopada 2010 do 2015). Czy był on architektem, czy też „tylko" gorliwym wykonawcą resetu?

SC: Zdecydowanie jednym z architektów. Czekał niejako na swoje pięć minut w historii. Zawsze zajmował się Rosją, jako młody człowiek wybrał pod koniec lat 70. studia w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO) – zaznaczmy: nie został tam wysłany przez MSZ, tylko taki miał pomysł na życie. Jego sposób myślenia, pogląd na Rosję, specyficzne sformułowania językowe łatwo dostrzec w wielu dokumentach

eprasa.pl a63b32ee02

MSZ z okresu „resetu". To piętno było tak wyraźne, że dziś bez trudu jestem w stanie pokazać, które z artykułów Radosława Sikorskiego są współautorstwa Bratkiewicza. Pojęcia, którymi szermował, skandaliczna periodyzacja relacji polsko-rosyjskich w przeszłości, koncepcje głębokiego resetu z Kremlem, wynurzenia, że Rosja nikomu nie zagraża i nie planuje podbojów, że rysuje się perspektywa pokoju w relacjach z Moskwą, że Rosja jest na trwałej ścieżce modernizacji, lansowanie rosyjskiej kombinacji polegającej na przeciwstawieniu Miedwiediewa i Putina – tym wszystkim Bratkiewicz zapłodnił MSZ i nie tylko departament zajmujący się Wschodem.

MR: I zostawił po tym tak wiele śladów, że z samych notatek, z samych dokumentów stworzonych przez Jarosława Bratkiewicza, przez niego albo sygnowanych, albo akceptowanych, albo przygotowywanych na potrzeby ministrów i wiceministrów, można zbudować cały obraz koncepcji, którą później realizowali Radosław Sikorski i Donald Tusk. Jarosław Bratkiewicz w każdej z fundamentalnych decyzji „resetowej", albo prawie każdej, miał swój udział, przynajmniej w warstwie tworzenia dokumentów, a tworzył dokumenty najbardziej kontrowersyjne.

▶ Czy niektóre aspekty resetu nie wywołały u naszych sojuszników z NATO niepokoju?

SC: Faktycznie w Ministerstwie Obrony Narodowej odnalazłem przekrojową notatkę z 2012 roku dotyczącą tego, jak nasi sojusznicy patrzą na zaangażowanie Polski w reset. W dokumencie jest mowa o tym, że zaniepokojone resetem są takie kraje jak Litwa, Wielka Brytania czy po części Czechy, natomiast pozytywnie odbierają to Niemcy i Francja. Z kontekstu tej notatki wynika też, że coraz bardziej krytyczna do takiej wersji resetu jest administracja Obamy. Ciekawe są też raporty z Ambasady Polskiej w Moskwie po 2010 roku, które spływają do centrali MSZ. Pojawiają się tam informacje o tym, że dyplomaci krajów zachodnich, nasi sojusznicy, m.in. z krajów bałtyckich, próbują rozeznać się wśród polskich dyplomatów, jak Polska podchodzi do katastrofy smoleńskiej i jak traktuje Rosję po 10 kwietnia 2010 roku. Innymi słowy, na ile polityka resetu ulegnie jakiejś korekcie po tym, co stało się w Smoleńsku. I dyplomaci ci są zaskoczeni, bo korekta, owszem jest, ale polega ona na jeszcze większej intensyfikacji kontaktów z Rosją i na pogłębieniu zaufania, a więc i resetu.

▶ Co przede wszystkim zmieniło się po katastrofie smoleńskiej?

MR: Kluczowe było dołączenie dodatkowego elementu, jakim był Bronisław Komorowski i jego bezpośrednie relacje z Rosjanami, wszystkie te późniejsze wizyty przedstawicieli służb Kremla w Polsce, spotkania gen. Nikołaja Patruszewa (sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, wcześniej dyrektora FSB) z szefem BBN gen. Stanisławem Koziejem, wizyty

ROT Z ARCHIWUM JAN MAMOŃ

eprasa.pl a63b32ee02

Patruszewa w Polsce incognito. Jeszcze ważniejsze z punktu widzenia architektów resetu było usunięcie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, z którym – gdy był u władzy – tej prorosyjskiej koncepcji nie można było w pełni zrealizować, bo „przeszkadzał". Pamiętamy słynną tak zwaną wojnę o krzesło i samolot. To nie był spór o prestiż, to fundamentalny spór o politykę względem Rosji. Odebranie prezydentowi samolotu było próbą sparaliżowania jego polityki powstrzymywania Rosji na forum UE. Elementem tej polityki był trwały sprzeciw Tuska wobec „mieszania się" prezydenta do spraw zagranicznych, ośmieszanie i sabotowanie polityki wschodniej Lecha Kaczyńskiego, zwłaszcza w odniesieniu do będących na celowniku Kremla Ukrainy i Gruzji. Po kwietniu 2010 roku ta „przeszkoda" w osobie prezydenta RP została usunięta, więc do resetu mógł zostać włączony ośrodek prezydencki wraz z BBN, a kwestię integracji Ukrainy i Gruzji ze strukturami zachodnimi można było bez komplikacji poświęcić dla całkowitego już zbliżenia z Rosją.

SC: Katastrofa smoleńska oznaczała ostateczny koniec polskiej polityki otwartych drzwi, jeśli chodzi o przyjęcie Gruzji i Ukrainy do NATO, którą realizował i której międzynarodowym gwarantem był prezydent Kaczyński. To była polityka w zasadzie otwarcie zwalczana przez rząd Donalda Tuska. W TVP pokazałem kiedyś pochodzący z maja 2010 roku „materiał informacyjno-tezowy" przygotowany na spotkanie Kozieja z Patruszewem w Moskwie. Czytamy w nim: „W myśl polityki zagranicznej rządu Donalda Tuska dialog z Rosją («taką, jaka ona jest») podporządkowany został wzmocnieniu pozycji Polski na forum UE («powrót do europejskiego mainstreamu»). Poza tym wyhamowanie procesu rozszerzenia UE i NATO po sierpniowym konflikcie rosyjsko-gruzińskim z 2008 roku i wyborach prezydenckich na Ukrainie na początku 2010 roku odsunęło spór o geopolityczną przyszłość byłych republik radzieckich, który zadrażniał stosunki polsko-rosyjskie, na dalszy plan". Polska przestała więc świadomie być międzynarodowym adwokatem państw, które chciały wyzwolić się od wpływów Moskwy.

Chcę powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy: o próbach przeformatowania polskiej pamięci. Pamiętajmy, że 2010 rok to apogeum, jeśli chodzi o oddolną, społeczną fascynację polskiego społeczeństwa Żołnierzami Wyklętymi i antykomunistyczną konspiracją po 1944 roku. W tym właśnie momencie, od razu po katastrofie smoleńskiej, następuje próba – jak to ujęto w jednym z ówczesnych dokumentów BBN – rewizji stosunku Polaków do Armii Czerwonej. Przecież cała ta akcja określana przez „Wyborczą" jako „polskie światełko dla Rosjan" nie była spontaniczną inicjatywą Andrzeja Wajdy i arcybiskupa Józefa Życińskiego, czyli agenta SB o ps. „Filozof", ona była starannie przygotowaną operacją, przełożoną m.in. na wielką koncepcję edukacyjną, w której m.in. – przez wytyczne do kuratorium płynące z Ministerstwa Edukacji – zaangażowano dzieci ze szkół podstawowych do czyszczenia grobów czerwonoarmiejców.

MR: Sprawa dotycząca polskiej pamięci, także o Katyniu, była fundamentalna. To zaczęło się na dobre w 2009 roku: przemówienie Władimira Putina, jego wizyta na Westerplatte, artykuł napisany przez niego dla „Gazety Wyborczej", którego główną myślą było przecież obraźliwe zrównanie ofiar Katynia z tym, że bolszewicy, którzy przyjechali najechać Polskę w 1920 roku w Polsce, tutaj zginęli. Czyli owszem, zbrodnia katyńska miała miejsce, ale Polacy mają względem Rosji takie same przewiny.

SC: Polskie władze podjęły tę rosyjską relatywizację, próbując odrzeć zbrodnię katyńską z jej wyjątkowości na tle innych masakr czy tragedii. Głoszono koncepcję końca historii w tej sprawie, że takie tematy jak Katyń zostały raz na zawsze zamknięte w relacjach polsko-rosyjskich. Nieprawdopodobne! Akordem do tego wszystkiego, poprzedzającym i jakby przygotowującym to, o czym mówił i pisał Putin, była kilkumiesięczna batalia w polskim parlamencie o przeprowadzenie we wrześniu 2008 roku uchwały sejmowej zdejmującej ze zbrodni katyńskiej piętno ludobójstwa. Zauważmy: przecież 2008 rok to nie jest żadna rocznica związana z Katyniem, musiało być to zatem działanie polityczne wynikające z jakichś zobowiązań wobec Moskwy. Mało tego: strona polska zadeklarowała – i są na to dokumenty – że w kwestii Katynia nigdy nie będzie występowała do Rosji w formie jakichkolwiek polityczno-finansowych roszczeń. Przeszkodę stanowiło śledztwo katyńskie IPN, którego zamknięcia w ramach resetu w pewnym momencie domagał się Ławrow. To jest różnica, ta przepaść między prezydentem Kaczyńskim, który jadąc do Katynia 10 kwietnia, chce zapowiedzieć polski wniosek do trybunału międzynarodowego w sprawie Katynia, a ekipą Tuska, która zobowiązuje się w relacjach z Rosjanami do tego, że wszystkie skargi, które będą kierowane do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Obywatela przez rodziny katyńskie, nie uzyskają żadnego wsparcia ze strony rządu polskiego. To kwestia symboliczna, ale pokazująca nieograniczony zakres resetu i jego antypolski charakter, a jednocześnie jego nędzę i polityczną katastrofę. Zresztą sami resetowcy Tuska i Sikorskiego, począwszy od 2012 roku zaczynają sobie zdawać sprawę z faktu, że reset zakończył się kompletną klapą. Liczyli jednak, że kulisy ich machinacji nigdy nie ujrzą światła dziennego. Nie tylko w tym się pomylili... ■

eprasa.pl a63b32ee02

Ryszard Czarnecki

III RP i Rosja 2007–2015: pochodna relacji Warszawy i Berlina

Angela Merkel chciała, aby Polacy nie przeszkadzali w efektywnym romansie geopolityczno-gospodarczym rodaków Mołotowa i von Ribbentropa – no to Tusk stawał na głowie, by spełnić warunki Berlina.

Ekipa rządząca Polską w latach 2007–2015 ma świetny pretekst do tłumaczeń, dlaczego jej lider nazywany w rosyjskich mediach „naszym człowiekiem w Warszawie" tak się kleił do ówczesnego premiera Rosji Putina, nazwanego przecież przez Donalda Tuska w rozmowie z Pawłem Płuską w wywiadzie dla TVN 24 „naszym człowiekiem w Moskwie". Oto bowiem platformersi mówią w nieoficjalnych rozmowach, rozkładając ręce: „a co my mogliśmy, skoro Amerykanie zmienili front?". Fakt jest faktem – zaraz po zwycięstwie tandemu Obama–Biden w listopadzie 2008 roku i inauguracji pierwszej po ośmiu latach prezydentury demokratów w Białym Domu w styczniu 2009 roku, USA zaczęły intensywnie forsować reset relacji z Rosją. Problem polega na tym, że ówczesny rząd PO-PSL z tego radośnie skorzystał, nawet nie próbując tłumaczyć Jankesom, że to, co robią, jest sprzeczne z długofalowym interesem Ameryki w regionie. Czesław Miłosz pisał: „Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach". Ówczesny rząd w Warszawie nawet nie próbował być owym „kamieniem", który zmieniłby (choćby chciał zmienić) lawiny z Waszyngtonu. Ba, nawet gdy w drugiej kadencji Obamy od stycznia 2013 roku Amerykanie już bez „Trójkąta Bermudzkiego" – Obama–Biden i sekretarz stanu Hillary Rodham Clinton (a więc bez balastu mającej specyficzne kontakty i sponsorów żony poprzedniego prezydenta – demokraty) – całkowicie zmienili front i zaczęli stopować wpływy Rosji nie tylko w Europie Wschodniej (zdecydowane poparcie dla euromajdanu na Ukrainie), lecz także na Bałkanach, to władza III RP dalej jechała koleinami bliskiej współpracy i z Rosją, i z tymi przywódcami w regionie, którzy byli na rosyjskim pasku. Wielu dziś podkreśla – i słusznie – specjalne relacje Tusk–Putin, ale jakoś mało kto pamięta, niestety, niesłychanie zażyłe stosunki ówczesnego prezydenta Bronisław Komorowskiego z ówczesnym prezydentem Ukrainy – człowiekiem Moskwy – Wiktorem Janukowyczem. Jak były one bliskie, świadczy fakt, że obaj panowie spotykali się z nieprawdopodobną częstotliwością: spotkania oficjalne i nieoficjalne w obu krajach oraz przy okazji różnych międzynarodowych szczytów były tak liczne, że średnia w okresie połowa 2010 – luty 2014 roku wyniosła... jedna osobista rozmowa na miesiąc! To doprawdy wiele mówi – tak jak fakt podobnych statystyk obejmujących osobiste i telefoniczne rozmowy liderów państw Europy z Putinem w latach 2019–2022 (na pierwszym miejscu Macron z 42 dyskursami, na drugim – Merkel z 36). Statystyka jest w takich sytuacjach niczym szkło powiększające.

Z czego wynikał ten reset stosunków Warszawa–Moskwa ze strony Tuska *et consortes*? Z uznania, że „i tak nic się nie da zrobić", czyli przeniesienia do polityki zagranicznej syndromu z polityki wewnętrznej „Donald Nic Nie Mogę Tusk"? Może po części tak. Czy z uznania, że skoro Polska jest „brzydką panną bez posagu", to trzeba płynąć z prądem, czyli zbliżyć się do Rosji? Może po części tak. Jednak główny powód moim zdaniem był inny. Otóż dla Donalda Tuska i jego formacji, oskarżanych w ramach prania wewnątrzpartyjnych brudów przez jednego z byłych liderów PO Pawła Piskorskiego, że pierwsza Tuskowa partia – Kongres Liberalno-Demokratyczny – była finansowana przez Niemców (osławione – i poruszające wyobraźnię – reklamówki z deutsch markami), kwestią kluczową były relacje z Berlinem. Słowo „relacje" to wszak dyplomatyczny eufemizm: chodziło po prostu o bycie pasem transmisyjnym Niemiec. Angela Merkel chciała, aby Polacy nie przeszkadzali w efektywnym romansie geopolityczno-gospodarczym rodaków Mołotowa i von Ribbentropa – no to Tusk stawał na głowie, by spełnić warunki Berlina. Po co? Bo to przecież Frau Kanzlerin decydowała w wielkiej mierze o obsadzie stanowisk w UE....

Stawiam tezę, że polityka zagraniczna RP w czasach rządu PO-PSL była zakładnikiem personalnych ambicji dotyczących unijnych stanowisk zarówno ówczesnego premiera, jak i ówczesnego szefa MSZ. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Tuska reset z Putinem

Piotr Grochmalski

FOT. MAXIM SHIPENKOV/PAP/EPA

Na polecenie Putina przygotowano profesjonalne dossier na temat Donalda Tuska. Wykorzystano jego kompleksy i manię wielkości. Wciągnięto go w intrygę, która zakończyła się największym dramatem i politycznym mordem dokonanym na polskim narodzie po II wojnie światowej. Putin miał go jak na patelni. Testem na niego była słynna historia z propozycją uczestniczenia Tuska w rozbiorze Ukrainy. Pytanie, w ile jeszcze takich pułapek Putin wpuścił go, zanim przygotował grunt do operacji smoleńskiej wzorowanej na mordzie katyńskim – także w sposobie prowadzonej później wojny informacyjnej. Jedno wydaje się widoczne z obecnej perspektywy – od 2010 roku to nie Berlin, lecz Moskwa miały największy wpływ na postępowanie Tuska.

Reset Tuska z Putinem rozpoczął się natychmiast po zwycięstwie PO w wyborach jesienią 2007 roku, a więc dużo wcześniej od ogłoszenia go przez ekipę prezydenta USA Baracka Obamy na początku 2009 roku. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej ówczesny lider FR, Dmitrij Miedwiediew, po wyborze Obamy 5 listopada 2008 roku wygłosił orędzie najeżone antyamerykańskimi akcentami. Pierwszym sygnałem, raczej taktycznym niż strategicznym, że nowa administracja zamierza ocieplić relacje z Kremlem, była propozycja ówczesnego wiceprezydenta Bidena, złożona w lutym 2009 roku w trakcie dorocznej monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, wciśnięcia przycisku „reset". Nie jest więc prawdą, że ekipa Tuska podążyła w ślad za Amerykanami. Idea wywrócenia do góry nogami całej polskiej polityki wschodniej i zdrady naszych strategicznych interesów wobec Kijowa była dziełem człowieka, który uwierzył w swoją wielkość. Liczyła się jedynie kreacja jego osoby. Gdyby nie jego porażająca próżność, tak umiejętnie wykorzystana przez rosyjską dyplomację, historia Polski potoczyłaby się radykalnie inaczej. Widać to jaskrawo na przykładzie jego „dzieła życia", Platformy Obywatelskiej, w okresie gdy utraciła władzę w 2015 roku. Przez te lata PO stała się szczególnym zjawiskiem w europejskiej polityce. Trudno znaleźć drugie ugrupowanie, które z taką determinacją atakowałoby własne państwo w instytucjach Unii Europejskiej. Z pewnością wynika to ze sposobu prowadzenia PO, narzuconego przez jej lidera, Donalda Tuska.

Zapiekły uraz do Kaczyńskich

Prezydent Kaczyński w „Ostatnim wywiadzie" powiedział: „Brak odwagi Tuska będzie nas naprawdę drogo kosztował". W innym miejscu zapytany, czego bał się Tusk – Lech Kaczyński mówi: „Rosjan". Do wyborów w 2005 roku PiS i PO szły jako przyszła koalicja PoPiS-u. Do końca sondaże wskazywały podwójne zwycięstwo PO. Tusk już czuł się prezydentem. Po podwójnej porażce Tuska w 2005 roku, radykalnie przebudował on dalszą strategię. To wówczas tak naprawdę wymyślił koncepcję totalnej wojny na wyniszczenie PiS-u.

Piotr Semka w swojej książce „Lech Kaczyński. Opowieść arcypolska" pisze: „Po latach dziennikarz »Gazety Wyborczej« w Trójmieście Marek Wąs wyznał, że już na kilka dni przed wyborami Tusk, korzystając z o wiele dokładniejszych sondaży niż te, które publikowała prasa, wiedział, że w pierwszej turze wygra, ale w drugiej najprawdopodobniej wyprzedzi go Lech Kaczyński". Piotr Semka przytacza też fragment tekstu Marka Wąsa „Donald – polityk czy leń?" z artykułu z „Gazety Wyborczej" z 25 stycznia 2010 roku. Wąs napisał: „Pamiętam, co mi wówczas (Tusk) powiedział: jeśli nie będziemy mieli i prezydenta i rządu, to wszystko na nic, nic nie da się zrobić". Tak zakończyła się przyszła koalicja PoPiS-u, a zaczęła się historia nienawiści Tuska do tych, którzy odebrali mu rzekomo jego zabawki. W trakcie kampanii wyborczej, jesienią 2007 roku, Radosław Sikorski zapowiedział: „Jeszcze jedna bitwa, jeszcze dorżniemy watahę, wygramy tę batalię". Potem, przy wsparciu niemieckich mediów w Polsce, rozpoczęła się kampania agresji wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Tusk jako premier demolował polską politykę wschodnią. Dążył za wszelką cenę do zbliżenia z Rosją, kosztem relacji z Ukrainą, Litwą i Gruzją. Jak zauważa prof. Andrzej Nowak, „Rosja jest najważniejsza – to hasło rządu premiera Tuska i ministra Sikorskiego sygnalizowało, że Moskwa może szukać w Polsce partnera do swojej polityki. Ale wciąż był prezydent, który reprezentował tę stałą od dwudziestu lat linię polityczną – nie tylko jego, ale długofalową linię polityczną Polski, która stanowiła przeszkodę dla neoimperialnych planów Rosji w Europie Wschodniej".

Tusk i strach

Dla Putina miękki i lękliwy premier jest łatwym przeciwnikiem. Trafił w jego czuły punkt. – Cały czas siedzi w nim ta porażka z wyborów prezydenckich, gdy przegrał z Lechem Kaczyńskim. Donald źle znosi porażki, nikt nie lubi przegrywać, ale na nim odcisnęło to naprawdę duże piętno. Bardzo to przeżył – mówił Jerzy Borowczak, który w czasie wyborów prezydenckich w 2005 roku był w gdańskim sztabie Donalda Tuska. W Moskwie Putin skutecznie rozgrywał polskiego premiera. Założył na niego prymitywną pułapkę. To wówczas, według relacji Sikorskiego, Putin zaproponował po raz pierwszy Tuskowi wspólny rozbiór Ukrainy. Jarosław Bratkiewicz, kierujący wówczas Departamentem Wschodnim MSZ, twierdzi w swojej książce „Eurazjatyzm na wspak", że ekipa Tuska już od początku przejęcia władzy w 2007 roku chciała dokonać radykalnego zwrotu wobec Moskwy. Jak podkreśla: „Przede wszystkim należało w sposób generalny zremanentować dotychczasową – PiS-owską przede wszystkim, ale nie tylko – politykę w odniesieniu do Wschodu". Ten absolwent Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (ukończył ją w 1980 roku, osiem lat po Ławrowie, człowieku, który należał do wąskiego, kilkuosobowego kręgu osób wtajemniczonych w datę agresji na Ukrainę), uważał, że trzeba zdemolować politykę wschodnią opartą na założeniach wypracowanych w emigracyjnym kręgu Giedroycia. W 2008 roku, w notatce odtajnionej w 2017 roku, stwierdził, iż trzeba postawić na Rosję kosztem Ukrainy. Bratkiewicz, w swojej książce opublikowanej w 2021 roku, gdy Rosja intensywnie przygotowywała się do napaści na Ukrainę, stwierdza: „Hasła o wolnej Ukrainie jako rękojmi polskiej niepodległości nie powinno się w dzisiejszych realiach wynosić na ołtarze przezorności geopolitycznej. To już przeszłość". W tym samym czasie gdy ukazywała się książka, Putin

eprasa.pl a63b32ee02

w lipcu 2021 roku opublikował swój plan dokonania ludobójstwa na Ukraińcach, jego Mein Kampf, a Donald Tusk przybył do Polski, by aktywować projekt totalnej opozycji – wymarzony z puntu widzenia rosyjskich planów destabilizacji RP. Owa demolka polityki wschodniej RP, której dokonało PO od 2008 roku, oznaczała radykalne zerwanie ze strategią realizowaną przez kolejne rządy polskie od 1991 roku. Moskwa i Berlin przyjęły te działania z pełnym zadowoleniem i satysfakcją. Ale nawet tam nie spodziewano się, że ekipa Tuska w tak radykalny i nadgorliwy sposób zacznie służyć wzmacnianiu owej osi Berlin–Moskwa. Stanowiła ona śmiertelne zagrożenie dla całego regionu Europy Środkowej.

▶ W tle smoleńskiego dramatu wielki projekt Tuska z Putinem

Jednym z wielkich projektów, które miały uniezależnić Polskę od rosyjskiej ropy, był ropociąg Odessa-Brody. Jego pomysł powstał po rozpadzie Związku Sowieckiego, na początku lat 90. XX wieku. W 1993 roku Leonid Krawczuk, ówczesny prezydent Ukrainy, dał zielone światło do wybudowania terminalu naftowego Pivdenny i rurociągu Oddesa-Brody. Inwestycję sfinansowała sama Ukraina. Została zakończona 5 sierpnia 2002 roku. Bruksela uznała projekt za strategiczny dla egotycznego bezpieczeństwa UE. Brakowało tylko polskiego odcinka do Płocka, a następnie Gdańska. Prezydent Kaczyński przekonał przywódców kilku państw do sfinalizowania tego przedsięwzięcia, które uderzało w interesy Kremla. W styczniu 2010 roku została podpisana wstępna umowa. Jednak po zamachu smoleńskim rząd Tuska spacyfikował ten projekt – w imię resetu. Tuż po dramacie smoleńskim, 13 maja 2010 roku, odbyła się konferencja „Polska-Rosja. Wielkie pojednanie?". A 14 września na Uniwersytecie Warszawskim publicznie pochowano wielki projekt śp. Lecha Kaczyńskiego, ideę Międzymorza, w trakcie nagłośnionej debaty „Stan, kierunki i potrzeby polskiej polityki wschodniej". Bartłomiej Sienkiewicz stwierdził wówczas, dwa lata po wydarzeniach w Tbilisi, że trzeba zarzucić koncepcję aktywnej polityki wschodniej, bo nie mamy sił i środków, aby ją realizować. Jest ona niewykonalna i nieprzydatna. W listopadzie 2010 roku prezydent Komorowski zaprosił na obrady Biura Bezpieczeństwa Narodowego z honorami gen. Jaruzelskiego, który miał doradzać, jak zbliżyć się do Rosji. To w ramach przygotowań do wizyty prezydenta Dmitrija Miedwiediewa – tego, który ostatnio przepowiadał rozbiór Polski. A w lutym 2011 roku BBN gościł Nikołaja Patruszewa. Ten generał KGB, a potem wieloletni szef FSB, został później uznany w 2021 roku przez Europejski Trybunał Praw Człowieka winnym za mord na Litwinience w 2006 roku.

Nie ma bodaj dosadniejszego dowodu poddania polskiej polityki zagranicznej interesom Berlina i Moskwy niż książka Jarosława Bratkiewicza, bo ukazuje ona precyzyjnie mechanizm, jaki spowodował, że Tusk – jak sam o tym ironizuje – jest zamieszany w smoleński zamach. Bratkiewicz jako szef Departamentu Polityki Wschodniej MSW przedstawił 4 marca 2008 roku „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy". Zawierały one zachętę do radykalnego zbliżenia z Rosją kosztem Ukrainy, a więc podważały strategiczne założenia polskiej polityki wschodniej, odwołujące się jeszcze do koncepcji Gedroycia–Mieroszewskiego. Autor przekonywał, że „możliwości ekspansji Rosji w rozumieniu politycznym i gospodarczym – a już tym bardziej militarnym – są dosyć ograniczone", a także że „możliwości wpływania Moskwy (w sensie uzyskania przez nią »specjalnych praw«) na kraje Europy Środkowo-Wschodniej, przynależące do UE i NATO, są znikome lub zgoła żadne". Trzeba więc wykorzystać dziejową szansę i uczynić Polskę wielkim sojusznikiem Berlina i Moskwy w wielkim projekcie modernizacji Rosji i budowania Europy od Lizbony do Władywostoku. Tusk stałby się równy władcom wielkich potęg i wszedłby do panteonu Europy jako wybitny, dalekowzroczny przywódca. Co nie mniej ważne – równocześnie zniszczyłby polityczny dorobek śp. Lecha Kaczyńskiego. To było trafienie w jego najsłabszy punkt. Bratkiewicz pisze: „Powyższe działania, którym siły i pędu dodawały wszystkie poprzednie udane kontakty premiera Tuska z Putinem i ministra Sikorskiego z Ławrowem, zaowocowały przełomową – **dziejotwórczą** [wytłuszczenie – P.G.] można by powiedzieć – decyzją strony rosyjskiej. 3 lutego 2010 roku telefonicznie skontaktował się ze mną Dmitrij Polanski i poinformował, że premier Putin tego dnia zadzwoni do Donalda Tuska; prosił o pilne przekazanie tej informacji do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów". Polanski jest obecnie pierwszym zastępcą stałego przedstawiciela Federacji Rosyjskiej przy ONZ. Bratkiewicz słowa te napisał jedenaście lat po zamachu smoleńskim.

Cała książka pokazuje, dlaczego Kreml użył właśnie jego do tworzenia owej zdumiewająco naiwnej narracji. Bratkiewicz pisze: „W kilka dni po katastrofie napisałem notatkę, którą skierowałem do dwóch tylko adresatów: ministra Sikorskiego oraz profesora Rotfelda...W rzeczonej notatce zawarłem propozycje działań, które podtrzymywałyby ten rozpęd stosunków polsko-rosyjskich, jaki im nadało spotkanie 7 kwietnia i jaki **wcale się nie załamał po 10 kwietnia** [wytłuszcznie – P.G.]".

Bratkiewicz przedstawia siebie jako twórcę formatu królewieckiego, który był efektem owego dalszego zbliżenia Tuska i Putina. Pierwsze spotkanie ministrów spraw zagranicznych RFN, Polski i Rosji odbyło się w Królewcu w 2011 roku, a więc rok po katastrofie smoleńskiej, kolejne w Berlinie w 2012 roku i Warszawie w 2013 roku. Jak pisze autor: „Ostatni zlot Trójkąta Królewieckiego miał miejsce w czerwcu 2014 r. w Petersburgu", a więc trzy miesiące po aneksji Krymu przez FR, która nastąpiła 18 mar-

eprasa.pl a63b32ee02

ca! Bratkiewicz pisze o tym wydarzeniu: „Ministrowie: Ławrow, Sikorski i Steinmeier udali się na rozmowę w swoim wyłącznie gronie. [...] Po ponad godzinie rozmów ministrowie wyszli: Sikorski był posępny, Steinmeier kręcił głową z powątpiewaniem. Trójkąt Królewiecki gasł". Czym był – według autora – ów królewiecki format? „Dla polskich twórców i realizatorów spotkań królewieckich stały się one poletkiem, które unaoczniało stopień zbliżenia, zaufania oraz dyplomatycznej interoperacyjności Polski i Niemiec w obliczu partnera nietuzinkowego i wymagającego jakim jest Rosja".

Bratkiewicz, podobnie jak media niemieckie i rosyjskie, ukazywał spotkanie Tuska z Putinem 7 kwietnia w Katyniu jako wielki, historyczny przełom dokonany przez wielkich przywódców Polski i Rosji. Trzy dni później, gdy na miejscu zamachu na elitę polskiego narodu obejmował się z Putinem, z pewnością miał świadomość, że z tej pułapki, w jakiej się znalazł, nie ma już dla niego wyjścia. Jego los jest bowiem w rękach Merkel i Putina. A Bratkiewicz, ten zdumiewający prorok historycznego przełomu w relacjach z Moskwą, kosztem zdrady interesów Ukrainy, rok przed rozpoczęciem przez Putina największego konfliktu w dziejach Europy od zakończenia II wojny światowej, stwierdzał: „Co dzisiaj grozi strefie UE, to różnego rodzaju ryzyka – sytuacje kryzysowe o charakterze raczej pozamilitarnym (zapaści finansowe, kryzysy migracyjne, terroryzm, gwałtowne wyładowania społeczne na tle religijno-kulturowym, a szczególnie populistyczno-nacjonalistyczne dąsy". Tak nieprofesjonalne oceny wskazują na wielką emocjonalność podejścia do Rosji ze strony owego filaru wschodniej polityki rządu Tuska.

Dowód lojalności Tuska wobec Moskwy

Tusk 4 lipca 2008 roku oświadczył, na specjalnej konferencji prasowej, że Polska nie aprobuje rezultatów rozmów z USA dotyczących tarczy antyrakietowej. Waszyngton wyraził rozczarowanie odrzuceniem przez Warszawę oferty. Cztery dni później umowę w sprawie jej budowy USA podpisały z Czechami. W tym samym czasie Rosja prowadziła ćwiczenia wojskowe w pobliżu Gruzji. W rzeczywistości były one przygotowaniami do agresji, która rozpoczęła się 7 sierpnia 2008 roku. W trakcie toczącej się wojny na Kaukazie, 13 sierpnia w Polsce odbywała się ostatnia runda rozmów z USA na temat tarczy. Świętej pamięci Lech Kaczyński tak mówił o tym wydarzeniu: „[...] Donald Tusk po prostu nie chciał zawarcia umowy o ochronie przeciwrakietowej. On się bał. Miałem z nim zresztą w tej sprawie dramatyczną rozmowę. Była ostra wymiana zdań. Nerwy, kłótnia. A ja byłem przekonany – i nadal jestem – że to była ogromna szansa". Rząd Tuska ostatecznie nie podpisał umowy.

Rok później Rosja zorganizowała ćwiczenia Zachód-2009. W ich ramach przeprowadzono symulowane uderzenie atomowe na Warszawę i operację pacyfikacji Polaków na Białorusi. W 2010 roku strona rosyjska zaproponowała Tuskowi rozdzielenie wizyty prezydenta od premiera w Katyniu. Nie było to trudne. Władimir Bukowski, wielki rosyjski intelektualista, zauważył, że „te podwójne obchody były w interesie zarówno Putina, jak i Tuska. Każdemu z innych powodów, niemniej ten »podwójny« scenariusz był im na rękę". Jego zdaniem ówczesna ekipa Tuska w żaden sposób nie chciała „aby temat Katynia stał na przeszkodzie przyjaznych stosunków z Rosją. Chcieli jak najszybciej doprowadzić do zamknięcia tego tematu w stosunkach dwustronnych. Oni dość jednoznacznie określili swoje cele w polityce wobec Moskwy. Poprawa stosunków jako priorytet, któremu podporządkowane jest wszystko inne. I wychodzili z założenia, że im szybciej »pochowamy« temat Katynia, tym lepiej".

Tusk a Putin

Najbardziej szokuje bodaj w Tusku jego porażający dyletantyzm. W momencie gdy ludzie pokroju Jarosława Bratkiewicza z MSZ, autora radykalnego zbliżenia z Rosją kosztem Ukrainy, przekonywali go do wysadzenia w powietrze żmudnie budowanej konstrukcji w naszej polityce wschodniej, bez namysłu podpalił lont tuż po dojściu do władzy w 2007 roku. Nawet pobieżne zapoznawanie się z raportami dotyczącymi Rosji i Putina powinny wywołać w nim odrobinę refleksji. W lutym 2008 roku pojechał do Moskwy. Była to pierwsza wizyta polskiego polityka na Kremlu od 2003 roku. Nadal wówczas toczyła się ludobójcza wojna w Czeczenii, którą poprzedziła operacja dokonana przez ówczesnego szefa FSB Nikołaja Patruszewa wysadzenia bloków mieszkalnych w Rosji, o co FSB oskarżyło Czeczenów. To wtedy z rozkazu Putina stworzono w tej republice obozy koncentracyjne.

Mamy spektakularną i szokującą rozprawę dokonaną w 2003 roku na Chodorkowskim, w wyniku której chłopcy Putina z byłego KGB dostali do rąk miliardy dolarów, kradnąc tę największą wówczas prywatną firmę w Rosji. W 2003 roku zginął Siergiej Juszenkow, lider opozycyjnej partii Liberalna Rosja (współpracował z Borysem Bieriezowskim, który po konflikcie z Putinem opuścił Rosję, a w 2013 roku rzekomo popełni samobójstwo, ale wcześniej otrzymał od Putina list z groźbą jego śmierci). Otruty został też Jurij Szczekocin, zastępca naczelnego „Nowej Gaziety", współpracownik Memoriału, odważnie krytykujący działania Putina. W lutym 2004 roku agenci GRU zabili w Katarze byłego prezydenta Czeczenii, Zelimchana Jandarbijewa.

Mamy też szokujące wprowadzenie w 2004 roku przez Putina nowego Dnia Jedności Narodowej. Świętowano moment pokonania polskiej załogi na Kremlu w 1612 roku, co miało rozpocząć budowę imperium Romanowów. Putin dawał czytelny znak, że bezpośrednie odwołanie

eprasa.pl a63b32ee02

się do wygnania Polaków ma sygnalizować projekt restauracji nowego imperium. W tym samym 2004 roku Putin próbował otruć Wiktora Juszczenkę, prozachodniego kandydata na prezydenta Ukrainy, który ostatecznie, w wyniku pomarańczowej rewolucji, doszedł do władzy. W odpowiedzi, w marcu 2005 roku, Putin rozpoczął z Ukrainą pięcioletnią wojnę gazową. Mamy odpalenie 25 kwietnia 2005 roku megabomby imperialnej, gdy publicznie prezydent FR ogłosił, że rozpad ZSRS był największą katastrofą geopolityczną XX wieku. W tym samym okresie ludzie Putina zamordowali prezydenta Czeczenii, Asłana Maschadowa. Do dziś rodzina nie wie, co zrobiono z jego ciałem.

W czerwcu 2006 roku rosyjski parlament uchwalił ustawę, która zezwala na mordowanie na Zachodzie tych, których Putin uzna za groźnych dla siebie. Decyzję o takich egzekucjach podejmował sam prezydent. 7 października 2006 roku, w dzień 54. urodzin Putina, zamordowano Annę Politkowską. Śledztwo w sprawie jej śmierci prowadził w Wielkiej Brytanii były agent FSB, Aleksandr Litwinienko. Został zatruty polonem 210. Umarł w męczarniach 23 listopada 2006 roku. Mamy szokujące wystąpienie Putina w lutym 2007 roku na Konferencji Bezpieczeństwa w Berlinie, gdy otwarcie wskazał swoje imperialne cele, które musiały zagrażać polskiemu bezpieczeństwu. Mamy w kwietniu 2007 roku cyberatak na Estonię. Była to pierwsza w historii cyberwojna. Mamy też w lipcu 2007 roku zawieszenie udziału Rosji w Traktacie CFE, filarze bezpieczeństwa europejskiego w obszarze broni konwencjonalnej, i rozpoczęcie programu wielkich zbrojeń. A gdy Tusk już wysadził główne elementy mozolnie budowanej naszej polityki wschodniej, która opierała się jeszcze na założeniach wypracowanych przez środowisko paryskiej Kultury z okresu lal 70. XX wieku, Rosja dokonała agresji na Gruzję.

Jak bardzo trzeba być pozbawionym elementarnych kompetencji politycznych, by nie dostrzegać logiki tych faktów. A przecież to jest jedynie garść wydarzeń z całej lawiny działań Putina, które wskazywały, że zamierza on odbudować imperium i zrobi to tym szybciej, im bardziej Zachód, w tym Polska, mu w tym pomogą. W takim momencie dokonywać zdrady Ukrainy kosztem zbliżenia z Rosją, to wpisywać się w listę tych, których bezpośrednio obciąża agresja na Ukrainę w 2014 roku; i obecna wojna.

Ale jest w tym wszystkim jeszcze jeden szokujący przykład dyletantyzmu. Otóż Tusk nie rozumiał i do dziś tego nie pojmuje, że Putin był wyszkolonym podpułkownikiem KGB. Wiernie służył najkrwawszej, najbardziej zbrodniczej na świecie organizacji. Był wyszkolony do pozyskiwania ludzi do agenturalnej współpracy. Sam zakładał i prowadził siatkę szpiegów w NRD i RFN przed upadkiem ZSRS. Putin nie był politykiem. Był szczególnym typem bandyty mającym znaczną przewagę nad ludźmi takimi jak Tusk. To na polecenie Putina przygotowano profesjonalne dossier na temat polskiego polityka. Wykorzystano jego kompleksy i manię wielkości. Wciągnięto go w intrygę, która zakończyła się największym dramatem i politycznym mordem dokonanym na polskim narodzie po II wojnie światowej. Putin miał go jak na patelni. Testem na niego była słynna historia z propozycją uczestniczenia Tuska w rozbiorze Ukrainy. Pytanie, w ile jeszcze takich pułapek Putin wpuścił go, zanim przygotował grunt do operacji smoleńskiej wzorowanej na mordzie katyńskim – także w sposobie prowadzonej później wojny informacyjnej. Jedno wydaje się widoczne z obecnej perspektywy – od 2010 roku to nie Berlin, lecz Moskwa miały największy wpływ na postępowanie Tuska.

Reset a zwijanie armii

Jasnym sygnałem wysyłanym w stronę Rosji, w ramach resetu, było też zwijanie potencjału obronnego Polski. Tusk musi wysoko oceniać Tomasza Siemoniaka, skoro ten były minister obrony w jego ekipie jest dziś nadal wiceprzewodniczącym PO. Siemoniak w Polsat News stwierdził: – Gdy armia była redukowana po decyzjach w 2009 roku, musiano wiele jednostek, nie tylko na wschodzie, w całej Polsce, połączyć, zlikwidować. To jakby naturalny proces. [...] Zawieszono pobór w 2009 roku, likwidowano różne jednostki, łączono, przenoszono, to jest absolutnie naturalne – powiedział były minister obrony narodowej.

Skala ówczesnego zwijania armii była porażająca – zlikwidowano wówczas 629 jednostek organizacyjnych sił zbrojnych! Wśród rozformowanych formacji było dowództwo 1. Dywizji Zmechanizowanej w Legionowie (dywizja została rozformowana w 2011 roku), a także wchodzące w jej skład jednostki, jak na przykład 1. Pułk Artylerii w Ciechanowie. Były dowódca garnizonu, gen. Piotr Czerwiński, nazwał tę decyzję błędem, uzasadniając, że ma to miejsce „z prawej strony Wisły, z tej strony, gdzie jesteśmy najbardziej zagrożeni". W konsekwencji tej decyzji Polska posiadała jedynie trzy dywizje – 12. szczecińską, 16. pomorską i 11. lubuską. Na kierunku najbardziej zagrożonym agresją pozostała jedynie – na północy – 16. Pomorska Dywizja Zmechanizowana.

Tusk musiał mieć świadomość, iż trzema dywizjami polska armia nie jest w stanie wykonać obowiązków wynikających z polskiej konstytucji (art. 26.: „1. Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej służą ochronie niepodległości państwa i niepodzielności jego terytorium oraz zapewnieniu bezpieczeństwa i nienaruszalności jego granic. 2. Siły Zbrojne zachowują neutralność w sprawach politycznych oraz podlegają cywilnej i demokratycznej kontroli"). Nie były w stanie obronić polskiej granicy. Było to zadanie niewykonalne. A to oznacza, iż Polska nieomal otwarcie prowokowała Rosję do agresji swoją militarną słabością. To porażające, bo w tym samym czasie Rosja zaczynała potęż-

eprasa.pl a63b32ee02

ne zbrojenia. Gdy Tusk pakował walizki, by wyjechać do Brukseli, Putin odbudowywał 1. Gwardyjską Armię Pancerną, ofensywny związek operacyjny, który w czasach sowieckich miał rozjechać gąsienicami Zachód. Teraz, ulokowany w Zachodnim Okręgu Wojskowym, ustawiony był operacyjnie tak. aby główne uderzenie poprowadzić na Warszawę. A budżet wojskowy Rosji wzrastał lawinowo – w 2006 roku wynosił 34 mld dolarów, a w 2008 roku już 56 mld dolarów.

Historia powróciła

To, co ujawnił Donald Franciszek Tusk w trakcie spotkania z mieszkańcami Siedlec 24 stycznia 2023 roku, to przełom pozwalający zrozumieć jego szokującą rolę w polityce Putina wobec Polski. Odbyło się ono dzień po kłamstwie Sikorskiego dotyczącego rozbioru Ukrainy, które propaganda Kremla próbowała rozpowszechnić na cały świat jako rzekomy ostateczny dowód na brudne intencje Polski. Dziennikarz portalu TP Info, obecny na spotkaniu w Siedlcach, zadając pytanie Tuskowi, nawiązał jednak do innej wypowiedzi byłego szefa polskiej dyplomacji. Stwierdził: – Sikorski ujawnił, że 1 września 2009 roku w Sopocie Władimir Putin zaproponował panu rozbiór Ukrainy, a pan nic nie odpowiedział Putinowi. Dlaczego wtedy pan nie zareagował i nie poinformował o tym opinii publicznej ani polskiego Sejmu oraz oczywiście Ukraińców?

Tusk z trudem ukrywał zdenerwowanie. Być może dlatego powiedział za dużo. Stwierdził: „Nie, Radosław Sikorski nie ujawnił rozmowy na sopockim molo, ponieważ mówił o spotkaniu, w którym uczestniczyło, myślę, około 40 osób – dyplomatów ze strony polskiej i ze strony rosyjskiej. I oczywiście w czasie tego spotkania Putin nie proponował żadnego rozbioru Ukrainy, tylko wysuwał takie aluzje, insynuacje, że Ukraina składa się z różnych wątków historycznych, Lwów był polskim miastem i generalnie była to rozmowa, która nie pierwszy i nie ostatni raz podkreślała bardzo lekceważący i niechętny stosunek Putina do Ukrainy jako takiej. Ale nie było w tym nic ani szczególnie zaskakującego, ani szokującego, bo tego typu narracje ze strony Moskwy Putina można było słyszeć także lata później. Nigdy tego nie skrywali".

W kwestii kluczowej Tusk mija się z prawdą. Przypomnijmy – w ocenie Sikorskiego, ówczesnego szefa resortu spraw zagranicznych, świadka tej rozmowy, była to jasna oferta Putina współuczestniczenia Polski w rozbiorze Ukrainy. To nie było towarzyskie spotkanie, lecz badanie KGB-owców, jak zachowamy się, gdy Moskwa przystąpi do działania. „Bardzo lekceważący i niechętny stosunek Putina do Ukrainy" rzucany w twarz polskiego premiera i dwudziestu polskich dyplomatów, bez zdecydowanej i stanowczej jego reakcji, oznaczał przyzwolenie dla planów Kremla wobec Kijowa.

Porażający obraz upadku

W tym, co zdradził Tusk, były premier rządu RP, szokuje szczególnie kilka rzeczy. Przede wszystkim to, że to, co ujawnił Sikorski, miało rzeczywiście miejsce. Poza tym, że te rozmowy o Ukrainie odbywały się w gronie aż kilkudziesięciu osób! Samo w sobie jest to przerażające, bo pokazuje skalę uwikłania całego otoczenia Tuska w tę putinowską narrację. Oto siedzi grono najbliższych współpracowników Donalda T. i wysłuchują knajackich słów Putina pod adresem państwa, z którym graniczymy. Poucza Donalda i jego otoczenie. Dyscyplinuje ich, pokazuje, jak mają postępować z Ukrainą, aby utrzymać dobre relacje z Moskwą. To on panuje, narzuca narrację. A Tusk – według tego, co ujawnił Sikorski – w ciszy i bez jednego słowa protestu wysłuchuje tej tyrady i przyjmuje ją do wiadomości. To wyjaśnia szokujące jego zachowanie teraz. Lider opozycji w jedynym państwie na świecie, które równocześnie graniczy z napadniętą Ukrainą i zbrodniczą Rosją, nie był dotąd w Kijowie! Od początku wojny minie wkrótce 15 miesięcy, a Donald Tusk, który chce rządzić Polską, nie był dotąd w Ukrainie. Moskwa to z pewnością dostrzegła i doceniła tę zdumiewającą manifestację.

Trzy wydarzenia wyjaśniają też zdumiewające zjawisko – propaganda rosyjska jest wyjątkowo łagodna wobec Tuska. Po pierwsze, putinowskie media równocześnie budują histerię wobec Polski i PiS-u. Po drugie, Tusk jest jedynym na świecie liderem państwa, o którym wiemy, że Putin zaproponował mu rozbiór Ukrainy. Po trzecie – to trzeba brutalnie stwierdzić, bez znieczulenia: w Smoleńsku zginęło sześciu polskich generałów – całe dowództwo polskiej armii. W długiej historii NATO żadne państwo Sojuszu nie doświadczyło większej katastrofy. Sąd Okręgowy w Warszawie wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu pułkownika Pawła Plusnina, majora Wiktora Ryżenki i porucznika Nikołaja Krasnokutskiego, którzy 10 kwietnia 2010 roku kierowali ruchem lotniczym na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj. Są oskarżani o umyślne spowodowanie katastrofy w ruchu powietrznym, w wyniku której śmierć poniosła cała 96-osobowa delegacja państwa polskiego. Innymi słowy, sąd III RP oficerów rosyjskiej armii oskarża, w świetle zgromadzonych dowodów, o zamach, którego celem było zabicie elity polskiego państwa. Dziś wiemy, że był to początek realnej wojny Rosji z narodem polskim. Pytanie – jak wiarygodny jest dziś Tusk – w świetle tych twardych faktów i śmierci, za jego premierostwa – elity polskich generałów, gdy zdamy sobie sprawę, że Smoleńsk potraktował jako impuls do pogłębienia resetu z Putinem? Jak należy rozumieć tym kontekście te zdania Donalda Tuska – autoryzowane przez niego i zawarte w książce „Wybór" na s. 177: „Kiedy idę ulicą, myślę czasami, że co piąta osoba, którą mijam, uważa, że być może to ja, do spółki z Putinem, zabiłem prezydenta. A przynajmniej, że jestem w to zamieszany". ■

eprasa.pl a63b32ee02

Marcin Wolski

Oferma w krainie szulerów

W polityce nie ma miejsce na sympatię, są w niej jedynie interesy. Przywódca może być równym gościem, a zagraniczna opinia publiczna być sercem za naszą (akurat przegraną) sprawą, ale wielcy tego świata nawet nie spróbują nam pomoc. Na nic wielowiekowe tradycje, osobiste kontakty, wspólni królowie i wspólne królowe. Znamy historię: Francja porzuciła nas w potrzebie, a Anglia nie postawiła się Stalinowi tylko dlatego, że przystąpiła do wojny w obronie Polski. Owszem, przystąpiła – bardziej markując niż rzeczywiście się angażując, ale głównie dlatego, że wcześniej sama popchnęła Becka na pozycje nieprzejednane tylko po to, żeby skierować Hitlera na Wschód, nie na Zachód, i zyskać na czasie.

I nie trzeba się dziwić jej postawie – dbała przecież o swoje interesy, odwrotnie niż minister Beck z rozdętym ego żyjący w świecie iluzji. Bezinteresowna pomoc zdarza się jedynie w powiastkach dla dorastających panien, w życiu liczy się chłodna kalkulacja. Dlatego można dogadać się z zimnym inteligentnym sukinsynem, jeśli przekona się go, że zrobi dobry interes. Stąd nie wierzę w zapewniania o dobrych intencjach partnerów tylko dlatego, że krajem rządzi ten, kto powinien! Dlaczego inni mają nas bronić, gdy nie bronimy się sami? Zwrot w polityce zagranicznej dokonany po przejęciu władzy w 2007 roku przez Donalda Tuska można oczywiście tłumaczyć działaniami na złość PiS-owi, ale emocje nie powinny zasłaniać głębszych motywów. Czy ówczesny reset stosunków z Rosją mógł wypływać wyłącznie z naiwności i gorączkowej woli płynięcia z głównym nurtem Zachodu? Być lepszym Obamą od Obamy czy Merkelową od Merkel – to było zadanie zaiste bardziej dla dworaka nie polityka. Tym bardziej, że ekipa Tuska zdawała się wyprzedzać poczynania swoich hegemonów, wyraźnie pragnąc awansować na prymusa w kontaktach z Putinem. Obama w obliczu wielu wyzwań światowych mógł wierzyć, że Rosja nie stanowi większego problemu, a związana siatką interesów z Europą z czasem się ucywilizuje. „Nie będą przecież bombardować miast, w których studiują ich dzieci, ani banków, w których trzymają swoje pieniądze". Rozumowanie głupie, choć dla sytego Zachodu zrozumiałe, w wypadku Polski stało się wręcz niebezpieczne! Stulecia bliskiego sąsiedztwa i zaborów nauczyły nas, z kim mamy do czynienia, choć może nie wszystkich. Czy liderzy PO wierzyli, że Rosja zadowoli się korzystnym handlem z Europą, że na zawsze poniechała imperialnych marzeń, które coraz bardziej pobrzmiewały w wypowiedziach Putina? Czy naprawdę uważali, że nie potrzebna jest silna armia, bo w razie czego NATO nas obroni? Nawet jeśli pierwszy rzut moskiewski zajmie Warszawę i Białystok, to front ustabilizuje się na Odrze, a rząd będzie mógł urzędować w jakimś Żaganiu? Jednak sama naiwność nie rozgrzesza, po agresji na Gruzję powinny rozbrzmieć wszystkie dzwonki alarmowe (a odezwały się jedynie kpiny z prezydenta Kaczyńskiego), natomiast po Smoleńsku sytuacja stała się jasna, bo kto jak kto, ale rząd od początku znał albo przynajmniej mógł domyślać się prawdy. Wreszcie po pierwszej agresji na Ukrainę system Putina ostatecznie zdarł maskę cywilizowanego przywódcy. I co? Pojawiły się jakieś refleksje? A skąd! Nadal małpowano Zachód z jego pobłażaniem Rosji, z jego entuzjastycznym stosunkiem do uchodźców, z jego obłędem klimatycznym. Co napędzało taki trend? Kompleksy, strach, uzależnienie. A jeśli tak, to od kogo?

> Po pierwszej agresji na Ukrainę system Putina ostatecznie zdarł maskę cywilizowanego przywódcy. I co? Pojawiły się jakieś refleksje?

Jedynie od Niemiec? Zwłaszcza że cała polityka Berlina przypominała kampanię prowadzoną „pod obcą flagą", mającą na celu odbudowę imperium postsowieckiego w zamian za pomoc Niemcom w konstruowaniu Czwartej Rzeszy (dla zmyłki nazywanej Unią Europejską). Ciekawe, jakie miały mieć w niej miejsce landy dawniej tworzące Polskę, a co ważniejsze – z jakimi granicami: na Bugu czy na Wiśle? Mam nadzieję, że powołana komisja sejmowa przybliży nas do poznania prawdy i dowiemy się, dla kogo (i za ile) tak naprawdę pracowali celebryci III RP. Wprawdzie jest dość późno. Ale lepiej późno niż nigdy! ■

eprasa.pl a63b32ee02

CZY CHRZEŚCIJANIN UJARZMI SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ?

Jakub Augustyn Maciejewski

Istnieją poważne argumenty za tym, że Zachód wyprzedził resztę świata pod względem nauki i techniki z powodu zafascynowania Biblią. A co jeśli cały pęd do rozwoju wynika z konkretnych interpretacji Biblii? I co się stanie z ludzkością, gdy kult nauki pozostanie, ale wiara w Boga już nie?

eprasa.pl a63b32ee02

David F. Noble (1947–2010) nie żyje od półtorej dekady, swoje największe dzieło, „Religię techniki", napisał jeszcze w latach 90., ale jego tezy przetrwały – jak na razie – próbę czasu. Ten historyk nauki z Toronto stwierdził przekonująco, że zachodni naukowcy wszystkich stuleci garnęli się do pracy nad rozwojem technologii i odkrywaniem świata z pobudek religijnych. Szczegółowo przytacza przy tym uzasadnienia myślicieli i badaczy różnych epok, których motywował światopogląd ukształtowany przez Biblię, zwłaszcza przez Stary Testament. Także dzisiejsze najpotężniejsze wynalazki są przedłużeniem wyobrażeń chrześcijańskich: bomba atomowa swoim niszczeniem ma przypominać sceny z Apokalipsy, loty w kosmos – wniebowstąpienie świętych, a stworzenie sztucznej inteligencji – sen człowieka o zabawie w Stwórcę. Monopol Zachodu na prawdziwych wynalazców może stać się przez to bardziej zrozumiały, a przyszłość postawi przed nami zupełnie inne pytania.

Zachód pragnie rozwoju

Dziś to niepoprawne politycznie pisać o przewadze intelektualnej naszej cywilizacji, a obrońcy Chińczyków, Arabów czy Indian (wynalazców prochu, druku czy medycyny) będą mówili o nich jak o ofiarach zachodniego wyzysku. Ale jednak to Europa i Ameryka wyprzedziły świat w wykorzystywaniu wynalazków. Nial Ferguson w opisie technologii różnych stron świata przyznawał na przykład, że choć banknot, druk czy proch strzelniczy zostały po raz pierwszy wynalezione w Chinach, to jednak z decyzji elit zostały tylko igraszką władców, a nie powszechnie używanym odkryciem. Chińczycy nie mieli takich wyobrażeń, które by ich pchały do nieustannego rozwoju, a Europejczycy w istocie swej filozofii i postrzegania świata pragnęli nieustannie stawać się lepszymi. Patrząc na dziejowe trendy rozwoju technologii i inżynierii Zachód nie ma sobie równych. I nie byłoby tego bez chrześcijańskiego postrzegania świata przez pryzmat Biblii.

Nauka narzędziem Bożym

Nie jest dzisiaj niczym odkrywczym stwierdzenie, że św. Tomasz z Akwinu w XIII wieku „ochrzcił" rozum, naukę i racjonalne myślenie, pisząc, że można poznawać świat za pomocą badań, skoro ten świat został stworzony przez Boga na konkretnych zasadach. Ale David F. Noble wychodzi o wiele dalej w badaniu stosunku chrześcijan do nauki, a przyjrzawszy się myślicielom chrześcijańskim, odkrywa ciekawą perspektywę. I tak oto św. Augustyn (IV w. n.e.) pragnął, by wierni cieszyli się światem także za pomocą „sztuk użytecznych", czyli rozwijania nauk technicznych (jak byśmy je dzisiaj nazwali). Eriugena (IX wiek), myśliciel dworu dynastii Karolingów, ukuł nawet termin „sztuki mechaniczne", które należałoby rozwijać na chwałę Pana. Zdaniem wczesnośredniowiecznych teologów nauka była pomocna w zbawieniu. Inny mnich, Hugon (XII wiek), uważał, że biblijny Adam w raju był nie tylko czysty duchowo, lecz także fizycznie i umysłowo, że posiadał ogromną wiedzę na temat świata, a skoro grzech pierworodny (jabłko z rajskiego drzewa) pozbawił go tej mądrości, to zdobywanie wiedzy jest walką ze skutkami tego grzechu. Tak oto średniowieczni duchowni dochodzili do wniosku, że rozwój nauk jest walką z grzechem, jest obowiązkiem każdego chrześcijanina. „Technika stała się jednocześnie eschatologią" – komentuje Noble.

Millenaryści i pragnienie rozwoju

Przełomem w rozumieniu nauki przez chrześcijan miała być postawa opata cystersów z Kalabrii – Joachima z Fiore (1135–1202). Ów mnich, jak wielu jemu współczesnych, wierzył wówczas, że nadchodzi wyjątkowy czas, że zbliża się nowa epoka Chrystusa, tzw. nowe millenium. Przekonanie, że ludzkość stoi na progu nowej, lepszej ery, której patronem będzie Jezus Chrystus, wynikała z interpretacji poszczególnych fragmentów Nowego i Starego Testamentu, proroctw i traktatów teologicznych, ale na potrzeby tego tekstu wystarczy wspomnieć, jak rzutowało to na postrzeganie świata: nadejdą naprawdę lepsze czasy, a my możemy to przyspieszyć. Jak? Ano właśnie rozwojem „sztuk użytecznych", czyli rozwojem techniki. To tutaj możemy upatrywać genezy tytułu książki Davida Noble'a „Religia techniki", bo oto w XII wieku zrodził się kult rozwoju wiedzy, jako przybliżania do Boga. Także dzisiaj gdy świat obiegną informacje o powstaniu jakiegoś nowego wynalazku, jak internet, samochód elektryczny czy lek na raka, komentatorzy rozpisują się o „nowych czasach". To po prostu pokłosie przekonań dawnych millenarystów. Dla historyka nauki z Toronto rozwój nauk był więc „obietnicą do-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a63b32ee02

skonałości", jaką zaznał Adam przed tym, jak został wygnany z raju.

Pęd do techniki miał jeszcze głębsze uzasadnienia, także polityczne. Roger Bacon (1220–1292) uważał na przykład, że papiestwo powinno inwestować w rozwój technologii, by nie zrobili tego wrogowie Kościoła (na przykład Tatarzy). „Kościół powinien rozważyć wykorzystanie tych wynalazków [...] ze względu na przyszłe zagrożenia, w czasach Antychrysta, którym z Bożą łaską łatwiej byłoby stawić czoło, jeśli prałaci i książęta promowaliby studia nad nimi i badali tajemnice natury i sztuki". Identyczna argumentacja funkcjonowała później w czasie na przykład wojny z III Rzeszą czy w trakcie zimnej wojny, gdy zachodni wynalazcy pracowali nad uzbrojeniem szybciej i lepiej niż ich konkurenci z totalitarnych imperiów.

Eksplozja wynalazczości

Od czasów de Fiore i Bacona myśl intelektualna Zachodu wzięła sobie prymat w dziedzinie nauki i techniki za jeden z najważniejszych celów ludzkości. Noble cytuje dziesiątki wpływowych myślicieli, którzy pragnęli nowych odkryć i wynalazków, byle tylko osiągnąć stan jak sprzed czasów grzechu pierworodnego i zasłużyć na prawdziwe miano „synów [biblijnego] Adama". Zbawienie i odkupienie miało iść przez kolejne odkrycia zapewniające człowiekowi lepszy byt. Przywrócenia takiej doskonałości chciał twórca chemii medycznej Jan z Roquetaillade (XIV wiek), lekarz Paracelsus (1493–1541), teoretyk edukacji Jan Amos Komensky (1592–1670). Sam Kolumb dotarłszy do lądów za Atlantykiem, sądził, że odnalazł biblijny raj, wspomniany w Starym Testamencie. Nauka i metodologia nauki były świeckie, ale motywacje i wyobrażenia o rozwoju ludzkości miały podglebie religijne.

Noble twierdzi nawet, że koncepcja naukowca-inżyniera, sami badacze praw natury i twórcy technicznych urządzeń oraz zakładanie pierwszych uczelni technicznych (politechnik w Anglii i we Francji) było realizowane na kształt wyobrażeń o „nowym Adamie", który – poprzez nauki ścisłe – „czyni sobie ziemię poddaną". Inżynier jako drugie podejście ludzkości do zapanowania nad światem – trudno o bardziej religijny wymiar tego rodzaju wykształcenia. Oczywiście i masoneria, która wywodziła się z tajnych zrzeszeń ówczesnych budowlańców, miała liczne rytuały religijne i eschatologiczne uzasadnienia swojej działalności. Słowem: ludzkość oszalała na punkcie zbawienia świata poprzez nowe technologie, ale to właśnie to metafizyczne wyobrażenie o wiedzy naukowej było motorem rozwoju badań, odkryć i wynalazków.

Skoro więc Zachód znalazł już nowe zbawienie (technika), nowego Adama (inżynier, mason) to i nowy Raj był jednoznaczny i oczywisty – Stany Zjednoczone nieprzypadkowo miały stać się potęgą technologiczną.

Amerykański sen

Kolumb odkrył biblijny raj, a wielu komentatorów ówczesnej Europy rozumiało to jako drugą szansę ludzkości na ułożenie ładu społecznego po bożemu. Przez setki lat za Atlantyk wybierały się różne odłamy zachodniego chrześcijaństwa, które głosiły bliskie nadejście końca świata, które rygorystycznie przestrzegały zasad formułowanych jeszcze w Starym Testamencie. Ameryka była ich celem, a nowe, lepsze życie było ich celem wedle woli Boga i motywacji rozwoju doczesnego życia, by zbliżyć się do świata sprzed grzechu pierworodnego. W XIX wieku powstał nawet cały nurt literatury, który opisywał Stany Zjednoczone jako przyszłą utopię, wymarzoną krainę szczęścia i postępu zarówno technologicznego, jak i społecznego. Edward Bellamy (1850–1898) w swojej powieści „Spoglądajac wstecz" zakładał, że USA w 2000 roku osiągną już technologiczne zbawienie, rozwiązując swoimi wynalazkami praktycznie wszystkie problemy ludzkości. Po raz kolejny nadzieje związane z techniką wywodzą się z pragnienia eschatologicznego, czego brakuje innym ludom, Arabom, Chińczykom czy Hindusom, których urządzenia i odkrycia nie wynikają z tak gorącego pragnienia zbliżenia się do metafizycznej doskonałości. I dalej Noble przechodzi do opisu współczesnych dzieł ludzkiego umysłu, które to dzieła kojarzą się ze scenami rodem z Biblii.

Cztery dzieła Boga i człowieka

Noble wylicza konkretne wynalazki, które kojarzą się człowiekowi z biblijnymi wezwaniami. Broń atomowa nawet wizualnie ma swoimi efektami przypominać zagładę z Apokalipsy św. Jana, eksploracja kosmosu jest podobna do wniebowstąpienia świętych, tworzenie sztucznej inteligencji było marzeniem tych, którzy wyobrażali siebie jako stwórców nowego życia, i podobnie wielkimi kreatorami byli inżyniero-

eprasa.pl a63b32ee02

wie genetyczni manipulujący kodem DNA, by leczyć z jednej strony, ale z drugiej formować nowe cechy u istot żywych. Autor „Religii techniki" cytuje liczne opinie naukowców XX wieku, którzy zdradzają się ze swoimi motywami religijnymi w badaniach naukowych.

Jakkolwiek skojarzenie Hiroszimy z Ewangelią św. Jana mogłoby się wydawać nam dziwne, sami twórcy potężnej broni nuklearnej tak to właśnie postrzegali. Naukowcy-świadkowie z Los Alamos, gdzie w 1945 roku po raz pierwszy zdetonowano ładunek jądrowy, mieli poczucie, że przeżyli coś religijnego. „To wschodzące supersłońce jawiło mi się jako symbol brzasku nowej epoki" – pisał William Laurence z „The New York Times". Dziennikarz porównywał też błysk eksplozji z tym, co mógł widzieć Bóg po wypowiedzeniu słów: „Niech się stanie światłość". Sam test nuklearny nosił kryptonim „Trinity", czyli Trójca. Marzenie wielu pokoleń naukowców, by czynić sobie ziemię poddaną dzięki narzędziom technicznym podarowanym przez Boga, zdawało się być na wyciągnięcie ręki. Jednocześnie uczeni z amerykańskiego programu nuklearnego czuli to samo co średniowieczni mnisi wspierający rozwój wiedzy papiestwa w obawie, by nie zrobił tego przeciwnik. Bomba atomowa była rodzajem Armagedonu, Apokalipsą stworzoną przez człowieka na podobieństwo Bożej.

Historia Davida F. Noble'a dopełnia się – od czasów marzeń o potężnych wynalazkach ludzkości idącej w ślad za wezwaniami Boga, po apokaliptyczne odkrycia praw przyrody i rozwinięte technologie. Świat jest rozpięty między totalnym zniszczeniem a nową kreacją, choć w przypadku lotów w kosmos przychodzi jeszcze perspektywa... ucieczki?

Lot w kosmos

Astronom Johannes Kepler (1571–1630) miał przewidywać różne kierunki rozwoju eksploracji kosmosu. „Kiedy zostaniemy wygnani z tej ziemi. [moja astronomia Księżyca] będzie dla nas cenna jako wiatyk w czasie naszej podróży na Księżyc". Obawa przed powtórnym wygnaniem ludzkości z jej siedziby była więc dla obserwatora nieba inspiracją do dalszych poszukiwań, zresztą od XIX wieku pytania o możliwość zamieszkania poza naszą planetą pojawiają się coraz częściej, co Juliusz Verne jako ojciec literatury science-fiction wprowadził do powszechnych rozważań. Księżyc stawał się nie tylko miejscem ucieczki, lecz także być może nową arką, w której ludzkość skryje się na czas jakiegoś nowego potopu. Jednak i tutaj, tak samo jak w przypadku bomby atomowej, oprócz moralnego wzmożenia wokół badań naukowych były i mroki zniszczenia. Pionierami badań nad technologią rakietową byli przecież tacy słudzy ludobójczych totalitaryzmów jak Verner von Braun (1912–1977) czy – niewspomniany w książce, ale przecież równie ważny – Sergiej Korolow (1907–1966) po sowieckiej stronie. Brauna jednak po wojnie przechwycili Amerykanie i zaprzęgli do wyścigu kosmicznego po właściwej stronie mocy. Sam Noble nie dowierza niemieckiemu wynalazcy, gdy relacjonuje jego pełne chrześcijańskiego natchnienia wyznania o dążeniu do rozwoju jego wymarzonych technologii, ale jednak ten religijny motyw pojawia się także tutaj.

Autor „Religii techniki" również wśród pierwszych kosmonautów widzi chrześcijan chcących poznawać dzieło Boga – opisuje wrażenia pierwszych podróżników poza ziemską atmosferę i cytuje ich zachwyty nad dziełem Stwórcy: „Wszechświat jest zbyt piękny, by mógł być dziełem przypadku" – relacjonował Gene Cernan (1934–2017) po swojej ostatniej podróży w kosmos. W teologii nauki można by astronautów, a także konstruktorów ich maszyn faktycznie nazwać „świętymi", którzy poprzez swoje zwalczanie grzechu ignorancji, lenistwa i niewiedzy są bliżej Boga, bliżej prawdy o świecie.

Ludzkość oszalała na punkcie zbawienia świata poprzez nowe technologie, ale to właśnie to metafizyczne wyobrażenie o wiedzy naukowej było motorem rozwoju badań, odkryć i wynalazków.

eprasa.pl a63b32ee02

Sztuczna inteligencja

O ile atom czy lądowanie na Księżycu miały pełno szlachetnych uzasadnień, o tyle w pragnieniach stworzenia cyfrowego mózgu, komputerowej inteligencji, maszynowej osobowości, Noble wśród jej twórców i konstruktorów widzi chyba najwięcej religijnego fanatyzmu. Don Norman (ur. 1937) z amerykańskiego instytutu DARPA już w latach 80. marzył, „by stworzyć własnego robota". Jego wyznania brzmią niepokojąco: „Zawsze chciałem stworzyć umysł. Dokonać czegoś takiego. Trudno wyobrazić sobie bardziej ekscytujący wyczyn". Technoentuzjastka Pamela McCorduck sama przyznała, że to by było „jedno z przedsięwzięć przypominających działania Boga". Czyli tak jak Bóg w Księdze Rodzaju stworzył człowieka, tak człowiek ma stworzyć myślący program komputerowy, ma stworzyć swojego „człowieka". Zresztą niektóre czaty sztucznej inteligencji mają właśnie takie imię: Adam. Jak pierwszy człowiek.

Ale inżynierowie sztucznej inteligencji mają aspiracje nawet nie mniejsze niż Boski zamysł ulepienia istoty ludzkiej. Od czasów Kartezjusza bowiem (1596–1650) zachodni myśliciele skłaniali się do koncepcji człowieka jako „ducha w maszynie", a więc umysłu, woli, świadomości i duszy uwięzionej w wadliwym urządzeniu (ciele). Zatem dzisiejsi programiści mieliby się jawić jako lepsi niż Bóg, bo oto tworzą „sztuczną inteligencję", której nie będzie bolała głowa, nie czuje się zmęczona, znudzona, nie ma kaprysów i chęci zrobienia złośliwości. Lepsi niż Adam i Ewa, więc, idąc tą logiką, programista mógłby się czuć lepiej niż sam Bóg, skoro tworzy nową „istotę" bez wadliwego i grzesznego ciała.

Grzebanie w genach

Jeśli jednak religia i poczucie misji związanej z rozwojem nauki stają się istotą myślenia naukowców, to nadużycia i poczucie boskości stają się coraz częstszym zagrożeniem. Noble opisuje inżynierów genetycznych, którzy fantazjują już w stylu futurystycznych koszmarów ludzkości. „Naukowcy mogliby się stać nowym gatunkiem i zostawić ludzkość za sobą" – pisał w 1929 roku John Bernal (1901–1971). Genetyk Elving Anderson (1921–2014) pisał jakby w sekciarskim uniesieniu: „Ziemia nie potrzebuje więcej ludzi, lecz być może potrzebuje ludzi lepszych, ludzi bardziej odpornych na choroby, sprawniejszych genetycznie, bardziej inteligentnych, współczujących, moralnych i uduchowionych, lecz dostosowanych do swojego środowiska [...]. Jesteśmy gotowi, aby udoskonalić nasze potomstwo". Genetycy, którzy w XX wieku wzmocnili wiele odmian zbóż, mają też i tę cechę, że wszczepiają zwierzętom ludzkie DNA, by odnajdywać leki na choroby, ale później muszą pomajstrować także w ludzkim DNA na żywym człowieku. Pokusa bycia bogiem to już coś więcej niż religijność, choć z jakichś fundamentów religijności wynika.

O ile atom czy lądowanie na Księżycu miały pełno szlachetnych uzasadnień, o tyle w pragnieniach stworzenia cyfrowego mózgu, komputerowej inteligencji, maszynowej osobowości, Noble wśród jej twórców i konstruktorów widzi chyba najwięcej religijnego fanatyzmu.

Chrześcijańskie pragnienie doskonałości

Ciekawym odkryciem Noble'a jest właśnie dostrzeżenie w naukowcach Zachodu czysto religijnych motywacji, że to na chrześcijańskich wyobrażeniach opiera się precyzja badań zachodnich myślicieli. Jednak historyk nauki, który opisał setki lat takiego myślenia, nie odpowie już nam na inne pytania – co się stanie, jeśli ludzie kochający naukę z inspiracji Boga, w samego Boga przestaną wierzyć? Będą mieli myślenie dane przez proroków, narzędzia odkryte w oparciu o mądrość Biblii, ale odrzucą moralne i duchowe uzupełnienia ludzkiej natury? Ludzie z boskimi narzędziami, ale bez Boga – to może oznaczać chyba tylko nowy totalitaryzm. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Małgorzata Matuszak

Czym jest... dojrzałość

Człowiek w toku swojego życia podlega wielu przemianom. Najpierw jesteśmy jedynie dziećmi i nasze nastawienie do świata określane jest przez dziecięcość, ale będąc dojrzałymi ludźmi wymagamy od siebie i innych postawy dojrzałej. W wielu sytuacjach społecznych dojrzałości od człowieka się wymaga i na nią powołuje. Jest ona rodzajem zadania – człowiek winien nieustannie rozwijać się i duchowo wzrastać, aby osiągnąć własną dojrzałość, dochodzić do pełni człowieczeństwa.

Dojrzałość istoty ludzkiej ma wiele wymiarów. W najbardziej potocznym sensie rozumiemy ją metrykalnie, utożsamiając z dorosłością. Często wiążemy ją ze zdaniem matury, zwanej właśnie „świadectwem dojrzałości". Określenie to wskazuje, że dojrzałość nie istnieje sama przez się, ale muszą istnieć dowody, które świadczą o byciu dojrzałym człowiekiem. O ludzkiej dojrzałości w sensie metrykalnym mówimy dość umownie i powierzchownie, gdyż prawdziwy sens dojrzałości leży w czymś innym aniżeli sprawdzanej i ocenianej na maturze wiedzy, w innego rodzaju świadectwach, które ludzie okazują, żyjąc w odpowiedni, odpowiedzialny sposób – we właściwej relacji ze sobą i innymi ludźmi. Dlatego postrzegamy dojrzałość jako wykazywanie pewnych predyspozycji do życia z innymi ludźmi, wyrażających się w posiadaniu umiejętności społecznych i emocjonalnych, które wskazują na to, że dany człowiek jest dojrzały. Dojrzałym jest zaś wtedy, gdy potrafi się kierować w swym życiu rozsądkiem, mądrością, rozumem i poczuciem odpowiedzialności.

Najczęściej mówimy o dojrzałości emocjonalnej człowieka, która sprawia, że umie on zarządzać swoim życiem emocjonalnym, czyli właściwie rozpoznawać i kontrolować własne emocje oraz wykazywać zdolność ich okazywania w adekwatny do sytuacji sposób. Dojrzałość emocjonalna to dojrzałe wyrażanie emocji oraz otwartość na ich przyjmowanie i rozumienie siebie oraz drugiego człowieka. Człowiek dojrzały emocjonalnie umie akceptować całość swojego życia uczuciowego i jest zdolny przyjmować całość życia emocjonalnego drugiego człowieka, nie unikając emocji trudnych i nie odcinając się od własnych przeżyć. Dlatego rozumiejąc siebie w aspekcie emocjonalnym jest zdolny rozumieć także przeżycia innych ludzi. Dojrzałość emocjonalna obejmuje szereg innych kompetencji, do których należy właściwe komunikowanie się z innymi, zdolność do akceptacji siebie i innych oraz ogólna otwartość na doświadczanie świata. W sytuacjach konfliktowych dojrzałość emocjonalna pozwala zaś szukać kompromisu i godzić sprzeczne racje własne oraz swojego oponenta.

Dojrzałość ma również wymiar duchowy. Składa się na nią głęboka zgoda na własne istnienie oraz zdolność do pełnej akceptacji istnienia innych. Człowiek dojrzały duchowo nie tyle zmienia innych, ile zmienia siebie na tyle, aby móc żyć w harmonii z innymi, a gdy jest to niemożliwe, umie wyjść z sytuacji,

DOJRZAŁYM JEST ZAŚ WTEDY, GDY POTRAFI SIĘ KIEROWAĆ W SWYM ŻYCIU ROZSĄDKIEM, MĄDROŚCIĄ, ROZUMEM I POCZUCIEM ODPOWIEDZIALNOŚCI.

która nie pozwala być w zgodzie ze sobą. Człowiek o wysokiej dojrzałości duchowej umie żyć w pokoju z sobą, ale nie ogranicza się do siebie, gdyż jest otwarty na innych. W orientacji horyzontalnej duchowa dojrzałość oznacza harmonijną relację ze światem. Ważna jest jednak również orientacja wertykalna, w której człowiek dojrzały duchowo określa się wobec tego, co od niego wyższe. W relacji z tym, co wyższe, w relacji z Bogiem, człowiek dojrzały duchowo uznaje swoją pozycję oraz dostrzega wyższy sens własnego istnienia, który jest określony przez istnienie Transcendencji. Człowiek duchowo dojrzały jest w stanie uznać zarówno swoje ograniczenia, jak i to, że istota Boga jest dla niego niepojęta i niepojęta jest Jego wola. Dlatego uznając sens własnego życia bez względu na okoliczności, uznaje również to, że Bóg może być niepojęty z punktu widzenia jego ograniczonej świadomości. Duchowa dojrzałość oznacza tu między innymi zdolność przyjęcia ograniczeń związanych z kondycją ludzką i pogodną zgodę na to, co jest, i na to, kim się jest, będąc tylko człowiekiem. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Choć ukształtowana w atmosferze lat 90., Naszość wniosła swój koloryt także w pierwszą dekadę XXI wieku, gdy postkomuna zeuropeizowała się do standardów brukselskich salonów, a w Rosji zaczął rządzić Władimir Putin. Magdalena Piejko w swoim filmie przypomina lata 90. mocno niepoprawne politycznie – przypomina to, co było nieustannie wówczas potępiane i szkalowane na łamach „Gazety Wyborczej".

Krzysztof Wołodźko

NASZOŚĆ, CZYLI NAJNTISY NIEPOPRAWNE POLITYCZNIE

eprasa.pl/aesb32ee02

Lata 90., zwane najntisami, coraz częściej w zbiorowej pamięci jawią się jako nostalgiczna gra skojarzeń. Duchologiczny trend sprowadził je do popkulturowej zabawy pozostałościami ze świata między PRL a III Rzeczpospolitą. Nie ma w tym nic złego, że dzisiejsi trzydziesto- i czterdziestolatkowie próbują uchwycić na nowo tak szybko zmieniający się świat swoich podstawówkowych, licealnych i studenckich lat. Towarzyszą im w tym jeszcze młodsi, którzy zafrapowani zbierają ocalałe gdzieś na strychach egzemplarze Commodore C64, oglądają na odkupionych od wąsatych wujów stare taśmy VHS z porno i Rambo lub wypatrują rodziców i dziadków na zdjęciach z dyskotek przepełnionych dymem z nielegalnie sprowadzonych ze wschodu papierosów.

Najntisy, czyli zapomniane polityczne boje

Ale to nie jest prawda o najntisach. Więcej: popkulturowa nostalgia zmienia się powoli w jeszcze jeden trend, który młodsze koleżanki starych demiurgów transformacji wykorzystują do meblowania zbiorowej wyobraźni dotyczącej tamtych lat. Wszak lata 90. były politycznie najgorętszym czasem III RP (przynajmniej do śmierci Lecha Kaczyńskiego pod Smoleńskiem w 2010 roku). Niezależnie od tego, czy zaczynamy najntisy liczyć od 4 czerwca 1989 roku, czyli wyborów kontraktowych, opartych na daleko idącym kompromisie z komunistami, czy też od wyborów prezydenckich w listopadzie i grudniu 1990 roku, które dały władzę Lechowi Wałęsie – była to najmniej spokojna dekada III RP.

U początku tamtego dziesięciolecia Jacek Kuroń jako minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego gorąco namawiał Czesława Kiszczaka, ówczesnego szefa MSW, by silną ręką rozprawił się z rolniczymi strajkami. To lata 90. były areną największych zwycięstw postkomunistycznego żywiołu, którego czarne najciemniejsze postacie wciąż miały wielką moc sprawczą. To wtedy rodziły się zręby suwerennej, solidarnej i sprawiedliwej Rzeczpospolitej, której symbolem stał się premier Jan Olszewski. Polityk, który w dramatycznym momencie postawił najważniejsze do dziś pytanie: „Czyja będzie/jest Polska?". Lata 90. to czas, w którym Sowieci opuszczali Polskę. I czas, na którym zaciążyły moskiewskie pożyczki Leszka Millera i zlekceważone wówczas symptomy przetrwania rosyjskiego imperializmu, czyli pierwsza wojna czeczeńska, gdy „łysy jechał do Moskwy". Łysy, czyli premier Józef Oleksy, wybrał się wówczas do stolicy Rosji, by celebrować oficjalne obchody 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

U końca najntisów zapłonął Słupsk, gdy w styczniu 1998 roku, po śmierci nastoletniego Przemysława Czai, miasto pogrążyło się w kilkudniowych zamieszkach. I choć to ostatnie wydarzenie nie miało charakteru politycznego, bywa komentowane jako późny bunt pokolenia, które na własnej skórze doświadczyło najboleśniejszych skutków terapii szokowej. Ruch kibicowski w tamtym czasie pomagał odreagować wspólny gniew, frustrację i złość – w kapitalistyczno-postkomunistycznej Polsce, w której Solidarność była już tylko nobliwym związkiem zawodowym. Czteroletnie rządy Akcji Wyborczej Solidarność dały wielu poczucie stabilizacji systemu i fałszywą nadzieję na ostateczne pokonanie postkomunistów. Ale i to okazało się złudzeniem: politycznie najntisy skończyły się w 2001 roku – wraz z nastaniem rządu Leszka Millera i stopniowymi przygotowaniami do wejścia Polski do Unii Europejskiej. Była to najdłuższa dekada III RP. Pełna nadziei i rozpaczy, luksusów i nędzy, wzrostu społecznej aktywności i poczucia zupełnej niemocy i beznadziei.

Naszość – niepoprawnie polityczny koloryt

Właśnie takie lata 90. trzeba pamiętać, oglądając „Naszość. Tylko dla nienormalnych" Magdaleny Piejko. I jeszcze jedno trzeba mieć w pamięci – choć ukształtowana w atmosferze lat 90., Naszość wniosła swój koloryt także w pierwszą dekadę XXI wieku, gdy postkomuna zeuropeizowała się do standardów brukselskich salonów, a w Rosji zaczął rządzić Władimir Putin. To 23 lutego 2000 roku, w trakcie demonstracji przeciwko wojnie w Czeczenii, członkowie Naszości w Poznaniu wdarli się do konsulatu Federacji Rosyjskiej i bez zbytniego szacunku potraktowali rosyjską flagę. To w listopadzie Naszość w czapkach z czerwonymi gwiazdami, z tekturowym krążownikiem „Aurora" i portretami Lenina, Stalina oraz Leszka Millera, postanowiła zająć poznańskie biuro poselskie Sylwii Pusz z SLD.

To 1 maja 2005 roku ludzie z Naszości, w samych tylko gaciach, z porożami jeleni na głowach, zakłócili pierwszomajowy wiec Sojuszu Lewicy Demokratycznej, kpiąc, że SLD zrobiło ze swoich wyborców jeleni. Dodajmy do tego Paradę Onanistów jako odpowiedź na poznański Marsz Równości w listopadzie 2005 roku i happening artystyczny, który w marcu 2009 roku uczcił wizytę Wojciecha Jaruzelskiego w stolicy Wielkopolski. Szacowna Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa wspólnie z prześwietną Studencką Radą Miasta Poznania nie dały się niestety przekonać, że Ślepowron potrzebuje obstawy ZOMO, reaktywowanego na tę okoliczność przez ekipę Naszości. Wreszcie w czerwcu 2010 roku nieco już starsi ludzie Naszości chcieli spotkać się z Bronisławem Komorowskim, ale kandydat na prezydenta wyszedł z budynku tylnym wyjściem, nawiązując do stylu pożegnań Aleksandra Kwaśniewskiego z Naszością. Powodem tak nieoczekiwanego zachowania Komorowskiego mógł być fakt, że Naszości towarzyszyły trzy psy ubrane w koszulki z napisami KGB, FSB i Wojskowych Służb Informacyjnych.

„Naszość. Tylko dla nienormalnych" nie jest laurką dla Piotra Lisiewicza, choć pewnie dla niego i jego wesołej kompanii z poznańskich dzielnic ma największe sentymentalne znaczenie. Piejko w swoim filmie przypomina lata 90. i pierwsze lata XXI wieku najbardziej niepoprawne politycz-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl a63b32ee02

nie – przypomina to, co było nieustannie wówczas potępiane i szkalowane na łamach „Gazety Wyborczej", szczególnie silnej w pierwszej dekadzie polskich przemian, jeśli chodzi o urabianie opinii mainstreamowych odbiorców.

Polityczna zadra dla czytelników „Wyborczej"

To w latach 90. rodziła się Polska strasznych mieszczan, czyli wzbogaconej inteligencji, mocno już postępowej, ale w tamtym czasie wciąż pielęgnującej swoje sentymentalne i intelektualne relacje z tak zwanym Kościołem otwartym. Nobliwy czytelnik „Wyborczej" w tamtym czasie był już otwarty na przyjaźnie i biznesy z postkomuną, która milicyjne pałki wymieniła na komercyjne banki. O Rosji mówił z nadzieją, bo wierzył w tamtejszych liberałów, którym wieszczył rychłą władzę. A jeśli gdzieś widział homo sovieticusów, to wśród byłych PGR-owców i robotników pozamykanych fabryk. Nic też dziwnego, że bezczelna młodzież z VII liceum w Poznaniu, kultywująca antykomunistyczne idee i organizacyjne tradycje młodzieżowe jeszcze z lat 80., okazała się dla niego polityczną zadrą. Szczególnie gdy już trochę podrosła. Gdy po roku 2000 z jednej strony system okrzepł, z drugiej – pewnej krzepy i mocy sprawczej zaczęli nabierać jego kontestatorzy. I coraz śmielej zaczęli poczynać sobie w przestrzeni publicznej, którą agorowe towarzystwo chciało zawłaszczyć.

Nie mam wątpliwości, że Naszość była sztubacka. Żakowie wszystkich epok także rozpoznaliby się w jej knajpianych i politycznych zabawach. Tłumaczyć szczegółów już chyba nie trzeba – film dokumentalny o Akcji Alternatywnej Naszość jest od kilku miesięcy w obiegu. Jedni się przy nim po prostu świetnie bawią, drudzy głęboko wzruszają. Inni – podobno odnajdują się po latach. Ja mam znacznie gorzej. Choć w recenzji dla „Gazety Polskiej" (nr 16 z 19 kwietnia 2023 roku) pozwoliłem sobie na garść wspomnień, to przecież podchodzę do filmu Magdaleny Piejko bardzo poważnie. Brzydko mówiąc: traktuję go politycznie i rozliczeniowo. Bo to jest polityczna petarda, która wtedy mogła wydawać się zgrywem młodych antykomunistów po komunizmie. Ale ciąg dalszy tej historii pokazał nam, że intuicje inteligenckich kpiarzy i stadionowych zakapiorów okazały się bezcenne dla wielu diagnoz naszej rzeczywistości.

Mówiąc pół żartem, pół serio: III RP potrzebowała zarówno Zdzisława Krasnodębskiego i jego „Demokracji peryferii", Jacka Tittenbruna i jego „Z deszczu pod rynnę. Meandry polskiej prywatyzacji", Ryszarda Legutko i jego „Eseju o duszy polskiej", jak i policyjnych zarzutów dla Lisiewicza po tym, jak przebrał się za Włodzimierza Ilicza Lenina. Należy tylko ubolewać, że hasło „krytyka polityczna" w III RP zostało sprowadzone do klubu lewicującej inteligencji na usługach europejskich liberałów – krytyka polityczna uprawiana przez Naszość znakomicie podważała status quo dwóch pierwszych dekad III RP. Szyderstwo z postkomunizmu dziś wydaje się démodé, ale w tamtym czasie kpiarskie nawiązanie do komunistycznych idoli niosło niewygodne prawdy, które chciano zatopić w rzekach niepamięci – doczepiając im betonowe hasło: „wybierzmy przyszłość".

„Cześć chłopaki, jestem wariat!"

„Cześć chłopaki, jestem wariat! Spalę wam dziś komisariat!". Medialno-polityczny mainstream w latach 90. nie lubił takich haseł. Nie ma co mydlić sobie oczu: źle reagowała na nie postkomuna, źle reagowało liberalne centrum, źle reagowała sejmowa prawica. A Naszość „darła ryje" w ten sposób, psując błogi spokój tym, którzy uważali, że za przeszłością zatrzaśnięto drzwi (choć tym co trzeba zostawiono otwarte furtki). To gorszyło nie tylko miłośników grubej kreski, lecz także wszystkich, którzy uważali, że to jest wreszcie nasze państwo i należy się zachowywać spokojnie. Znikał gdzieś kontekst, szybko zapominano o grzechach i grzeszkach tych w togach i tych w mundurach.

W 1992 roku, gdy szedłem do katolickiego liceum zmartwychwstańców w Poznaniu na Dolnej Wildzie, miałem więcej niż mieszane uczucia, jeśli chodzi o otaczającą rzeczywistość. W moich rodzinnych stronach, na terenie byłego wzorcowego PGR Manieczki, ludzie masowo tracili pracę i nadzieję na przyszłość. Gdy któregoś razu wróciłem do domu, rodzice ze smutkiem powiedzieli, że powiesił się nasz sąsiad, naprawdę dobrze prosperujący przez lata – wedle ówczesnej nomenklatury – rolnik indywidualny. Rodzice moich koleżanek i kolegów z dnia na dzień zostawali bez pracy w PGR-ach. Nikt już ich nie potrzebował, bo w Śremie zwalniano ze stalowni Cegielskiego, a w pomniejszych miasteczkach – z lokalnych zakładów pracy. To miało na dobre i złe wyznaczyć moje myślenie o rzeczywistości, także jeśli chodzi o ideowe podziały na przyjaciół i wrogów. Ale pamiętam też, jak pewnego razu starszy ksiądz z mojego nieistniejącego już liceum powiedział: „Przez dekady milicjanci z pobliskiego posterunku szczuli lokalną chuliganerię przeciw waszym starszym kolegom. Dziś już tego nikt nie pamięta, a oni tam wszyscy nadal pracują". Ten posterunek był naprawdę niedaleko. I z niczym złym się już mojej klasie nie kojarzył.

Powtórzmy więc raz jeszcze, to hasło nie brało się znikąd: „Cześć chłopaki, jestem wariat! Spalę wam dziś komisariat!".

Zostawiłem to wspomnienie jako puentę, bo ważny jest kontekst. Naszość robiła sobie jaja i daleka była od rozdrapywania starych ran. Ale nie mieli złudzeń, z czego składa się staro-nowa rzeczywistość. Najntisy miały coś z atmosfery bakchanaliów. I z atmosfery stypy – czasem trudno było się połapać, w czym się właściwie uczestniczy. Kto po czym płacze, a kto z czego się śmieje. Po dekadach możemy spojrzeć z dystansu, spróbować poskładać to wszytko w spójną, sensowną opowieść. I do płaczu, i do śmiechu. Za to warto podziękować i Magdalenie Piejko jako autorce „Naszości. Tylko dla nienormalnych", i tym, którzy pod przewodem Piotra Lisiewicza wesoło gwizdali na parowóz dziejów. Choć były w tym też gniew i pogarda. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Małgorzata Matuszak

Wobec wielkiej krzywdy małego człowieka

Dom winien być miejscem, w którym czujemy się bezpiecznie, naszym sanktuarium. Rodzina zaś tym, co daje nam siłę, co otacza i przepaja miłością, jest sprzymierzeńcem i opoką. Niestety nie zawsze tak jest. Szczególnie to smutne, gdy braku miłości w domu i rodzinie doświadczają dzieci.

FOT. ADOBE STOCK

Smutek dzieci staje się bezgraniczny i niewysławialny, gdy doświadczają one przemocy, niekiedy aż tak wielkiej i okrutnej, że odbierającej dziecku życie. Niewyobrażalne jest zło, którego niektóre dzieci doświadczają, i niepojęte, że to wydarza się w domu, w rodzinie. Wśród tych i ze strony tych, którzy powinni dziecko kochać i przed złem chronić. Ale się wydarza. Choć nie powinno, nigdy i nigdzie.

Kamil, Blanka, Nikodem, Zuzia...

Całą Polską niedawno wstrząsnęła sprawa 8-letniego Kamila z Częstochowy. Pod koniec marca chłopiec został skatowany przez swojego ojczyma. Był przypalany papierosami, bity i kopany po całym ciele, oblewany wrzątkiem, sadzany na rozgrzanym piecu węglowym. Przez kilka dni nikt z tym nic nie zrobił, nie zareagowali ani matka, ani wujostwo Kamila, dopiero przed Wielkanocą, po interwencji biologicznego ojca, chłopiec trafił do szpitala. Miał poparzone 25 proc. powierzchni ciała – rozległe poparzenia głowy, klatki piersiowej i kończyn, a także liczne, powstałe wcześniej i nieleczone, złamania. Lekarze walczyli o jego życie przez 35 dni. Niestety, chłopiec zmarł w wyniku postępującej niewydolności wielonarządowej, do której doprowadziły poważna choroba oparzeniowa i zakażenie organizmu spowodowane rozległymi, długo nieleczonymi ranami oparzeniowymi.

Nie ma słów, aby określić czyn popełniony przez ojczyma tego dziecka wobec niego, gdyż tak ogromne okrucieństwo wobec dziecka nie znajduje wyrazu potępienia w ludzkich słowach. Nie potrafimy wyrazić ogromu zła, którego doświadczył Kamil. I nie tylko on. W ostatnim czasie wydarzyło się wiele innych, podobnych sytuacji. Długotrwale maltretowana przed śmiercią, zabita przez rodziców dziewięciomiesięczna Blanka, która przez jakiś czas przebywała w rodzinie zastępczej, ale wróciła do domu, z którego ją zabrano. Dziewięciomiesięczny Nikodem, który trafił do szpitala z licznymi siniakami, którego sześcioro rodzeństwa już wcześniej trafiło do pieczy zastępczej. Sześciotygodniowa Zuzia, która tuż przed śmiercią została wypisana ze szpitala, gdzie trafiła na skutek zaniedbania rodziców. To tylko trzy przypadki spośród wielu. W każdym z nich dzieci, podobnie jak w przypadku Kamila, były objęte jakąś formą wsparcia ze strony instytucji publicznych, przemoc trwała bowiem na tyle długo, by mogła zostać dostrzeżona przez odpowiednie służby.

22 maja słupska policja poinformowała o zatrzymaniu 29-letniej kobiety i 35-letniego mężczyzny, którzy znęcali się nad trojgiem swoich dzieci: 5-letnią dziewczynką i dwoma chłopcami w wieku trzech i dwóch lat. Sprawa wyszła na jaw w grudniu 2022 roku, kiedy funkcjonariusze otrzymali zgłoszenie o tym, że nietrzeźwi rodzice opiekują się dziećmi. Skontaktowali się z pracownikami socjalnymi, którzy przekazali dzieci pod opiekę rodziny zastępczej, w której przebywają przez cały ten czas. W międzyczasie sprawa została skierowana do prokuratury i sądu rodzinnego, a teraz rodzice zostali tymczasowo aresztowani. Postawiono im zarzuty znęcania się ze szczególnym okrucieństwem nad swoimi dziećmi. Stan dzieci był zły i zostały zabezpieczone w stanie krytycznym. Były częstowane alkoholem, jedno z nich przypalane, jedno miało wybite zęby... Para łącznie ma sześcioro dzieci. Wszystkie im odebrano. „Będą bardzo długo wychodziły z traumy. Osoby, które będą z nimi pracowały, muszą wykonać niewyobrażalną pracę. Jak ustaliliśmy, 2-letnie dziecko w ogóle nie chodzi, a 3-letnie nie mówi. To sytuacja, która niewiele odbiega od sprawy Kamilka z Częstochowy" – mówiła Magdalena Gadoś, szefowa Prokuratury Rejonowej w Słupsku.

Przeciwdziałać złu i je karać

Statystyki z ostatnich lat pokazują, że każdego roku w Polsce z powodu przemocy fizycznej w domu umiera średnio 30 dzieci. Przemoc objawiać się może na wiele sposobów. Możliwości jest wiele, ale każda jest tak samo potworna. Jak jej przeciwdziałać?

Nie jesteśmy w stanie całkowicie przeciwdziałać przemocy wydarzającej się w przestrzeni życia społecznego, nie potrafimy jej również usunąć. To niemożliwe. Dotyczy to także rodziny. To szczególnie tragiczne, bo trudno nam przystać na to, by w rodzinie w ogóle do niej dochodziło. Jeśli zaś tak się zdarza, często jest ona skrzętnie przed innymi maskowana. Inni także nie kwapią się do tego, by na nią reagować, najczęściej udają, że niczego nie widzą, niczego nie słyszą. A przecież dopóki nastawienie ludzi w otoczeniu dziejącej się przemocy i krzywdy nie ulegnie zmianie, dopóty takie sytuacje, jak w przypadku Kamila, będą się zdarzały. Dzieci bowiem w takich sytuacjach są szczególnie bezbronne. Jak widać, nie tylko te, które są za małe, by mogły powiedzieć, jak wygląda ich życie i czego w nim doświadczają. Kamil miał przecież 8 lat. Chodził do szkoły. Nad rodziną czuwał kurator. Jego sprawa trafiła do sądu. Dlaczego nikt go nie wysłuchał? Twierdzono, że chłopiec miał problemy z komunikowaniem się. Czy jednak specjalista, umiejący sobie radzić w tego typu sytuacjach, nie byłby w stanie dowiedzieć się od Kamila, jakie ma problemy? I czy ucieczki z domu nie były wręcz jego krzykiem rozpaczy?

Nie zawsze da się zapobiec przemocy, także w rodzinie, choćby dlatego, że jeśli ktoś chce drugiej osobie zrobić krzywdę, również zdegenerowany rodzic swemu dziecku, to niestety tak zrobi. Można edukować, wręcz

eprasa.pl a63b32ee02

trzeba, jednak zapobiegnięcie takim sytuacjom jest praktycznie niemożliwe. Jesteśmy jednak w stanie uczynić to w bardziej skuteczny sposób wtedy, gdy wiemy, że ona zaistniała i może do niej dojść po raz kolejny. Przemoc fizyczna, a także psychiczna – choć ją jest nieraz o wiele trudniej wykryć – zostawia widoczne ślady. Tak było w przypadku Kamilka. Rozcięta warga, złamana ręka – to się powtarza. Nie zawsze musi to być dowodem przemocy, zawsze jednak trzeba to sprawdzić i być czujnym. Pedagodzy ze szkoły, do której chodził Kamil, widzieli te ślady przemocy. Jakoś zareagowali. Ale czy wystarczająco? Czy mogli zrobić coś jeszcze?

Trzeba z jednej strony zapobiegać przemocy wobec dzieci i kolejnym ich śmierciom, z drugiej – skutecznie ścigać i pociągać do odpowiedzialności sprawców takich zbrodni. Pragniemy, aby tak okrutne znęcanie się nad dzieckiem zostało właściwie osądzone i ukarane. Oczywiście wprowadzenie surowszych przepisów czy surowsze egzekwowanie już tych istniejących nie sprawi, że przemoc wobec dzieci ustanie. Przepisy prawa karnego istnieją od bardzo dawna, a przecież przestępczość wciąż ma się dobrze. Kara jednak musi być nieuchronna i surowa. I chociaż to nie zwróci życia skrzywdzonym tak strasznie dzieciom, być może będzie dla przyszłych sprawców przemocy ostrzeżeniem i przestrogą, a dla tych, którzy się jej dopuścili, dowodem na to, że nie są bezkarni i muszą za swe czyny odpowiedzieć.

Trzeba wyciągać wnioski

Za każdym razem, kiedy dochodzi do takiej tragedii i jest ona szeroko komentowana, wszyscy zadają sobie pytania: „jak to się mogło stać?", „dlaczego?", „czy nie można było temu zapobiec?", „dlaczego nikt nie zauważył, że tam dzieje się coś złego i temu nie przeciwdziałał?". Pytania te jednak pozostają właściwie bez odpowiedzi, każda bowiem z tych, które nasuwają się w takich okolicznościach, nie wydaje się wystarczającą. Żadna nie jest dobra, bo dobrych odpowiedzi i prób tłumaczeń takich sytuacji nie ma. Zawiedli w jakiś sposób, w stopniu mniejszym bądź większym, wszyscy wokół. I nauka stąd płynąca dla nas wszystkich jest taka, żeby – odwołując się do głosu własnego sumienia – zgłaszać podobne sytuacje do odpowiednich służb. Powołaniem zaś tych ostatnich powinna być odpowiednia i wystarczająco skuteczna interwencja w takich sprawach.

Oczywiście trzeba pracować nad przepisami prawa, które będą lepszymi regulatorami w tego typu sytuacjach, i nad dopracowaniem procedur, które obowiązują w takich przypadkach. Nie może być tak, że wszyscy przerzucają się winą i twierdzą, że zrobili wszystko, co mogli. Być może warto również mówić o pewnym rozmyciu się odpowiedzialności społecznej, która ma często miejsce wtedy, gdy społeczność liczy na to, że ktoś inny zainteresuje się zaistniałą – trudną i wymagającą interwencji – sytuacją. Tak być nie powinno. Nauczyciele w szkole, w świetlicach, trenerzy, opiekuni z niepublicznych miejsc, muszą znać procedury i wiedzieć, do kogo się zgłosić, jeśli zauważą coś niepokojącego. W szkole nie wystarczy fakt sporządzenia notatki. Pracownik socjalny musi wiedzieć, w jaki sposób powinien interweniować, by to działanie było jak najbardziej skuteczne, i ufać, że jest w stanie krzywdzonemu dziecku pomóc. W sądzie decyzje winni podejmować sędziowie, którzy są kompetentni w sprawach dotyczących dzieci i ufają pracownikom socjalnym, że ci wiedzą, co dla danego dziecka jest dobre. Bo przecież wszyscy posiadają narzędzia, dzięki którym działania nie będą spóźnione, nieskuteczne czy nieadekwatne. Z przeszłości trzeba wyciągać wnioski. Nie może być tak, że nie uczymy się na błędach, które wcześniej doprowadziły do tragedii. Mamy ośrodki pomocy społecznej, centra pomocy rodzinie, procedury Niebieskiej Karty, kuratorów sądowych, sędziów rodzinnych i karnych, funkcjonariuszy policji. Trzeba po prostu usprawnić przepływ informacji między tymi instytucjami i ujednolicić procedury działania w całej Polsce. Przede wszystkim zaś – uwrażliwić się musimy na krzywdę dziecka, przestać mówić, że to, co się dzieje w czterech ścianach czyjegoś domu, nas nie dotyczy i że to nie nasza sprawa.

Przemoc – oznaką słabości

Jak mówił ks. Jerzy Popiełuszko: „Przemoc nie jest oznaką siły, lecz słabości". Według danych fundacji „Dajemy dzieciom siłę", przemocy ze strony bliskich dorosłych doświadcza aż 41 proc. dzieci, a 7 proc. nie ma obok siebie żadnej zaufanej osoby. Dowodzi to nie tylko słabości i zła rodziców, którzy sami najczęściej doznawali aktów przemocy jako dzieci i wyrośli na przemocowych dorosłych.

Zgoda na przemoc to współudział w niej. Należy zwrócić na przyszłość baczniejszą uwagę na to, co się dzieje w naszym otoczeniu sąsiedzkim i w rodzinach, które nas otaczają. Sprawy i sytuacja dzieci w rodzinach polskich nie mogą pozostać bez nadzoru odpowiednich organów monitorujących zachowania rodzicielskie dorosłych. Tego nas wszystkich uczy straszna historia Kamilka. Za jego śmierć odpowiada przede wszystkim ojczym, który dopuścił się czynów do niej prowadzących. Odpowiada matka, która nie reagowała. Wujostwo, które wszystkiemu się przyglądało. I dalej – szkoła, opieka społeczna i sąd, który był najbardziej decyzyjny w tej sprawie. Odpowiada cała społeczność, która wiedziała o jego katowaniu. ■

eprasa.pl a63b32ee02

„O Boże mój powołujesz mnie, niech się stanie wola Twoja! Rzucam się w twe objęcia, obdarz mnie łaskawie dobrą śmiercią" (ostatnia modlitwa księcia de Condé).

Józef Polak-Pałkiewicz

Czasy pięknych śmierci

Śmierć jest rzeczą zbyt poważną, by brać ją za błahostkę, piksel w grze wideo albo jedną z liczb z portalu informacyjnego. To rzeczywistość, której nie można spychać na margines świadomości, w imię poprawienia sobie samopoczucia albo „nieprzestraszenia się". Owszem, śmierć to rzecz bardzo konkretna, namacalna, bliska, w pewnym sensie też straszna, ale jednocześnie gdy rozważy się ją, wzorem Jacques-Bénigne'a Bossueta, w ciszy i głębi ducha, odsłoni ona swoje piękne – nadprzyrodzenie – oblicze.

eprasa.pl a63b32ee02

Trzęsienie ziemi: ośmiu zabitych, setki rannych". „Zginęło dwudziestu żołnierzy i czterech cywilów". „Trzysta nowych zakażeń, jedenaście przypadków śmiertelnych". Jesteśmy dziś nieustannie bombardowani liczbami. Podsuwa się je nam cały czas w różnych wykresach, statystykach, zestawieniach. Możemy je sobie do woli analizować, śledzić czy po prostu przewijać palcem na ekranie. Dzięki temu jesteśmy nieprzerwanie „na bieżąco", a nasza żywa – by nie powiedzieć – kompulsywna ciekawość tego, co się dzieje na świecie, jest stale zaspokajana. W międzyczasie jednak zupełnie zapominamy o tym, że każda z tych liczb, które codziennie wyświetlają nam się w dziesiątkach, setkach tysięcy, oznacza coś, przed czym należałoby co najmniej zatrzymać się i skłonić. Jest to nie tylko niekwestionowany ból i cierpienie konkretnego człowieka, rozpacz i żałoba jego bliskich, lecz także cała tajemnicza rzeczywistość przejścia ludzkiej duszy do wieczności oraz jej los tamże.

Moda na słuchanie kazań

Ten ostatni wymiar śmierci zdaje się dziś być zupełnie nieuwzględniany. Jest całkowicie jasne, że nie usłyszymy o nim w serwisach informacyjnych, które ograniczają się po prostu do „dostarczania nam liczb". Ale również wtedy, gdy refleksja o śmierci wznosi się na poziom wyższy, gdy mówi się o niej w sposób znacznie bardziej godny – na przykład w obliczu odejścia kogoś bliskiego – rzadko kiedy poruszany jest aspekt nadprzyrodzony. Najczęściej pozostajemy wówczas w strefie czysto ludzkiego sentymentalizmu: pielęgnując uczucie doznanej stary, szczegółowo wspominając życie zmarłego. Jest to poziom przeżywania całkowicie naturalny, którego nie sposób ominąć, jednak nie należy do niego tylko sprowadzać znaczenia śmierci. Ulega ono bowiem wówczas spłaszczeniu i deformacji. Podobnie zresztą jak wtedy, gdy nad trumną formułuje się niejako z automatu, tak często dziś słyszalne, pocieszenia, że zmarły jest już „na pewno tam w górze" i pośród promiennych twarzy niebieskich istot, sam szeroko uśmiecha się do swoich krewnych i przyjaciół. Tego rodzaju przywołanie rzeczywistości duchowej jest *de facto* jej karykaturą i przez swoje nieuprawnienie, infantylizm także prowadzi do wykrzywienia obrazu śmierci. Wydaje się zatem, że choć śmierć nas otacza – dziś w znacznie większym stopniu niż kiedyś, przede wszystkim za sprawą trwającej tuż za naszą granicą wojny, wciąż gubimy się (a może oszukujemy się?) co do tego, czym jest naprawdę.

Tym, który szczególnie zabiegał o przywrócenie sercom i umysłom właściwej percepcji śmierci, był żyjący w tzw. wielkim stuleciu (fr. Grand siècle) – czasach Ludwika XIV, francuski kaznodzieja i biskup Jacques-Bénigne Bossuet. Ten dzisiaj rzadko wspominany mąż Kościoła przeszedł do historii jako jeden z najwybitniejszych mówców, którzy do perfekcji opanowali sztukę władania językiem. Jego najbardziej znanym dziełem krasomówczym były „Mowy pogrzebowe", które wygłaszał w latach 1656–1687 podczas ceremonii żałobnych i pochówków najważniejszych osób w państwie – królewskich ministrów, książąt krwi, arystokratów. Okazje te jednak należały do wyjątkowych, stąd też dał on „tylko" jedenaście takich przemów. Poza tym Bossuet zasłynął jako autor niezwykle ważnych, w trwającym wówczas intelektualnym starciu z protestantyzmem, dzieł apologetycznych – wyjaśniających doktrynę Kościoła i ukazujących jej głęboki, niepodważalny sens. Z kolei gdy powierzono mu stanowisko wychowawcy królewskiego syna – delfina – następcy tronu, napisał dedykowaną swojemu uczniowi „Rozprawę o historii powszechnej", w której przedstawił wizję dziejów świata konsekwentnie prowadzonych przez Bożą Opatrzność tak, by ostatecznie nastąpił społeczny i polityczny triumf religii objawionej. Natomiast formą literacką, po którą Bossuet sięgał najczęściej – z racji swoich kapłańskich obowiązków – było kazanie, z którego to również, tak jak w przypadku oracji żałobnej, potrafił uczynić prawdziwe dzieło sztuki.

Atmosfera, która panowała w ówczesnej Francji, zdecydowanie sprzyjała rozwojowi kaznodziejstwa. Oprócz wspomnianej konfrontacji z ideami protestanckimi, która wymagała zaangażowania katolickiej elokwencji, były to także czasy swoistej mody panującej wśród elit katolickich na słuchanie kazań – szczególnie tych wygłaszanych przez wyróżniających się kaznodziejów. Madame de Sevigné, kronikarka tamtej epoki i osoba wpływowa, opowiada w swoich „Listach", jak to w ciągu jednego dnia chodziło się do kilku różnych kościołów, by przypadkiem nie przegapić kazania ojca Bourdaloue, Fromentièresa, Fléchiera czy właśnie Bossueta. Ten ostatni, podobnie zresztą jak pozostali wymienieni tu wielcy kaznodzieje, bez wątpienia świadom swojego talentu, nie traktował jednak ambony jako miejsca do zabiegania o sławę i poklask, z którego w stronę zachwyconych słuchaczy należało kierować potok „złotych słów" , wygłaszać ozdobne oracje. Poruszenie, jakie wywoływały zarówno mowy, jak i kazania Bossueta, wynikało przede wszystkim z odwołania się w nich do tej

FOTARCH.

eprasa.pl a63b32ee02

nigdy niewyczerpującej się treści, jak pisał Chateaubriand w „Geniuszu chrześcijaństwa", którą są Miłość i Bóg; a także – niejako w konsekwencji – z dotknięcia kluczowych dla człowieka tematów, odwiecznie go frapujących: jego powołania, miejsca i znaczenia pośród stworzenia – sensu życia i sensu śmierci. Oczywiście klasycznie piękny i elegancki język „Orła z Meaux", jak nazywano później Bossueta (który w drugiej połowie życia został biskupem podparyskiej diecezji Meaux) oraz jego zdolność – w przypadku „Mów pogrzebowych" – subtelnego portretowania zmarłych osób, kreślenia pasjonującej panoramy wydarzeń okalających ich życie, również walnie przyczyniały się do tego, że był on wówczas tak chętnie słuchany i że do dziś jego słowo oczarowuje.

Niewolnicy wielkiego wyścigu

Aby zrozumieć wizję śmierci, którą przedstawia Bossuet i którą warto przybliżyć, trzeba sobie uświadomić, jaka była sceneria wygłaszanych przez niego kazań, a przede wszystkim jego przemów żałobnych, to znaczy kto właściwie ich słuchał, kim byli odbiorcy? O ile w przypadku kazań audytorium było bardzo szerokie, począwszy od mieszkańców Paryża, przez żołnierzy garnizonu w Metz, a skończywszy na „prostym ludzie" z Meaux, o tyle jeśli chodzi o „Mowy pogrzebowe", w których śmierć przywoływana jest najczęściej, słuchaczami była ścisła elita królestwa. Byli to ówcześni możni tego świata, „celebryci" – można by powiedzieć z przekąsem, choć bez wątpienia o stokroć przewyższający tych, których dziś określamy tym mianem; krewni i przyjaciele zmarłych, wreszcie był to niejednokrotnie także sam król Ludwik XIV. Mówienie o śmierci do takiej publiczności wiązało się z niekwestionowanym wyzwaniem: w jaki sposób skutecznie zwrócić myśl słuchaczy w stronę tego, co nadprzyrodzone, wieczne, skoro z racji swojej pozycji, majątku, sprawowanych zaszczytnych funkcji są oni upojeni doczesnością i wszystkim tym, co może im ona zaoferować. Rzeczywiście, na dworze Króla Słońce trwał wówczas jeden wielki festiwal próżności i ludzkiej pychy: dworzanie brali udział w szaleńczym wyścigu po zaszczyty i przywileje rozdzielane przez monarchę; otrzymawszy je wspinali się na kolejne stopnie pałacowej hierarchii, pomnażali swoje fortuny i otaczali swoje nazwiska blaskiem jeszcze większej chwały. Była to niejako konsekwencja zaprowadzenia nowego porządku na najwyższych szczeblach władzy przez Ludwika XIV. Odsunął on od sprawowania kluczowych urzędów przedstawicieli starych rodów, którzy nie odznaczali się zadowalającą go lojalnością i poddaństwem i otworzył drogę do kariery na dworze dla drobnej szlachty, a nawet dla mieszczan. W ten sposób urzędy, tytuły, stanowiska zdobywało się, nie automatycznie z racji bardzo wysokiego urodzenia, lecz wytrwałą, mozolną pracą na rzecz interesów króla i państwa: postawą uniżonej służby, ale i pełną przedsiębiorczej zaradności. Taki model wymagał wielkich poświęceń zarówno osobistych, jak i finansowych – trzeba było zostawić swój folwark, poddanych, niekiedy i rodzinę, przenieść się do stolicy, co wiązało się z ogromnymi wydatkami, znosić z zaciśniętymi zębami przeciwności, upokorzenia, niewygody: konieczne było całkowite oddanie się – duszą i ciałem – karierze.

Widząc tę wielką namiętność, to zatracanie się ówczesnych „ludzi sukcesu", Bossuet starał się ze wszystkich sił wyrwać ich znad moralnej i duchowej przepaści, gdzie zmierzali albo raczej gdzie – całkowicie odurzeni – pędzili, prześcigając i tratując się nawzajem. Kult światowego powodzenia, który mieli w sercach, utożsamiał z żądzą wzbudzania podziwu i poszukiwania własnej chwały, a zatem z pychą, którą nazywał „zbrodniczą zuchwałością". W swoich mowach i kierowanych do dworzan kazaniach wielokrotnie zaznaczał, że jedynym źródłem chwały, w tym również tej ziemskiej, jest Ten, dzięki któremu władcy są wynoszeni na trony, a wielcy wodzowie odnoszą zwycięstwa, Ten, który zsyła natchnienia, obdarza łaskami, zdrowiem, urodą i wszelkimi innymi możliwymi darami. Człowiek nie ma nic sam z siebie, wszystko, czym mógłby się poszczycić, otrzymuje od swojego Stwórcy, który całkowicie bezinteresownie otwiera przed nim swój skarbiec i obsypuje bogactwami – dzieli się więc w ten sposób swoją chwałą z człowiekiem. Tak więc ten, który sam sobie przypisuje Boże dary i oczekuje z ich powodu pochwał i poklasku, staje się owym zuchwałym przestępcą, który uzurpuje sobie to, co do niego tak naprawdę nigdy nie należało. Gdy człowiek postępuje w ten sposób, staje się w całej swojej marności i małości jeszcze bardziej godny pożałowania – bo nie ma nic gorszego, mówił Bossuet, od nędzarza nadętego pychą. Ten stan rzeczy tak typowy dla ludzkiej natury był jednym z powodów, jak tłumaczył dalej kaznodzieja, dla których nastąpiło Wcielenie – a więc zupełne ukorzenie i uniżenie się Boga: człowieka trzeba było nauczyć pokory.

Stało się zatem jasne, dlaczego Chrystus przyszedł na świat w stajni, dlaczego wiódł niezwykle skromne życie w rodzinie nikomu nieznanego cieśli i wreszcie dlaczego przyjął najgorszy, najbardziej

eprasa.pl a63b32ee02

upokarzający rodzaj śmierci, jaki wówczas istniał – mękę na krzyżu. W ten oto sposób porządek został odwrócony: krucyfiks z atrybutu najpodlejszej kaźni stał się symbolem prawdziwej chwały i triumfu – nad światem i jego pychą. Bossuet zachęcał zatem swoich słuchaczy, by jeśli pragną chwały, szukali właśnie tej, którą otoczył się Jezus w swoim ziemskim życiu. Jako przykład jej urzeczywistnienia stawiał jednego z bohaterów swoich „Mów", Mikołaja Corneta, rektora Kolegium Nawarskiego – swojego wykładowcę i przyjaciela, którego nazywał „ukrytym skarbem". Wielkość i urok Corneta brały się bowiem stąd, że pozostawał on w cieniu, nie przyjmował lukratywnych stanowisk, które mu ofiarowywano – wolał pełnić służbę dla Nawarry, a jednocześnie, jak się okazało, miał wielkie serce dla ubogich, którym pomagał w sposób najbardziej dyskretny.

Temat chwały Bossuet podjął również w mowie ku pamięci księżniczki Henrietty Angielskiej – niespodziewanie zmarłej żony brata Ludwika XIV, zwanej „Madame". Henrietta była jedną z kluczowych postaci francuskiego dworu, jej liczne talenty, w tym także polityczne i dyplomatyczne, a przy tym dziewczęcy wdzięk sprawiały, że była prawdziwie wielbiona przez swoje otoczenie. I nagle, jak wskazywał orator, który osobiście znał Madame i czuwał nad nią w chwili jej agonii, wszystkie te jej zalety, powaby, tytuły, fortuna zostały unicestwione: w obliczu śmierci przestały mieć jakiekolwiek znaczenie: „O wielkości! O chwało! Możemy jeszcze słyszeć te wyrazy śród obecnego śmierci tryumfu, nie, Panowie, nie mogę dłużej wytrzymać tych szumnych słów, którymi duma ludzka sama siebie zaślepić usiłuje, by nie dojrzeć swej nicości [...] Możnaż co budować na tych zwaliskach? lub jakie wielkie przedsięwzięcie wesprzeć na tych nieuchronnych gruzach rzeczy ludzkich?".

Bossuet ukazywał, że powody, dla których ludzie gotowi są wzrastać w pychę i zatracać swoje dusze, są całkowicie iluzoryczne, przemijają w mgnieniu oka, nie warte są, by w nie lokować jakiekolwiek swoje „aktywa". Człowiek powinien aspirować do prawdziwej wielkości, a droga do niej wiedzie nieuniknienie przez pokorę, skromność, cichość serca. Jednak tu na ziemi nawet owa święta chwała nie będzie nigdy pełna – dopiero po zbawieniu człowiek dostąpi jej w sposób doskonały. Paradoksalnie zatem dzieje się to poprzez śmierć, która jest niszczycielką chwały – ale tej czysto ziemskiej, a więc marnej i próżnej. W tym świetle śmierć zaczyna się jawić jako rzeczywistość, która nie jest przekleństwem i karą, lecz momentem, na który warto czekać i na który warto się szykować.

„Twarzą w twarz"

„Mowy pogrzebowe" Bossuet wygłaszał w drugiej połowie XVII wieku, był to czas, gdy w sztukach wizualnych, ale i w literaturze wciąż rozpowszechniona była estetyka sięgająca jeszcze późnego średniowiecza, która akcentowała naturalistyczny, brutalny wręcz aspekt ludzkiego odejścia poprzez obrazy rozkładu i zniszczenia ciała. W książce „Człowiek i śmierć" Philippe Ariès, francuski historyk sztuki, wskazuje, że tańce śmierci, czaszki i piszczele jako ornamenty pojawiały się w XVI i XVII wieku nawet częściej niż miało to miejsce w wiekach wcześniejszych. Tymczasem Bossuet kładł nacisk na zupełnie inny obraz śmierci, który jak się okazało, ma w sobie wiele filozoficznego, teologicznego oraz poetyckiego piękna.

Zanim jednak kaznodzieja odkrył go przed swoimi słuchaczami, chciał, zdając sobie sprawę z duchowego letargu, w którym się znajdowali, potrząsnąć nimi, podobnie jak wtedy, gdy zdecydowanie potępiał ich niepohamowany kult kariery i sukcesu. W swoich mowach żałobnych z całą mocą podkreślał zatem prawdę, którą ludzie upojeni światem tak często wypierają ze świadomości – że śmierć rzeczywiście istnieje i jest znacznie bliżej człowieka niż mogłoby mu się to wydawać. Zabiera ona bowiem swoje ofiary całkowicie niespodziewanie, niekiedy gdy są w kwiecie wieku i w pełni sił, gdy odnoszą życiowe sukcesy, gdy dobrze im się wiedzie – tak jak stało się to właśnie z Henriettą Angielską. Księżniczka w 1670 roku udała się w imieniu Ludwika XIV do Anglii, by przekonać króla Karola II Stuarta – notabene swojego rodzonego brata – do zawarcia tajnego porozumienia z Francją wymierzonego w Niderlandy, które Ludwik planował zaatakować. Co ciekawe umowa, która przeszła do historii jako traktat z Dover, zawierając szereg zobowiązań dotyczących współpracy militarnej i politycznej, zakładała również, że Karol, który był protestantem, wróci na łono Kościoła katolickiego, gdy atmosfera w jego królestwie będzie ku temu sprzyjać. Ten ostatni zapis ziścił się dopiero piętnaście lat później, gdy Stuart był na łożu śmierci; negocjacje Henrietty w 1670 roku zakończyły się jednakże sukcesem – porozumienie zostało zawarte. Powracającą triumfalnie do Paryża Madame witał rozentuzjazmowany Ludwik XIV, całą tę radość przerwało jednak nagłe pogorszenie się zdrowia Henrietty, którą po wypiciu filiżanki kawy z cykorii chwyciły silne bóle. Po kilku godzinach agonii księżniczka zmarła na skutek, jak się sądzi, zapalenia otrzewnej, kulisy jej zgonu do dziś jednak otacza tajemnica.

eprasa.pl a63b32ee02

„O straszliwa nocy! O nocy okropna! W której z nagła jak trzask piorunu rozległa się ta wieść niespodziana: Księżna umiera! Księżna nie żyje! [...] Cóż więc miała li tak prędko zgasnąć! Po większej części z wolna w ludziach dzieją się odmiany, a śmierć zwykłym trybem sposobi ich do ostatniego kresu: Księżna jednak przeszła od poranka do wieczora; z rana tak wdzięcznie zakwitała; wieczorem jużeśmy ją zwiędłą widzieli; a te mocne wyrażenia któremi Pismo Święte opisuje niestateczność rzeczy ludzkich, miały się na tej Pani spełnić co do joty [...]". O ile Bossuet bez wątpienia chciał, by jego słuchacze uznali śmierć za realną, bliską, stale towarzyszącą człowiekowi, o tyle nie pragnął, by trwali oni z tego powodu w smutku i lęku: „Panowie moi, więc już wszystko dla nas zwątpione? Toż Bóg, który tak dalece gromi wszystkie nasze wielkości, iż je znowu w proch obraca, nie zostawia nam żadnej nadziei? [...] Tu nowy porządek rzeczy rozwija się przede mną; cienie śmierci się rozpraszają; drogi do życia prawdziwego wiodące stają mi otworem. Księżna już nie jest w grobie, śmierć zdająca się wszystko niweczyć, ustaliła wszystko [...] Pomnijmy przeto, Chrześcijanie, że jako ze strony ciała mamy związek ze zmienną i śmiertelną naturą, tak z drugiej strony zostajemy w ścisłej styczności, w tajemnym pokrewieństwie z Bogiem, bo sam Bóg wlał w nas coś takiego, co zdolne jest [...] czcić jego doskonałość i tej doskonałości pełność podziwiać [...] co zdolne jest z Bogiem się zjednoczyć, to też do niego powróci".

Bossuet przedstawiał zatem swoim słuchaczom śmierć jako powrót boskiego pierwiastka, znajdującego się w człowieku do swojej praprzyczyny – do Stwórcy, który nie chce i nie może unicestwić tego, w czym, w swojej wielkiej miłości zawarł część samego siebie. Owe przejście duszy do swojej ojczyzny jest obrazem, w którym zdecydowanie widać inspirację filozofią Platona. Jej wpływ dostrzec można również w kolejnej wizji śmierci zawartej w Mowie ku pamięci księcia Ludwika de Bourbon-Condé zwanego Wielkim Kondeuszem – królewskiego krewnego, wielce zasłużonego wodza francuskiej armii.

Bossuet ukazywał księcia na łożu śmierci, otoczonego przez bliskich, i przytaczał słowa, być może nieco je parafrazując, które umierający wówczas wypowiadał: „»Nigdym«, rzecze, »nie wątpił o tajemnicach religii, cóżkolwiek w tej mierze powiedziano« [...] »Ale«, mówi dalej, »teraz mniej o nich wątpię niż kiedykolwiek; niech te prawdy, rozplatają się i rozjaśniają się w moim umyśle! Tak jest, zobaczę Boga jakim jest twarzą w twarz«, powtarzał po łacinie z dziwnym upodobaniem [...] Cóż się działo w tej duszy? Co za nowe objawiło mu się światło? Co za nagły promień przebijał chmurę i jakoby w tej samej chwili rozpraszał niewiadomość zmysłów i święte pomroki wiary?".

Bossuet pokazywał tutaj, że śmierć wyznacza początek pełnego poznania, które do tej pory było oparte tylko na zmysłach i wspomagane wiarą – natomiast po przekroczeniu progu wieczności, człowiekowi „otwierają się oczy", odkrywa rzeczywistość, której wspaniałość i piękno były przed nim przesłonięte. Ułomność ziemskiego postrzegania, pełnia poznania prawdy po śmierci – to znów odwołanie do motywów platońskich. Bossuet był jednak filozofem chrześcijańskim, wielokrotnie mówił o Wcieleniu i zmartwychwstaniu ciał – o prawdach, które dla Platona i jego następców byłyby zapewne nie do pomyślenia. Przywoływał też słowa księcia de Condé, w których wyraźnie dawało się usłyszeć nawiązanie do „Hymnu o miłości": „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany" (1 Kor 13, 12).

W swojej medytacji nad śmiercią, którą prowadził w „Mowach pogrzebowych", kaznodzieja sięgał także po inne wizje ludzkiego odejścia. W mowie poświęconej Michałowi Le Tellier, kanclerzowi Francji, śmierć jest utożsamiona ze szczęśliwym i radosnym końcem długiej podróży, natomiast w przywoływanej już mowie o Henrietcie Angielskiej Bossuet przedstawiał ją także jako ostateczne wyzwolenie człowieka od pokus.

Odmalowane przez oratora obrazy nie mają na celu wzbudzenia w słuchaczach emocji – strachu, niepokoju, odrazy – tak często wywoływanych przez dosadne przedstawienia barokowe z ich nagimi szkieletami i toczonymi przez robaki wnętrznościami. Wizje ukazane w „Mowach" mają naturę całkowicie odmienną, są owocami intelektualnego zagłębienia się w tajemnicę śmierci, medytacji nad nią, nie zaś przesadnie rozbudzonej wyobraźni. I to właśnie do rozumu słuchających go osób Bossuet pragnął się odwołać, chciał przede wszystkim, by używając swoich władz wyższych, dobrze zrozumieli oni, czym tak naprawdę jest śmierć – by przestali ją łączyć ze złem, cierpieniem, ale spojrzeli na nią z perspektywy dobra i szczęścia, które ze sobą niesie.

▶ Sztuka umierania

Nieodłącznym elementem Bossuetowskich rozważań jest „dobra śmierć" – klasyczny motyw literatury i sztuki religijnej. W swoich „Mowach" kaznodzieja niemal nieustannie nakłaniał swoich słucha-

eprasa.pl a63b32ee02

czy, by na cudzą śmierć spojrzeli nie jako na jakiś sztuczny, odległy spektakl, lecz jak na zapowiedź tego, czego sami będą musieli doświadczyć, czemu sami będą musieli stawić czoła. Bo śmierć stanowi wyzwanie. To, czy będzie dobra i piękna, jest kwestią otwartą. Zależy, jak podkreślał orator, od codziennego wprawiania się w sztuce umierania.

Na czym owa sztuka polega i czy jest w ogóle możliwa: czy da się umierać – żyjąc? W jednej z mów Bossuet stawiał przed swoją publicznością postać ojca Franciszka Bourgoing, przełożonego zgromadzenia oratorianów, który odchodząc ze świata wyciągał ręce w kierunku zbliżającej się do niego śmierci i mówił, że nie zabiera mu ona nic cennego, nic, do czego byłby przywiązany, nic, z czym nie mógłby się rozstać. Ciało, które jest jej główną i jedyną zdobyczą, Bourgoing już dawno poddał umartwieniu – przez wyrzeczenia, posty, jałmużnę – przestało mu ono ciążyć, a w chwili zgonu jego utrata nie była powodem łez. Do takiej właśnie praktyki Bossuet zachęcał swoich słuchaczy, nie zapominając ani przez chwilę, że miał do czynienia z ludźmi, którzy słysząc podobne wezwania kwitowali je zapewne uśmiechem pełnym politowania albo, w najlepszym przypadku, stwierdzali, że przy ich stylu życia było to zupełnie niemożliwe. Asceza jest jednak zbawienna, nie tylko by zapewnić sobie szczęśliwą śmierć, ale też by cokolwiek osiągnąć w życiu, w którym nieustannie trzeba zaciskać zęby, wytrzymywać próby, a co więcej prowadzić zmagania z tym wszystkim, co jest zakorzenione w człowieku, a co próbuje go od wewnątrz zniszczyć.

Oczywiście owa pokutna postawa powinna być dostosowana do stanu, w jakim dana osoba żyje: Bossuet nie wymagał, by jego słuchacze zmienili się w augustiańskich mnichów albo – co gorsza – posępnych purytanów, jednak zdecydowanie napominał, by w sposób dla siebie odpowiedni, ale jednocześnie konsekwentnie zaczęli wdrażać program umartwienia, choćby drobnego. Z tym wezwaniem łączył także apel, by nie odkładać pojednania z Bogiem i z bliźnim do samego końca, by nie łudzić się, że nawrócenie może nastąpić na łożu śmierci: „Te jednodniowe wzruszenia na cóż się przydadzą? Oto ostatnią tylko sprawią zatwardziałość, bo kto się długo wzrusza na próżno, już się później nieczem nie wzruszy".

Takie rozumienie przygotowania do śmierci, które musi się realizować bez zwłoki – tu i teraz – było, jak pokazuje Philippe Ariès, charakterystyczne dla duchowości epoki nowożytnej. Zrezygnowała ona z nacisku na ceremonie i rytuały dla umierających, do odprawienia dla uratowania duszy w ostatniej godzinie, i zaczęła postulować codzienne szykowanie się do śmierci przez pokutę i po prostu pobożne i dobre życie.

***

Mowy pogrzebowe wygłaszane ku pamięci znamienitych przedstawicieli wielkiego stulecia Bossuet zdawał się dedykować przede wszystkim swoim słuchaczom. To oni – ze swoim nieuporządkowanym życiem, zagubieniem, niewłaściwym postrzeganiem śmierci, albo właśnie zupełnym jej niepostrzeganiem – znajdowali się w centrum jego uwagi i troski.

Dzisiaj na miejscu słuchających Bossueta dworzan zasiadają współcześni karierowicze, gwiazdy, bohaterzy mediów społecznościowych – ale także my wszyscy, których w taki czy inny sposób zwiodło swym urokiem „życie rumiane jak rzeźnia o poranku". Wydaje się, że w obecnych czasach to jego wirtualna odsłona rozwija ofertę pokus szczególnie silnych i destrukcyjnych.

Zarzucenie nas milionem bodźców, ciągłe podbechtywanie naszej miłości własnej, stymulowanie „wszystkim i niczym". Trudno się dziwić, że gdy w całym tym chaosie pojawia się jakaś informacja czy wzmianka o śmierci, ma ona formę w najlepszym wypadku banału. A śmierć jest rzeczą zbyt poważną, by brać ją za błahostkę, piksel w grze wideo albo jedną z liczb z portalu informacyjnego. Nie jest ona również rzewnym wspomnieniem czy wspólnym pocieszeniem się przy suto zastawionym stole pogrzebowej uczty. To rzeczywistość – w pełnym tego słowa znaczeniu, której nie można spychać na margines świadomości, w imię poprawienia sobie samopoczucia albo „nieprzestraszenia się", przed czym skwapliwie nas ostrzegają różni poczciwi doradcy czy przedsiębiorcy pogrzebowi. Owszem, śmierć to rzecz bardzo konkretna, namacalna, bliska, w pewnym sensie też straszna, ale jednocześnie gdy rozważy się ją, wzorem Bossueta, w ciszy i głębi ducha, odsłoni ona swoje piękne – nadprzyrodzenie – oblicze. ■

_____

Wszystkie cytaty z mów pogrzebowych pochodzą z: „Mowy pogrzebowe J.B. Bossueta biskupa meldeńskiego", tłum. Aleksander Cukrowicz, Kraków 1838.

Bibliografia: Philippe Ariès, „Człowiek i śmierć", Warszawa 1989; Jean Calvet, „Bossuet", Paryż 1968; François-René de Chateaubriand, „Génie du Christianisme", Paryż 1966, t. II.; Wojciech St. Magdziarz, „Uwodziciele władzy. Geneza i organizacja dworu Ludwika XIV", Warszawa 2013.

eprasa.pl a63b32ee02

Piotr Lisiewicz

Za odmowę namalowania portretu Hitlera zginął w Auschwitz. Niesamowita historia Marcina Rożka

„W ten sposób upadłoby symboliczne miejsce pogromu Bismarcka, upatrzone przez zbiorową wolę społeczeństwa pod pomnik, którego lapidarna, granitowa wymowa miałaby przypominać po wszystkie wieki, że Bóg pokierował wojną ludów, która niepojęta o nas, toczyła się dla nas" – pisał 12 listopada 1928 roku „Kurier Poznański" o budowie Pomnika Wdzięczności w Poznaniu. Figurę Chrystusa, postawioną w miejscu pomnika Bismarcka, wyrzeźbił artysta Marcin Rożek. W październiku 1939 roku Niemcy zburzyli polski pomnik, a potem uwięzionemu Rożkowi zaproponowali namalowanie portretu Adolfa Hitlera. Odmówił i za to trafił do transportu do Auschwitz. A pomnik nie wrócił do dziś, bo władze Poznania z PO skutecznie sabotują jego odbudowę.

eprasa.pl a63b32ee02

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl:a63b32ee02

Wybitny rzeźbiarz Marcin Rożek był postacią niezwykle barwną. Gdy po wybuchu I wojny światowej miał zostać wcielony do pruskiego wojska, by tego uniknąć, posłużył się fortelem. „Jako gorący patriota wzbraniał się wziąć udział w wojnie jako żołnierz pruski, symulował więc ciężką chorobę żołądka. Całą noc przed stawieniem się w oznaczonym dniu przed komisją wojskową spędził bezsennie paląc silne papierosy i pijąc krew oraz zażywając inne doradzane mu przez polskich lekarzy środki. Wszystko to odniosło skutek, Rożek został zwolniony z wojska" – czytamy w książce „Wilkowa Ligia. Marcin Rożek 1885–1944".

Jego dzieła stały się symbolem polskości ziem zachodnich i jako takie niszczone były przez Niemców. Oprócz Pomnika Wdzięczności, Niemcy zburzyli w 1939 roku pomnik Bolesława Chrobrego koło katedry w Gnieźnie, którego odsłonięcia dokonał 30 maja 1929 roku prezydent Ignacy Mościcki. Pomnik Chrobrego miał więcej szczęścia od Pomnika Wdzięczności – o jego odbudowę zabiegał komitet na czele z prymasem Glempem, a zgodę na nią wydał w 1985 roku komunistyczny premier Mieczysław Rakowski. Bo Chrobry pasował mu do walki z... rewizjonizmem RFN.

W 1979 roku zrekonstruowano też inne dzieło Rożka – Pomnik Siewcy przed poznańską Akademią Rolniczą, czyli obecnym Uniwersytetem Przyrodniczym. Pamiętam, jak jako 7-letnie dziecko, syn dr. Stanisława Lisiewicza z tejże uczelni, patrzyłem na tłumy wzruszone tym, że historia prawdziwej Polski powraca...

Indiańskie stroje i pruska pięść

Marcin Rożek urodził się 8 listopada 1885 roku w Kosieczynie w powiecie międzyrzeckim, jako syn robotnika kolejowego Andrzeja Rożka i jego żony Katarzyny, z domu Andres. Był najstarszy spośród siedmiorga rodzeństwa. „Marcin przyszedł na świat w czasach trudnych dla ludności polskiej żyjącej pod zaborem pruskim. Były to lata, w których rząd pruski dokonał już przekształcenia Wielkopolski z Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815–1870), gwarantującego ludności polskiej swobody językowe oraz pewną autonomię" – czytamy w „Wilkowej Ligii".

Ojciec Marcina był polskim patriotą, po czternastu godzinach ciężkiej pracy resztę czasu poświęcał na uczenie swoich dzieci języka i historii Polski. Gdy chłopiec miał sześć lat, jego rodzina przeniosła się z Kosieczyna do Zbąszynia, gdzie rozpoczął naukę. Dwa lata później na stałe przenieśli się do Wolsztyna, z którym Marcin najsilniej miał być związany.

„Chłopiec był bardzo lubianym kompanem zabaw, cenionym przez towarzyszy za uzdolnienia plastyczne, dzięki którym umiał zrobić zabawkę, piękny strój indiański, namalować obrazek. Czasem zakradał się do miejscowego parku, gdzie na koronach drzew rzeźbił głowy meduz i innych dziwnych stworów. W szkole zwracał na siebie uwagę nauczycieli zeszytami pełnymi rysunków" – wspominają autorzy „Wilkowej Ligii".

W 1900 roku Marcin ukończył szkołę w Wolsztynie. Zarówno nauczyciel, jak i tutejszy proboszcz widząc zdolności chłopca, doradzali rodzicom, by oddali go na naukę rzemiosła do warsztatu kamieniarskiego. Tak Marcin trafił pod opiekę mistrza sztukatora i kamieniarza Piotra Gimzickiego w Poznaniu.

Studia w Berlinie i Monachium

W 1904 roku Towarzystwo Naukowej Pomocy dla niezamożnej młodzieży im. Karola Marcinkowskiego udzieliło mu stypendium. Dzięki temu mógł rozpocząć studia rzeźbiarskie w Berlinie. Najpierw rozpoczął naukę w Kunstgewerbeschule, szkole rzemiosła artystycznego, która przygotowywała do studiów na Akademii. By tam studiować, przeniósł się do Monachium. Od 1905 roku studiował na Akademii Monachijskiej w klasie prof. Erwina Kurza, który był uczniem Hildebranda, wychowanego w kulcie włoskiego renesansu.

Jak czytamy w „Wilkowej Ligii", z lat studiów Rożka zachowały się dwie płaskorzeźby, prawdopodobnie prace egzaminacyjne. Pierwsza to brązowy odlew nazwany „Wydaleni", który przedstawia dwóch silnie umięśnionych mężczyzn, idących z węzełkami niesionymi na kiju. Druga to portret Kazimierza Zimmermanna. „Zadziwia wielką swobodą i dojrzałością wykonania, trafnością ujęcia psychologicznego".

Studia Rożka w Monachium skończyły się w 1909 roku. Po powrocie do Polski otrzymał on zamówienie ze strony katedry poznańskiej na wykonanie tablicy pamiątkowej biskupa Floriana Stablewskiego, ufundowanej przez Koła Katolickich Stowarzyszeń Robotniczych. W międzyczasie przebywał jeszcze w Paryżu.

W 1911 roku wrócił na stałe do Polski i do Poznania, ale otrzymał zamówienie na rzeźbę portretową – popiersie Władysławy Mieczkowskiej. Rodzina Mieczkowskich mieszkała wówczas w Niedźwiedziu w Prusach, gdzie udał się, by wykonać popiersie, a także portret syna Władysławy, Leszka, oraz portret córki Krysi. Podczas pobytu w Niedźwiedziu Marcin zaczął rzeźbić tondo „Madonna z Dzieciątkiem", będące pierwszym z cyklu jego słynnych tond. Tondo to obraz bądź płaskorzeźba w kształcie koła, której najczęstszym motywem były sceny religijne, w tym przedstawienie Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. W Niedźwiedziu zaczął się też zajmować poważnie malarstwem.

Kościuszko z szablą i ułan Rożek

Dopiero w 1913 roku Rożek wrócił na dobre do Poznania. Zamieszkał u przyjaciela z monachijskich stu-

eprasa.pl a63b32ee02

diów, architekta Antoniego Rejmana, przy ulicy św. Marcina 27. W marmurze wyrzeźbił półpostać Tadeusza Kościuszki chwytającego szablę. Namalował też portrety postaci swoich czasów – inż. Lucjana Michałowskiego i inż. Stefana Duchowskiego. „Wypracował w nich swój typ portretu olejnego, przedstawiając postać siedzącego en trois quarts modela w fotelu, na szarym, naturalnym tle" – czytamy w „Wilkowej Ligii".

Gdy wybuchła I wojna światowa, zdrowy jak byk poborowy Rożek wykpił się od służby w pruskim wojsku opisanymi wcześniej sposobami. Został zwolniony z wojska, ale aby czuć się całkiem bezpiecznie, wyjechał z Poznania do przyjaciół we wsi w niemieckim województwie wrocławskim, gdzie malował. Jak czytamy, z tego okresu jego twórczości znane są dwa obrazy olejne: „Zazdrość" oraz „Śmierć Leszka Białego pod Gąsową". W sierpniu 1916 roku Rożek wrócił do Poznania, uznając, że wezwania do wojska już mu nie grożą. Wynajął mieszkanie wraz z pracownią przy ul. Kochanowskiego 4 na Jeżycach i tam rzeźbił i malował.

Ale pracę twórczą przerwała szansa walki o wolną Polskę. Marcin zaciągnął się do oddziału ułanów dowodzonego przez Ignacego Mielżyńskiego. Jego bracia, Józef i Kazimierz, walczyli w oddziałach piechoty.

Oryginał z Poznania

Po wywalczeniu niepodległej Polski rozpoczęła się budowa Uniwersytetu Poznańskiego i innych polskich uczelni. Wówczas Marcin Rożek, Wiktor Gosieniecki i Jan Wroniecki utworzyli komisję, której celem było założenie wyższej szkoły artystycznej. I powołano do życia Szkołę Sztuk Zdobniczych, która zainaugurowała swoją działalność 1 listopada 1919 roku. Rożek objął kierownictwo wydziału rzeźby, ale po roku uznał, że woli tworzyć, niż być pedagogiem.

Tworzył znowu cykl tond, w tym obraz „Św. Antoni z Dzieciątkiem" dla kościoła w Biskupicach Ołobocznych pod Ostrowem Wielkopolskim. Później wyrzeźbił nagrobek doktora Pawła oraz rzeźby: „Ewa" oraz grupę „Ligia i Ursus", będąca impresją związaną z sienkiewiczowskim „Quo vadis". W 1921 roku powstała piękna płaskorzeźba „Pieta".

„Rożek był postacią popularną w Poznaniu lat międzywojennych. Miał wielu przyjaciół ten oryginał, wysoki, szczupły, z dużym nosem, będąc powodem wielu dobrotliwych żartów. Jako towarzysz – małomówny, nawet mrukliwy, lecz niesłychanie uczciwy, wierny, lojalny. Te cechy charakteru sprawiały, że chętnie widziano go jako gościa, toteż w kółku towarzyskim, jakie tworzyli wówczas pp. Gosienieccy, Miśkiewiczowie, Hedingerowie, Bronisław Preibisch, a często Lucjanowie Michałowscy i prof. Sz. Dettloff, nigdy nie brakowało i pana Marcina" – czytamy w „Wilkowej Ligii".

Jak stwierdzają autorzy, przyjaciele ci byli często nabywcami prac rzeźbiarza lub pośrednikami zakupu. Do najlepszych prac Rożka z tego czasu należą głowy: prof. Dettloffa (1925), Kazimiery Miśkiewiczowej (1924), Jadwigi Hedingerowej (1925) i jej siostry M. Panieńskiej, Nikodema Pospieszalskiego (1923) oraz wdzięczna głowa trzynastoletniej Jagódki Wyszomirskiej (1923). „Te portrety, a zwłaszcza głowy ks. prof. Dettloffa i N. Pospieszalskiego, wnoszą trwałe wartości w historię rzeźby polskiej".

Słowiański siewca

W 1923 roku powstał pierwszy z pomników Rożka – Pomnik Siewcy w Luboniu koło Poznania, usytuowany na terenie przyfabrycznego parku, który dziś nosi nazwę Parku Siewcy. Postać siewcy przedstawiała słowiańskiego rolnika i przygotowana została na zamówienie Fabryki Chemicznej dr. Romana Maya z Lubonia. Pomnik w formie gipsowej wystawiono także podczas Powszechnej Wystawy Krajowej (jak mówiono wówczas – PeWuKi) w 1929 roku przed pawilonem Fabryki Nawozów Chemicznych dr. Romana Maya.

Wtedy też Marcin Rożek wykonał z brązu odlew postaci siewcy, mierzącej 290 cm, którą ustawiono na sześciometrowym cokole z piaskowca, tworzącym w dolnej części fontannę ozdobioną głowami delfinów. Całość ustawiono w przyfabrycznym parku znajdującym się na osiedlu wybudowanym dla przedwojennej kadry inżynierskiej zakładów w Luboniu. W późniejszym czasie na cokole umieszczono medalion z podobizną dr. Romana Maya. W PRL, w 1979 roku wykonano kopię pomnika, która stoi do dziś przed budynkiem Collegium Maximum Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Później artysta tworzył mniejsze pomniki i popiersia Fryderyka Chopina i Stanisława Moniuszki w poznańskich parkach.

Ogromny Chrobry w Gnieźnie

W 1925 roku zaczął powstawać słynny pomnik Bolesława Chrobrego, który stanął w Gnieźnie na placu katedralnym. Inicjatorem budowy pomnika był ks. bp Antoni Laubitz. 12 września 1925 roku odsłonięta została przez prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego gipsowa replika pomnika, która była związana z aktem położenia kamienia węgielnego i uczczeniem 900. rocznicy gnieźnieńskiej koronacji Bolesława Chrobrego.

Spiżowy monument został wykonany w Warszawie w zakładzie Braci Łopieńskich. Praca nad nim zajęła artyście kilka lat. „Postać króla imponowała rozmiarami. Rożek pracował nad wykonaniem pomnika w udostępnionej mu w tym celu jednej z hal fabryki Cegielskiego w Poznaniu" – czytamy w „Wilkowej Ligii".

eprasa.pl a63b32ee02

Ostatecznie stanął na najniższym poziomie tarasowego placu katedralnego w kwietniu 1929 roku, a uroczystego odsłonięcia dokonał 30 maja 1929 roku prezydent Ignacy Mościcki. Pomnik został zniszczony przez Niemców w czasie kampanii wrześniowej w 1939 roku.

Po II wojnie wielokrotnie wracano do sprawy odbudowy pomnika. W końcu w 1981 roku powstał komitet, którego honorowym przewodniczącym został prymas Polski, kardynał Józef Glemp. Odsłonięcie nowego pomnika nastąpiło w maju 1985 roku. Wykonawcą rzeźby, opartej o pierwowzór Rożka, był poznański rzeźbiarz Jerzy Sobociński.

Dowbor-Muśnicki, bramy tryumfalne i „wielotysięczne rzesze"

W 1929 roku Rożek wykonał też rzeźby przeznaczone do dekoracji terenów Targów Poznańskich przy okazji PeWuKi. Miały być one alegoriami przemysłu, rolnictwa i leśnictwa. Rolnictwo symbolizowała kobieta siedząca na wole, trzymająca snopy zboża. Przemysł – kobieta siedząca na delfinie z rybą w ręku. Wreszcie leśnictwo – żubr.

Rożek stał się bardzo popularny. Wyrzeźbił także Pomnik Powstańców Wielkopolskich w Szamotułach. Autor relacji z odsłonięcia pomnika zamieszczonej w „Gazecie Szamotulskiej" (1929 nr 106) zatytułował ją „Wielkie dni Szamotuł". „Miasto było pięknie przystrojone kwiatami i flagami narodowymi, ustawiono też wiele dekoracji dziś rzadko używanych, określanych jako bramy triumfalne. Nie obyło się bez kłopotów, gdyż którejś nocy skradziono zasłonę z gotowego pomnika i od tej pory pilnował go nocny stróż. Dwudniowe uroczystości rozpoczęły się w sobotę, 7 września. Rano ks. proboszcz Kaźmierski odprawił nabożeństwo żałobne, a delegacja szamotulskiego Towarzystwa Powstańców i Wojaków złożyła kwiaty na grobach poległych powstańców. Po południu zaciągnięto wartę przed pomnikiem, a wieczorem odbył się capstrzyk – przemarsz różnych organizacji z orkiestrą i pochodniami, zakończony wieczornicą w sali Sundmanna przy ul. Poznańskiej. W czasie wieczornicy śpiewał chór Lutnia, grała orkiestra. Głównym punktem programu był referat Zygmunta Ciesielczyka, osoby niezwykle zasłużonej dla Szamotuł w okresie powstania wielkopolskiego. To właśnie Zygmunt Ciesielczyk, jako prezes oddziału (gniazda) Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", zorganizował pierwszy oddział zbrojny, był ważną osobą w Powiatowej Radzie Ludowej i pierwszym komendantem wojskowym miasta" – czytamy na portalu Region Szamotulski.

Jak opisał dziennikarz „Gazety Szamotulskiej", po nabożeństwie „wielotysięczne rzesze" ustawiły się w kolumnach na Rynku. Chorągiew wciągnął na maszt szamotulski powstaniec Kazimierz Lurka, a zastępca dowódcy Okręgu Korpusu Nr VII płk Gomółowski dokonał przeglądu zgromadzonych organizacji. Wszyscy udali się w pochodzie na plac w pobliżu pomnika. Najważniejszym gościem uroczystości był Józef Dowbor-Muśnicki generał w stanie spoczynku, dawny dowódca powstania wielkopolskiego.

W 1930 roku na zamówienie Sejmu Śląskiego Rożek wykonał popiersia działaczy śląskich: Karola Miarki, Józefa Lompy, Pawła Stalmacha i ks. Londzina.

Poznański łuk tryumfalny

Najbardziej znanym dziełem Rożka był Pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa, nazywany również Pomnikiem Wdzięczności lub Pomnikiem Chrystusa Króla, czyli łuk triumfalny będący wotum za odzyskaną niepodległość przez Polskę, postawiony w 1932 roku na placu Mickiewicza w Poznaniu.

Pomysł budowy pomnika pojawił się w 1920 roku na Zjeździe Katolickim w Poznaniu. Po długich sporach pomnik usytuowano w Dzielnicy Cesarskiej, w miejscu zburzonego w 1919 roku pomnika Bismarcka, czyli w okolicy obecnego Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956. „W ten sposób upadłoby symboliczne miejsce pogromu Bismarcka, upatrzone przez zbiorową wolę społeczeństwa pod pomnik, którego lapidarna, granitowa wymowa miałaby przypominać po wszystkie wieki, że Bóg pokierował wojną ludów, która niepojęta o nas, toczyła się dla nas" – pisał Kurier Poznański 12 listopada 1928 roku.

23 stycznia 1930 roku uzyskano pozwolenie na budowę i przystąpiono do pracy. Pomnik miał formę łuku triumfalnego wysokości 12,5 m i szerokości 22 m. W środkowej wnęce znajdowała się wysoka na 4 m odlana z brązu figura Chrystusa, autorstwa Rożka. To on wykonał również dwa medaliony nad bocznymi przęsłami. Medalion po lewej stronie przedstawiał papieża Piusa XI, a po prawej prymasa Polski Edmunda Dalbora. Stronę północną ozdabiały płaskorzeźby autorstwa Kazimiery Pajzderskiej. Po lewej stronie znajdował się wizerunek rycerza w husarskiej zbroi, a po prawej żołnierza w polowym mundurze i hełmie, trzymającego karabin. W środkowej wnęce znajdowała się alegoryczna płaskorzeźba przedstawiająca trzy stany przedwojennej Polski skupione pod polskim godłem. Serce znajdujące się w figurze ufundowane zostało przez katolickie matki miasta Poznania. Na pomniku widniał napis: „Sacratissimi Cordi – Polonia Restituta".

Pomnik uroczyście odsłonięto 30 października 1932 roku, w święto Chrystusa Króla. W uroczystościach pod przewodnictwem kardynała Augusta Hlonda wzięły udział tłumy poznaniaków. Podczas wygłoszonej wówczas homilii Prymas mówił: „Na tej ziemi, na której najpierw wzbił się Orzeł polski, w tym pięknym stołecznym mieście, naród stawia swój dokument dziejowy. Jest to dokument wdzięczności tego pokolenia, które cudu wolności było świadkiem".

eprasa.pl a63b32ee02

Rożek stał się znany w Polsce i na świecie, brał udział w wielu międzynarodowych wystawach zagranicznych. „Garnęli się więc uczniowie do jego pracowni. Pierwszy w 1928 roku przybył Jan Żok, spokrewniony z artystą. Następnie doszedł Petrol, potem ks. Kowalski. Wraz z tymi uczniami Rożek pracował nad płaskorzeźbami »Św. Marcin oddający płaszcz żebrakowi« oraz postaciami czterech świętych patronów miasta i kraju – Piotra, Pawła, Wojciecha i Stanisława na wieżę kościoła św. Marcina w Poznaniu oraz nad ołtarzem Serca Jezusowego. Uczniowie Ci byli świadkami powstania w 1929 roku pełnej wdzięku rzeźby »Kobieta z psem i kotem«" – czytamy „Wilkowej Ligii".

Dzięki wielu zamówieniom Rożka stać było na realizacje swojego marzenia – budowę domu w rodzinnym Wolsztynie. Dom z dwoma obszernymi pracowniami budował według własnych koncepcji. „Na piętrze mieściła się pracownia malarska, na parterze rzeźbiarska. Okna pracowni wychodziły na ogród dochodzący do brzegu jeziora. Wzdłuż dróżki prowadzącej przez ogród do jeziora ustawił artysta wykonane przez siebie popiersia ulubionych pisarzy, muzyków, filozofów. Ten dom – marzenie artysty – miał mu zapewnić nastrój i warunki do rozmyślań i pracy" – piszą autorzy.

W 1933 roku Rożek przeniósł się z Poznania do Wolsztyna. Po jeziorze w okolicy lubił pływać łódką. Zajął się też muzyką. Komponował i grał na fisharmonii. W nowej pracowni stworzył figury piętnastu polskich świętych i błogosławionych wieńczące skarpy katedry gnieźnieńskiej oraz płaskorzeźbę – „Św. Jerzy walczący ze smokiem" do tympanonu nad wejściem do kościoła św. Jerzego w Gnieźnie. Jedną z ostatnich prac Marcina Rożka, które ocalały, jest powstała w 1938 roku głowa portretowa Karola Kurpińskiego, zdobiąca foyer opery poznańskiej.

Do Auschwitz za odmowę namalowania portretu Hitlera

Napaść Niemiec na Polskę zastała Rożka w Krobii, gdzie pracował nad cyklem płaskorzeźb do drogi krzyżowej w tamtejszym kościele św. Mikołaja. Po klęsce kampanii wrześniowej było jasne, że jako artysta i powstaniec wielkopolski należy on do ludzi, których Niemcy będą chcieli zamordować w pierwszej kolejności.

Podjął jedyną sensowną decyzję, by się ukrywać. Pomocy udzielili mu przyjaciele z Wolsztyna – Stanisław Góźdź wraz z żoną Heleną. Także Góźdź jako adwokat i polski działacz społeczny poszukiwany był przez gestapo. Rożek ukrywał się kolejno w Poznaniu, Objezierzu i Tarnowie Podgórnym. Rzeźbiarz tęsknił jednak do swojej pracy. „Przemknął się więc pewnego dnia w jesieni 1939 roku częściowo wozem dostawczym, częściowo pieszo do Wolsztyna, do ostatniego ze swoich uczniów Edwarda Przymuszały. Od niego dowiedział się, że część rzeźb z jego ogrodu i pracowni Niemcy rozbili, część wrzucili do jeziora, a samego artystę ciągle poszukiwano. Dłuższy pobyt w Wolsztynie był już bardzo niebezpieczny i bezcelowy. Wrócił więc załamany do Poznania, skąd też musiał uchodzić dalej, mimo posiadanych fałszywych dokumentów na nazwisko Schultz, o które postarała się, pracująca już w tajnych organizacjach działających w Wielkopolsce i na Śląsku, Helena Góździowa. Rożek również wykonywał dla tych organizacji fałszywe stemple, pisał ulotki" – czytamy w „Wilkowej Ligii".

Jesienią 1941 roku został aresztowany w Tarnowie Podgórnym i umieszczony w Forcie VII w Poznaniu, do którego trafiali przedstawiciele wielkopolskich elit. Pracował tam jako magazynier. Pilnujący go Niemiec zorientował się, jakie umiejętności ma więzień, i zaczął mu dostarczać materiały do malowania. A wykonane przez niego obrazy sprzedawał jako... własne. Wiadomo, że podczas pobytu w Forcie VII Rożek przekradał się do celi oczekujących na śmierć, by towarzyszyć im przez ostatnią noc i podtrzymywać ich na duchu. Przyłapany na tym trafił do karnej celi.

W końcu naczelnik więzienia zaproponował mu namalowanie portretu Adolfa Hitlera. Odmówił, uznając to za niegodne Polaka i artysty. Za takie nieposłuszeństwo został wysłany pierwszym transportem do Auschwitz, gdzie zmarł z wycieńczenia 10 kwietnia 1944 roku.

„Jesteśmy to winni naszym przodkom"

Muzeum Marcina Rożka działa dziś w Wolsztynie. 3 lutego 2012 roku zawiązał się w Poznaniu Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Wdzięczności, na czele z prof. Stanisławem Mikołajczakiem, prezesem Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Lecha Kaczyńskiego. Komitet chciał, by pomnik, odtwarzany ze składek społecznych, stanął ponownie w mieście najpóźniej do 2018 roku, w setną rocznicę odzyskania niepodległości. O jego odbudowie napisał: „Jesteśmy to winni naszym przodkom. Pomnik Wdzięczności był pomnikiem niezwykłym, bo niezwykła jest jego geneza i przesłanie, które towarzyszyło jego twórcom, niezwykłe są świadectwa ludzi, którzy pamiętają Pomnik i towarzyszący mu kult. Miał on miejsce także po jego zburzeniu, bo Pomnik w zadziwiający sposób wpływał na losy wielu osób. Poszukujemy i dokumentujemy ich relacje". Odtworzona figura Chrystusa Króla stoi koło kościoła w parafii Najświętszego Serca Jezusa i Św. Floriana na Jeżycach. Od 2014 roku w poznańskich szkołach odbywa się konkurs wiedzy o pomniku. Jednak kłody rzucane przez władze miasta spowodowały, że pomnik nie powstał do dziś. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Ewa Polak-Pałkiewicz

Książę kardynał bez koturnów

Dlaczego kardynał Adam Stefan Sapieha doczekał się w Polsce, po siedemdziesięciu dwóch latach od swojej śmierci, tak swoistego „upamiętnienia" przez oszczerców? Czym Książę Niezłomny zasłużył na to „wyróżnienie"?

eprasa.pl a63b32ee02

FOT. ARCH

Długie jego życie (1867–1951) obejmujące wydarzenia tak przełomowe, jak odzyskanie przez Polskę niepodległości, dwie wojny światowe, zagnieżdżenie się reżimu komunistycznego w naszym kraju, mogłoby być prawdziwą lekcją historii – a dla niejednego mędrka, który uważa się za znawcę Kościoła i „wie", że historia ta jest historią „skandali" – lekcją pokory, gdyby tylko zechciano je rzetelnie poznać.

„Wasz dumny arcybiskup"

Jako mąż stanu i biskup w momentach najważniejszych dla naszej historii dawał przykład wierności i męstwa. Nigdy nie zawiódł. W czasie ostatniej wojny, gdy niemiecka nawała runęła na Kraków, nie ruszył się z miejsca. „Mógł, jak wielu innych, spodziewać się bezwzględnych represji dzikich najeźdźców. Prymas Hlond został wezwany do Warszawy, nie zdążył wrócić do Gniezna [...], został zepchnięty do Zaleszczyk. Arcybiskup krakowski z wieku i z urzędu objął przewodnictwo nad biskupami całej Polski, wszyscy równali do niego" – podkreślał ks. Walerian Meysztowicz (1893–1982), radca ambasady polskiej w Watykanie (od 1932 roku), profesor prawa, bliski znajomy kardynała.

Nękano go nieustannie. Gestapowcy wielokrotnie nachodzili jego dom, aresztowano ludzi z jego najbliższego otoczenia (m.in. doradcę i współpracownika – ks. Lubowieckiego), nigdy jednak nie odważyli się wtargnąć do pałacu biskupiego i zrobić rewizję. On sam wielokrotnie interweniował u władz okupacyjnych, sprzeciwiając się terrorowi wobec Polaków. Jego interwencja spowodowała uwolnienie grupy profesorów krakowskich wysłanych do obozów koncentracyjnych. Pięciokrotnie pisał do Piusa XII prosząc, by zajął oficjalne stanowisko wobec zbrodni niemieckich w Polsce. Odmawiał współpracy z Niemcami, gdy próbowali namówić go na wspólny front przy zwalczaniu komunistów. Nigdy nie korzystał z „powózki" na Wawel, gdzie rezydował Hans Frank. Gdy musiał się z nim tam spotkać (raz jeden), szedł piechotą. Mały, chudy starzec wzbudzał niesłychany respekt swoją godną i nieprzejednaną postawą. Niemcy go nie znosili, ale też bali się go. Mówili o nim: „Euer stolze Erzbischof" („Wasz dumny arcybiskup"). Pomagał z ogromnym zaangażowaniem ofiarom wojny, przesiedleńcom, uciekinierom, sierotom, patronował Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO) i za jej pośrednictwem wielu Polaków wyreklamował z najcięższych opresji. Popierał WiN. „Wyzwolicieli" – Sowietów – przywitał w Krakowie zakazem uderzenia w Dzwon Zygmunt. Nie miał złudzeń, że następuje tylko zmiana okupanta. Wobec komunistów jego stanowisko było jednoznaczne, nie przewidywał żadnych kompromisów.

eprasa.pl a63b32ee02

Porywczy, zawsze przepraszał...

Układność zresztą nie była jego mocną stroną, brzydził się grą, potrafił być gwałtowny. Zdarzało mu się popełniać gafy polityczne. Niektórzy posądzali go o wielkopańskie fanaberie, ale wszyscy, którzy znali go bliżej, zgadzali się, że potrafił swoje emocje ujarzmiać wobec wymogów racji stanu, obowiązków biskupa. Gdy się zagalopował, zawsze przepraszał.

Pochodził z linii Sapiehów kodeńskich. Od czasu, gdy Pius XI ustanowił diecezję krakowską metropolią, tytuł księcia metropolity przysługiwał mu nie tylko z racji urodzenia – lecz także z uwagi na Księstwo Siewierskie, które biskupi krakowscy nabyli jeszcze we wczesnym średniowieczu. Studiował na kilku uczelniach europejskich prawo i teologię, m.in. w Wiedniu, Lille, Innsbrucku. W Rzymie, na Lateranie obronił doktorat „z obojga praw", kanonicznego i cywilnego. W Kościelnej Akademii Szlacheckiej kształcił się w dyplomacji i doskonalił znajomość, francuskiego, włoskiego i niemieckiego.

Jako młody ksiądz wyświęcony przez kardynała Puzynę znalazł się w bliskim otoczeniu papieża Piusa X, który obdarzył go godnością szambelana czynnego. Szambelani papiescy byli grupą księży odpowiedzialnych za przyjmowanie gości Ojca Świętego. Liczyły się dobre maniery; trzeba było „nie zadzierać nosa wobec ubogich i prostych i umieć się znaleźć wobec królów i cesarzy" – pisze ks. Walerian Meysztowicz. Sapieha stał się wkrótce kimś więcej, jako tzw. szambelan tajny – nieformalnym ambasadorem spraw polskich. Papież powierzał mu poufne misje związane z Kościołem na ziemiach polskich. Piusowi X zawdzięczał także stolicę biskupią w Krakowie. „Normalną drogą ówczesnych nominacji, kiedy właściwie nuncjusze decydowali o wyborze, niepospolicie energiczny, gwałtowny nawet Sapieha na pewno biskupem by nie został. Każdy nuncjusz bałby się późniejszych z nim trudności. Musiało istnieć między świętym papieżem a młodym księdzem jakieś wyczucie wspólnoty w sprawie najistotniejszej: stosunku do Boga" – stwierdza ks. Meysztowicz. Obaj, Giuseppe Sarto, przyszły święty – o którego domniemanym polskim pochodzeniu sporo się przed II wojną w Polsce mówiło – i Adam Sapieha słynęli z wyjątkowej pobożności.

Talent i werwa, jakie wykazywał młody biskup przy administrowaniu diecezją krakowską, wielu zaskakiwały. A jest to często spotykana cecha u potomków historycznych rodów, gospodarzenie na dużych obszarach to dla nich chleb powszedni. Pracowitością, gorliwością zjednywał niejednego, ale działał silnie także jego urok osobisty. Pod tym względem przypominał marszałka Piłsudskiego. Łatwo zjednywał sobie ludzi, choć potrafił być szorstki. Nierzadko obstawiał asystę i ceremoniarza po długich liturgicznych celebracjach, te wybuchy przechodziły jednak zawsze „jak letnie burze". Nikt się na niego nie potrafił gniewać, wiadomo było, że „gotów był zaraz dać się posiekać za tego, kogo objechał".

Czy arystokrata musi być nieukiem?

Nie ułożyły się najlepiej jego relacje z kolejnym papieżem Piusem XI, Achillesem Ratti, z którym starł się jeszcze w czasach, gdy przyszły papież był w Polsce (najpierw jako kanonik watykański, delegat apostolski, a potem nuncjusz). Kwestią sporną stał się plebiscyt w sprawie przynależności Górnego Śląska do Polski. Achilles Ratti jako ówczesny Wielki Komisarz na obszarze plebiscytowym poparł dekret biskupa wrocławskiego, kard. Adolfa Bertrama, który zabraniał duchowieństwu wykorzystywać w tej sprawie ambonę. Mimo zdecydowanie propolskiego nastawienia przyszłego papieża, wielu objawów żywych uczuć wobec niepodległej Polski, ta kwestia stała się także zgrzytem w stosunkach dyplomatycznych z rządem polskim. „Rząd polski, na wieść o tym dekrecie i roli, którą jakoby miał przy jego publikacji odegrać ks. Achilles Ratti, zagroził zerwaniem stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Ks. Ratti, zmuszony do wyjazdu z Polski, wrócił do Rzymu i niebawem został wybrany na Stolicę Piotrową jako papież Pius XI" – czytamy w jednym z opracowań.

Pius XI poskąpił kapelusza kardynalskiego biskupowi Sapieże, na co w Kościele polskim bardzo liczono. Uważał zaangażowanie biskupów w politykę za niewłaściwe. A biskup Sapieha „mieszał się" do polityki niepodległego państwa polskiego z przekonaniem, że to także jego biskupi obowiązek. Związek między ważnymi sprawami Kościoła i państwa uważał za oczywistość. Mówienie prawdy rządzącym bez owijania w bawełnę, a nawet przeciwstawienie się im, „z należytą godnością dla obrony wyższych praw religii i moralności", było jego specjalnością. Potrafił na przykład wytknąć władzom państwa, że „konkordat był zrobiony na kolanie". Nikogo to zresztą w Polsce międzywojennej nie dziwiło szczególnie ani nie gorszyło. Bezkompromisowość uznawano za jego atut.

Ksiądz Meysztowicz przypuszcza, że tłem animozji z Piusem XI mogło być pochodzenie Sapiehy. Przy najlepszej woli obydwu tych nietuzinkowych postaci Kościoła polski szambelan mógł całkiem bezwiednie grać na nerwach kierującemu wówczas (w pierwszych latach XX wieku), Biblioteką Apostolską i pogrążonemu w pracy naukowej młodemu księdzu Ratti (przyszły papież, syn kowala z Desio pod Mediolanem, był bibliotekarzem z zawodu i z pasji), swoją swobodą, pozorną dezynwolturą. Czasem za długo sypiał, widywano go na schodach watykańskich w sandałach. W Watykanie przed I wojną światową zachował się jeszcze pewien styl, dziedzictwo czasów, „gdy na całym świecie toczyła się walka między urodzeniem

eprasa.pl a63b32ee02

a wykształceniem, metryką a dyplomem. Arystokratyczna Anticamera Pontificia [wł. Przedsionek, miejsce, gdzie przygotowywano prywatne audiencje papieża] – już nie pamiętam, kto tam był prócz księcia Sapiehy i markiza Caccia Dominioni – spoglądała z góry na skrybów z Biblioteki Apostolskiej, wśród których był ksiądz Ratti; uczeni skrybenci z biblioteki byli skłonni do uważania wszystkich arystokratów za ograniczonych nieuków" .

Ale też to właśnie Pius XI określił go kiedyś żartobliwie i z wyraźną sympatią jako „tego niezwykłego biskupa, który chce zawsze siedzieć na koniu z obnażoną szpadą". To fakt, konno jeździł znakomicie i z zamiłowaniem (z taką samą przyjemnością wypalał po obiedzie jedno cygaro); niekiedy wyruszał tym sposobem na wizytację peryferyjnych parafii.

W przeciwieństwie jednak do supozycji o postawę pełną wyższości, przypuszczeń obecnych także w pewnych kręgach watykańskich – prof. Stefan Kieniewicz wspominał księcia kardynała jako człowieka pełnego prostoty. Jego zamaszysty krok, „wspaniały rzymski profil", bezpośredniość w sposobie bycia i dosadność języka potęgowały wrażenie czegoś dziarskiego, dzielnego. Gdy Kieniewicz przygotowywał się do opracowania biografii jego ojca, księcia Adama Stanisława Sapiehy z Krasiczyna – wielkiego patrioty, społecznika i polityka, zwanego z racji swoich zaangażowań społecznych „czerwonym księciem" – i korzystał z dokumentów przekazywanych mu przez rodzinę metropolity i jego samego, miał okazję jadać z nim posiłki w pałacu biskupim. Obiadowe menu stanowiły zazwyczaj „cienka zupka, kotlecik siekany i kompot, wieczorem trochę zsiadłego mleka w głębokim talerzu i porcja tłuczonych kartofli okraszonych smażoną cebulką. Wszystko podane na książęcej, herbowej porcelanie".

„Kochaliśmy go – wspominał prof. Józef Mitkowski, historyk – Jego mała, szczupła sylwetka, żywo poruszająca się, przenikliwe oczy i krótkie, zwięzłe słowa budziły u nas młodych odruch szczerej sympatii. Był zdyscyplinowany i lubił surowy styl życia. Było w nim coś żołnierskiego. Wiedzieliśmy, że jako gospodarz wspaniałego pałacu biskupiego w Krakowie sam pracuje w pokoju umeblowanym do minimum oszczędnie i sypia na prostym metalowym łóżku".

Kieniewicz zapamiętał też długą rozmowę z arcybiskupem w rodowej siedzibie Sapiehów w Krasiczynie, o jego ojcu. On jeden – spośród sześciorga dzieci – miał naprawdę dużo do opowiadania i wiele mu ta rozmowa, jako historykowi, dała, na wiele tropów naprowadziła. „[...] nie było w niej nic z hagiografii, ale serdeczne wspomnienie o żywym i bliskim człowieku" – wspominał po latach.

▶ Gdy legioniści grożą rękoczynami

Najgorzej poszło z pochówkiem Marszałka na Wawelu. Gdy dwa lata po uroczystym złożeniu ciała Józefa Piłsudskiego w krypcie św. Leonarda krakowski metropolita zarządził przeniesienie trumny Marszałka do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów (z uwagi na nadmiar odwiedzających w miejscu do tego nieprzystosowanym), emocje jego przeciwników sięgnęły zenitu. „Wiadomo, jakie namiętności i nerwy budzi wśród Polaków zawsze każda sprawa dotycząca pogrzebu. Prasa podniosła ryk, piłsudczycy rzucili się na endeków, legioniści grozili rękoczynami. Ministerstwo szyfrem kazało ambasadorowi żądać od Stolicy Apostolskiej natychmiastowego usunięcia metropolity krakowskiego" – notował ks. Meysztowicz. Polska dyplomacja na szczęście błysnęła wielkim kunsztem, Józef Beck w decydującym momencie zachował zimną krew, a Pius XI, mimo całej rezerwy wobec Sapiehy, nie uległ presji rządu i nie odwołał go ze stolicy biskupiej. Nuncjusz Cortesi załagodził sprawę, obejmując w imieniu papieża na pewien czas władzę w katedrze wawelskiej, sam kardynał zaś wykonał gesty pojednania wobec prezydenta Mościckiego.

„To zresztą nie było trudne: Sapieha nie był pyszny, wiedział, że łatwo się myli, na swoją inteligencję nigdy nie liczył, a swój upór litewski umiał przełamywać". Ludzie, którzy znali go osobiście, wiedzieli też dobrze, że jego stosunek do Marszałka był pozbawiony uprzedzeń. Ci dwaj potomkowie bojarów wielkoksiążęcych mieli wiele wspólnych cech, książę metropolita potrafił docenić zwycięstwa Piłsudskiego, a on z kolei dobrze znał duchowy format Sapiehy i jego uczucia wobec Rzeczypospolitej. „Każdy z nich widział w drugim wielkość" – nie udało się sprowadzić wzajemnego stosunku tych dwóch wybitnych Polaków do banału politycznych niesnasek.

Ksiądz Meysztowicz nie pominął w swoich wspomnieniach o kardynale sposobu, w jaki traktował on księży. Nie było tajemnicą, że było to prawdziwe ojcostwo – wielkoduszne, ale i surowe, gdy trzeba. „Znał zawsze z bliska wszystkich kleryków z seminarium, chodzili mu służyć co dzień do mszy św. Wiem o wypadkach nieszczęść, związanych z celibatem, i o niezwykłej dobroci, takcie, stanowczości, z jaką metropolita umiał w nie wkraczać. Wiem o niepotrzebnych święceniach i o ludzkim, serdecznym stosunku do księży na bezdrożach". Tylko tyle i aż tyle zdecydował się powiedzieć człowiek, który znał Sapiehę z bliska i znał dobrze – także jako profesor prawa kanonicznego – żelazne reguły, jakie w tej mierze wobec duchowieństwa obowiązywały w Kościele.

Pytanie tylko, czy ci, którzy szargają pamięć o kardynale, w ogóle są w stanie zrozumieć, co znaczą słowa „takt", „dobroć", „stanowczość"? To terra incognita dla tych, którzy parają się tą brudną robotą, na antykatolickiej propagandzie robiąc życiowe kariery.

▶ W oczach matrony i damy

Matylda Sapieżyna z Windisch-Graetzów (1876–1968), żona starszego brata kardynała, księcia Pawła Sa-

eprasa.pl a63b32ee02

piehy, darzyła go przez całe swoje długie życie spędzone w Polsce wielką atencją i serdecznością. Był dla tej Austriaczki z pochodzenia, ale polskiej patriotki, przykładem dobrego pasterza, kimś mądrym, przystępnym, wielkodusznym. Często wracała do pierwszych relacji, jakie przywiózł z Rzymu jeszcze w 1910 roku jej małżonek. Oboje z mężem byli ujęci zaufaniem i bliskością, jaką Giuseppe Sarto wykazywał wobec młodego polskiego księdza.

„W swej świątobliwej prostocie Papież darzył naszego księdza Adama szczególną sympatią, mówił o nim »è un angelo« [to anioł], oceniał jego czystą i pogodna duszę, prawość i oddanie sprawie Bożej, bez cienia myśli o sobie i interesowności" – notowała Sapieżyna we wspomnieniach. „Te zalety są rzadkie nawet u księży i zwłaszcza u dworu papieskiego, gdzie kwitną ludzkie ułomności, ambicje i intrygi, jak wszędzie! Podobno ksiądz Adam zapytał się raz Papieża, czy to prawda, co ludzie mówią, że uzdrawia chorych – »Bóg wszystko może« – odpowiedział Ojciec Święty". (Skądinąd jego kanonizacja przeprowadzona przez Piusa XII w 1954 roku była związana z szeregiem udokumentowanych przypadków uzdrowień dokonanych za jego wstawiennictwem.)

Pius X konsekrował Adama Sapiehę na biskupa w grudniu 1911 roku. W godło biskupie Sapieha wpisał „Crux mihi foederis arcus" („Krzyż mi łukiem przymierza"). Na odwrocie pamiątkowej fotografii z tej uroczystości, na której nowo wyświęcony biskup Adam siedzi w towarzystwie dygnitarzy watykańskich i gości z Polski, w tym brata, Paweł Sapieha utrwalił pochodzenie elementów jego stroju: „Mitra – biskupa Tomasza Strzempińskiego, poł. XV w.; Kapa koronacyjna – biskupa Andrzeja Trzebickiego, poł. XVIII w.; Stuła – biskupa Andrzeja Lipskiego, poł. XVIII w.; Pastorał – biskupa J. Małachowskiego (czasy Sobieskiego)".

Z uwagi na zażyłość i przyjaźń, jaka łączyła obu braci, Matylda Sapieżyna mogła obserwować działalność kardynała przez kilka dziesięcioleci z bliska. Zawsze był przyjacielem i obrońcą ludzi pogrążonych w nieszczęściu i najbiedniejszych, energicznym organizatorem pomocy dla ofiar I i II wojny światowej. W latach 1914–1918 utworzył Książęco-Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny, który hojnie wspierał także funduszami Ignacy Paderewski ze szwajcarskiego Komitetu Polskiego. Do opieki nad potrzebującymi krakowski metropolita zaangażował setki sióstr zakonnych, które bardzo sprawnie utworzyły specjalne „grupy szybkiego reagowania", w każdej chwili i w każdym miejscu gotowe śpieszyć z pomocą. „[...] drzwi się u niego nie zamykały, wszelka nędza i potrzeba znajdowały u niego zrozumienie i pomoc... otworzono szpitale, sierocińce, grupy pielęgniarek i medyków rozesłano po całym kraju w lecie 1915 r. do zwalczania epidemii cholery i tyfusu, do szczepienia ochronnego całej ludności... ta akcja szczególnie się udała, epidemie zgasły stosunkowo szybko" – pisała Matylda Sapieżyna, sama razem z mężem działając na rzecz ofiar wojny i żołnierzy w ramach Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża, którego Paweł Sapieha był pierwszym prezesem. Komitet biskupa Sapiehy pełnił w zasadzie na obszarze całej Polski funkcję ministerstwa opieki społecznej. „Użyteczne instytucje wyrosły jak grzyby po deszczu, błogosławieństwo Boże widocznie spoczywało nad tą pracą. Nasz książę Biskup stał się postacią legendarną; w lecie 1915 r., gdy bawił w Tyńcu na wakacjach, pożar wybuchł w pewnej chałupie, Biskup się tam udał. Opowiadano potem, że »chwycił garnek z barszczem znad kuchni i tak ogień zalał i zagasił!«".

Matylda Sapieżyna spisywała te zdarzenia skrupulatnie, nie w chęci stworzenia wyidealizowanego wizerunku szwagra i rozszerzenia splendoru rodziny. Zapisywała je „z marszu" w prywatnym pamiętniku, który prowadziła dla najbliższych (wydanym trzydzieści lat po jej śmierci z inicjatywy córki oraz wnuczki).

▶ O książęcym „mieszaniu się do polityki"

„Biskup napisał i już wydrukował list pasterski na post" – notował wiosną 1933 roku Paweł Sapieha, w korespondencji do córki Marii, która wstąpiła do zakonu niepokalanek w Jazłowcu (s. Assumpta). „Boję się, że będzie miał przykrości od rządzących, bo ostatecznie sub rosa [dyskretnie] zarzuca, że wpędzają społeczeństwo w bolszewizm. Posyłam ci ten list. Już i Kardynałowi (Hlondowi) zarzucają, że toleruje zapędy swego kleru ku endecji – a w księstwie przecież endeki są właściwie regułą. Napisałem do redakcji »Czasu«, że muszą reformować swoją ideologię – odrzucić kompromisy i piętnować zło, gdzie by nie było. Wszystkie wystąpienia kleru bardzo ostre przeciw rządowi uważam za nie bardzo szczęśliwe taktycznie, bo ostatecznie wpędzają go w objęcia radykalizmu coraz zaciętszego".

Książę Paweł Sapieha, społecznik, polityk, zaangażowany katolik, współtwórca Światowych Kongresów Eucharystycznych, które odbywały się w I połowie XX wieku w różnych stolicach, był człowiekiem doskonale zorientowanym w polityce europejskiej i światowej; w Polsce martwiły go zarówno utrzymywanie się i wzrost wpływów endecji z jednej strony, z drugiej podatność ludności ruskiej (ukraińskiej) – grekokatolików i prawosławnych – na propagandę komunistyczną szerzącą się zwłaszcza na obszarze dawnej Galicji. Obserwował te wpływy z bliska, będąc właścicielem majątku Siedliska, w pobliżu Rawy Ruskiej.

Sapiehowie z Siedlisk starali się tym wpływom jak najskuteczniej przeciwdziałać. Przez dziesiątki lat prowadzili rozległe dzieła społeczne na rzecz miejscowych. Wyremontowali cerkiew, ufundowali klasztor dla greckokatolickich

eprasa.pl a63b32ee02

sióstr, z którymi zresztą bardzo ściśle na co dzień współpracowali, organizowali i finansowali ochronkę dla wiejskich dzieci. Z niepokojem patrzyli na poczynania niektórych polityków, zwłaszcza tych z opozycyjnej Narodowej Demokracji. Paweł Sapieha wspierał rząd, należał do BBWR. „Nieszczęście to ND, która swoimi metodami opozycyjnymi wpędza Rząd coraz bardziej w objęcia jakichś niedowarzonych, nieprzemyślanych metod i działań etatystycznych" – pisał w maju 1933 roku do córki Marii.

„Sapieżyńska nieśmiałość"

Kardynał Adam Sapieha wobec bliskich unikał jak ognia wszelkiej ceremonialności, peszyły go ostentacyjne wyrazy czci. Pierwszy i jedyny raz Matyldzie Sapieżynie udało się go pocałować w rękę, gdy wracał z Rzymu po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego od Piusa XII, w 1946 roku. Tego dnia zwarty sznur mieszkańców Krakowa i okolicznych miejscowości otaczał trasę jego przejazdu od granic miasta aż do pałacu biskupiego. Wiwatowano, kłaniano się, rzucano kwiaty.

„Bóg wie, dlaczego zawsze byłam z Nim trochę onieśmieloną" – zwierzała się Matylda Sapieżyna w pamiętniku, „a On, być może, ze mną! Do później starości on jednak miał pewną nieśmiałość i sapieżyńską właściwość, że trudno mu było uzewnętrznić swoje uczucia... [choć]niezmiernie popularny i kochany, można powiedzieć, uwielbiany przez wielu. Choć rzadko publicznie przemawiał (a nie miał tej łatwości i wymowy, którą mąż mój Paweł odziedziczył po swoim ojcu Adamie), ale gdy mówił... Jego mądrość, wielka dobroć i miłosierdzie wraz z godnością i prostotą wielkiego pana podbijały bliższych i dalszych".

Więź między braćmi pogłębiła się jeszcze wraz z powiększaniem się rodziny Matyldy i Pawła. Ich pięcioro dzieci traktowało wuja biskupa jako doradcę, niezawodne źródło mądrości, wsparcie w potrzebach. Przyjeżdżano do niego przed podjęciem ważnych decyzji życiowych, małżeństw etc. Jego częste, choć zawsze bardzo krótkie wizyty w Siedliskach związane z wydarzeniami rodzinnymi, połączone z długimi włóczęgami po lesie (majątek leżał na skraju wspaniałego lasu, wychodziło się do niego wprost z domu) były zawsze „punktem kulminacyjnym przyjemności", jakimi bywały wizyty bliższych i dalszych krewnych.

Przyjaźń dla kardynała Sapiehy i chęć otoczenia go rodzinną serdecznością po śmierci brata były powodem, dla którego autorka pamiętnika i jej niezamężna córka Elżbieta zdecydowały się pozostać w Polsce komunistycznej po 1946 roku, pomimo licznych namów i propozycji, by wyjechały na Zachód. Pomimo perspektywy biedy i niezliczonych upokorzeń, których doznawały w kraju z racji swojego nazwiska. „Powiedzenie »szlachectwo zobowiązuje« regulowało nasze życie, nie poprzez przywileje, jakie się z tym łączą – ale przez obowiązki, które z tego wypływają" – zapisała w pamiętniku Matylda, wspominając także dzieje swojej austriacko-węgierskiej rodziny i rodziny męża.

W swoich wspomnieniach odwołuje się często do przeszłości rodziny Windisch-Graetzów i Sapiehów. Polską tożsamość i żarliwy patriotyzm zawdzięcza właśnie licznej i rozgałęzionej rodzinie męża, którą uznaje za wyjątkową pośród polskiej arystokracji, z uwagi także na silne więzi rodzinne, ciepło, lojalność, wzajemną pomoc. „Przyjęto mnie nad wyraz życzliwie, zdawało się, jakby nasze małżeństwo miało ich szczególnie uszczęśliwić, całemu otoczeniu i nawet krajowi wyjść na korzyść i pożytek, tak mnie wówczas na rękach noszono, kochano i przeceniano. Idealny stosunek, jaki ich łączył, stosunek pełnego zaufania, swobody i prostoty miał dla mnie urok niewypowiedziany. U nas życie rodziny mniej licznej, przy wielkim wzajemnym przywiązaniu, płynęło w atmosferze głębokiego uszanowania dla autorytetu i wojskowego zawodu mego Ojca, atmosfera, która mnie nieraz onieśmielała" (ojciec Matyldy był generałem kawalerii, generalnym inspektorem armii austriackiej, rodzina mieszkała w Krakowie i we Lwowie). Żeby po wojnie wspomagać rodziny dzieci i mieć za co żyć, by czuwać nad kardynałem, Matylda Sapieżyna wysprzedała całą swoją biżuterię. Jej córka Elżbieta, absolwentka anglistyki, romanistyki i germanistyki, nie mogła rzecz jasna z „takim" nazwiskiem uczyć w szkole; żeby przeżyć – i wkrótce też utrzymywać matkę w jej późnej starości – szyła kapcie z filcu w spółdzielni „Komuna Paryska".

Ale czy ktokolwiek z dzisiejszych oszczerców Księcia Niezłomnego jest w stanie podobne decyzje, motywacje, wybory zrozumieć, docenić, uszanować?

W 1946 roku, w dzień Bożego Ciała, nagle pękł dzwon w dzwonnicy Bazyliki Matki Bożej Kodeńskiej, ufundowanej przez Sapiehów, ze słynącym cudami obrazem Matki Bożej. Wspaniały dzwon odlany został w Udine za staraniem kardynała – także fundacji Sapiehów. Była rocznica śmierci księcia Pawła, zaczynał się komunistyczny terror...

Dla Waleriana Meysztowicza, tak jak dla rzeszy zwykłych ludzi i dla jego bliskich, kardynał Adam Sapieha pozostał uosobieniem patrioty, męża stanu i prawdziwego chrześcijanina. Dobry Pasterz, co oddawał każdy dzień życia za swoje owce, „Mniejsza o to, czy będą go kanonizować. Chwałę Bożą rozszerzał jak mało kto...". ■

———————

Źródła: Ks. Walerian Meysztowicz, „Gawędy o czasach i ludziach", Londyn-Łomianki 2008; Matylda Sapieżyna z Windisch-Graetzów, „My i nasze Siedliska", Kraków 2004; Stefan Kieniewicz, „Pamiętniki", Kraków 2021; Roksana Szczypta-Szczęch, „Kardynał Sapieha. Niemcy mówili o nim: Euer stolze Erzbischof", Przystanek Historia IPN, Kraków.

eprasa.pl a63b32ee02

Dariusz Jarosiński

Witold Jedlicki otwierał oczy polskiej emigracji na peerelowską rzeczywistość. Pisał wedle Mackiewiczowskiej zasady, że jedynie prawda jest ciekawa. Jego twórczość zapłodniła naszych emigrantów do dyskusji, do innego spojrzenia na sprawy krajowe.

Witolda Jedlickiego wyłom w legendzie „polskiego października”

W grudniu 1962 roku ukazał się w paryskiej „Kulturze” esej Witolda Jedlickiego pt. „Chamy i Żydy”, w którym autor opisał walki frakcyjne i podziały w łonie kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, które miały miejsce między marcem a październikiem roku 1956. Był to pierwszy tekst w powojennej naszej historii odsłaniający kulisy komunistycznej kuchni politycznej. Jedlicki podważał legendę o tym, jakoby narastające jeszcze przed 1956 rokiem oddolne naciski na partyjną górę doprowadziły do przemian nazywanych „polskim październikiem”. W istocie krótkotrwała liberalizacja systemu była wynikiem walki o władzę dwóch partyjnych frakcji. Konkluzja eseju Jedlickiego była taka, że dobrze się dzieje społeczeństwu wówczas, kiedy komuniści biorą się za łby i zajmują się sobą.

Zaczęło się w czasie wojny

Aby zrozumieć, co wydarzyło się w roku 1956 w Polsce, dlaczego doszło do walki między dwiema frakcjami w kierownictwie PZPR, dlaczego w ogóle one powstały, należy wspomnieć o kilku faktach. Po roku 1944 Stalin powierzył władzę w Polsce agenturze wywodzącej się m.in. z dawnej Komunistycznej Partii Polski, która spędziła czas wojny w Związku Sowieckim. Większość z tych ludzi była dobrze wykształcona, pochodziła z przedwojennych, inteligenckich rodzin żydowskich. Przybyli oni do Polski wraz z „wyzwoleńczą” Armią Czerwoną. Najważniejszymi osobami w aparacie władzy do roku 1956 byli Jakub Berman (bezpieka i kultura) oraz Hilary Minc, którego zadaniem było stworzenie gospodarki typu sowieckiego. Tak zwanym krajowcom, czyli komunistom przebywającym w czasie wojny w Polsce, Stalin nie bardzo ufał, najdobitniej świadczył o tym jego stosunek do Władysława Gomułki, lidera grupy krajowców. Krajowcy byli to komuniści pochodzenia chłopskiego lub robotniczego, słabo wykształceni.

W ścisłym kierownictwie bezpieki, poza Stanisławem Radkiewiczem, nie było ani jednego Polaka, znajdowali się tam sami funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego. Podobnie rzecz się miała w sądownictwie. Kulturą, prasą też zarządzali urzędnicy, politycy pochodzenia żydowskiego. Krajowcy odgrywali drugorzędną rolę w państwie. Sytuacja zaczęła się zmieniać po śmierci Stalina. Podczas XX Zjazdu KPZR Nikita Chruszczow wygłosił referat, w którym nowy satrapa obciążył swego poprzednika odpowiedzialnością za zmasowany terror, zbrodnie. Pod hasłem „odwilży” i „destalinizacji” Chruszczow zaczął wprowadzać swoje porządki, zmiany personalne na szczytach władzy w Sowietach i w podległych mu państwach satelickich.

To wówczas, po śmierci Bolesława Bieruta, w marcu 1956 roku, wyłoniły się dwie frakcje partyjne w kierow-

FOT. ARCH.

eprasa.pl a63b32ee02

nictwie PZPR. Stalinowcy, którym przewodniczył Roman Zambrowski, nazywani byli grupą puławską, bo spotykali się w Warszawie przy ulicy Puławskiej. Towarzysze z opozycyjnej frakcji nazywali ich z racji pochodzenia Żydami. Opozycjoniści zajmowali, jak już wspomniałem, mniej eksponowane stanowiska w partii i urzędach państwowych, nazywani byli natolińczykami, ponieważ spotykali się w pałacu w Natolinie, ale też dosadniej – chamami.

Puławianie (m.in. R. Zambrowski, S. Staszewski, J. Albrecht, W. Matwin, J. Morawski) za wszelką cenę starali się odciąć od swej zbrodniczej przeszłości, postulowali „socjalizm z ludzką twarzą", liberalizację systemu. Wątpliwa była szczerość ich intencji, nagłe nawrócenie. Natolińczycy (m.in. Z. Nowak, A. Zawadzki, J. Tokarski, K. Witaszewski, E. Szyr) uważali, że system jest w porządku, nie trzeba go zmieniać, tylko ludzie sprzeniewierzyli się jego zasadom, więc jedynie należy zmienić tych ludzi. Oskarżali puławian o kierowanie represjami w Polsce, podkreślając ich żydowskie pochodzenie. Byli zwolennikami silnej władzy i utrzymania dotychczasowych relacji z Moskwą.

Konkurencja w polityce jest wskazana

W opinii Jedlickiego „październik" zaczął się od VI Plenum PZPR, w czasie którego Chruszczow nie zgodził się na to, aby I sekretarzem KC PZPR został wybrany po śmierci Bieruta przywódca frakcji puławian, Roman Zambrowski. Puławianie, czując się zagrożeni, rozpoczęli dezorganizację aparatu władzy. W tym celu skorzystali z podporządkowanej sobie prasy, radia, wpływów w środowisku pisarzy, dziennikarzy. Z ich inspiracji powstały liczne artykuły, audycje, w których wyrażane zostały dążenia do liberalizacji systemu, zwiększenia swobód obywatelskich. Cyniczna manipulacja opinią publiczną okazała się skuteczna. W wielu miastach dochodziło do masowych wystąpień, manifestacji, ale one były zjawiskiem wtórnym, wywołanym w rzeczywistości przez puławian. Natolińczycy uznali, że dzięki poparciu Kremla, Chruszczowa, mają zapewnioną władzę, więc zachowywali spokój. I przegrali – zostali ograni przez sprytnych graczy z grupy puławskiej.

Puławianie nie zawahali się w walce o władzę użyć nawet prowokacji zagrażającej użyciem wojska przez Sowietów. Jak pisał Jedlicki: „Polskie Radio co chwilę powtarza z naciskiem, że Polska jest państwem suwerennym, a Komitet Warszawski P.Z.P.R. rozdaje broń robotnikom. Ten moment w ocenie wydarzeń jest szczególnie ważny. To nie opinia publiczna przez nieodpowiedzialne wystąpienia narażała kraj na interwencję sowiecką. Naprawdę na krawędź przepaści prowadziła kraj grupa pozbawionych skrupułów kombinatorów, kierując się wyłącznie motywem klikowego interesu".

Lawirujący między dwiema frakcjami Władysław Gomułka doszedł ostatecznie do porozumienia z puławianami i uzyskał ich poparcie w wyborze na stanowisko I sekretarza w czasie VIII plenum KC PZPR, które odbywało się w październiku 1956 roku. Za poparcie musiał oczywiście zapłacić puławianom stanowiskami. Niespodziewanie w czasie trwającego plenum przyleciał na rozmowy z Gomułką i Ochabem Chruszczow. Po burzliwej dyskusji zaakceptował kandydaturę Gomułki na I sekretarza oraz wstrzymał idące na Warszawę wojska sowieckie.

Inaczej potoczyły się sprawy na Węgrzech, tragicznie, ale tam Imre Nagy występował w imieniu narodu i w jego imieniu wysuwał dalsze żądania, u nas Gomułka obiecał Chruszczowowi zahamować proces demokratyzacji i położyć kres dalszym żądaniom narodu. I słowa dotrzymał.

„Chruszczow przyleciał do Warszawy niewątpliwie przerażony tym, co się tam działo – pisał Jedlicki. – Po paru godzinach mógł odlecieć spokojny, że sytuacja została opanowana i że w niedługim czasie anarchia zostanie ukrócona i porządek przywrócony. Panuje przekonanie, że Warszawa była sowiecką porażką, a Budapeszt zwycięstwem. W rzeczywistości było chyba odwrotnie. W Warszawie i w Budapeszcie Chruszczow odniósł w końcu te same efekty, tylko że w Warszawie przy pomocy jednej gabinetowej rozmowy, a w Budapeszcie kosztem strat nieobliczalnych [...] »październik« oznacza zahamowanie procesu demokratyzacji w Polsce i punkt zwrotny, od którego zaczyna się cofanie. Jest to nawet nie tyle skutek tego, co Gomułka Chruszczowowi obiecywał i w ogóle jaki był przebieg ich rozmowy, ile skutek zmiany, jaka się dokonała w centralnym ośrodku władzy. Przed październikiem dwie grupy rywalizowały ze sobą o władzę nad narodem: po to, aby odnieść w tej rywalizacji sukces musiały starać się o pozyskanie opinii, a po to, aby tę opinię pozyskać, musiały pójść na jakieś wobec niej ustępstwa. Przewrót październikowy tę pomyślną koniunkturę likwiduje: z dwóch grup rywalizujących pozostaje na placu boju tylko jedna, która nie ma już więcej żadnego interesu w tym, żeby czynić wobec mas jakiekolwiek ustępstwa. W interesie narodu polskiego leżało w r. 1956 utrwalenie stanu skłócenia i słabości władzy, a nie przechylanie szali na korzyść którejkolwiek ze stron. Tylko dzięki temu, że władza była wtedy skłócona i słaba, możliwe były tak szybkie postępy demokratyzacji jak te, które się dokonały między VI a VIII Plenum K.C. P.Z.P.R. Skupienie całej władzy w ręku Puławian w październiku 1956 kładzie tej wyjątkowej koniunkturze kres. To, co się w Polsce działo między marcem a październikiem 1956 r. było swoistą namiastką systemu wielopartyjnego. [...] Cała historia październikowa polegała na wyjątkowo cynicznym i trzeba powiedzieć wyjątkowo skutecznym oszukiwaniu opinii publicznej i wprowadzaniu jej w błąd. Masy robiły w istocie to, czego chcieli Puławianie".

eprasa.pl a63b32ee02

Asystent profesora Stanisława Ossowskiego

Co można powiedzieć o autorze eseju „Chamy i Żydy"? Witold Jedlicki urodził się w roku 1929 w rodzinie żydowskiej spolszczonej jeszcze w XIX wieku. W roku 1935 wraz z młodszym bratem Jerzym przyjęli chrzest. Ojciec był inżynierem chemikiem, a matka germanistą. W czasie wojny rodzina zmieniła nazwisko z Grossman na Jedlicki. W roku 1948 dziewiętnastoletni Witold wstąpił do PZPR, ale już po dwóch latach został z niej usunięty. Studiował filozofię i socjologię na Uniwersytecie Łódzkim i Warszawskim. W roku 1952 obronił pracę magisterską napisaną pod kierunkiem prof. Tadeusza Kotarbińskiego. Przez cztery lata pracował jako redaktor w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. W 1956 roku 27-letni Witold został asystentem prof. Stanisława Ossowskiego, współtwórcy polskiej szkoły socjologii, wybitnego uczonego. W tymże roku prof. Ossowski powrócił po pięciu latach do pracy dydaktycznej na Uniwersytecie Warszawskim, skąd z przyczyn politycznych wyrzucono go wraz z żoną Marią, a także innymi profesorami, m.in. Kazimierzem Ajdukiewiczem, Władysławem Tatarkiewiczem.

Profesor Anna Pawełczyńska w wywiadzie dla pisma „Arcana" z uznaniem wypowiadała się na temat swego dawnego kolegi z Uniwersytetu: „Jedlicki był jednym z najbliższych współpracowników Ossowskiego, którego profesor bardzo cenił jako wnikliwego obserwatora procesów społecznych... Wiem, bo byłam zaprzyjaźniona z Jedlickim, a przyjaźń ta trwała również po jego emigracji do Izraela. Korespondowaliśmy aż do jego śmierci". Profesor Stanisław Ossowski był człowiekiem o lewicowych poglądach, ale przeciwnikiem komunizmu, w roku 1920 uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, w czasie wojny należał do AK. Jedlicki miał wyjątkowe szczęście, że spotkał takiego mistrza na swojej drodze życiowej.

W roku 1956 Witold został członkiem Klubu Krzywego Koła. Początki Klubu Krzywego Koła były związane z małżeństwem Juliusza i Ewy Garzteckich, którzy mieszkali przy ulicy Krzywe Koło na warszawskiej Starówce (stąd nazwa klubu). Spotkania zaczęły odbywać się w ich mieszkaniu wiosną 1955 roku. Uczestnikami tych zebrań, początkowo nieformalnych, byli przede wszystkim bliscy znajomi Garzteckich ze środowiska inteligencji. Obydwoje Garzteccy byli współpracownikami bezpieki. Juliusz Garztecki nie krył, że zgodę na istnienie Klubu wydał sam Jakub Berman (szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego). Najprawdopodobniej Klub powstał w ogóle z inspiracji Bermana. Na początku 1956 roku spotkania zostały przeniesione do Staromiejskiego Domu Kultury.

Klub skupiał ludzi różnych środowisk, światopoglądów i orientacji politycznych. Na początku 1957 roku, kiedy przewodniczącym Klubu Krzywego Koła został Jan Józef Lipski, klub stał się ważnym ośrodkiem wymiany myśli, otwartą trybuną. Zdaniem Jedlickiego „Przez sam fakt swojego istnienia stwarzał jedyną w swoim rodzaju, nieposiadającą precedensów, zinstytucjonalizowaną okazję utrzymania szerokich kontaktów społecznych i towarzyskich dla całego środowiska intelektualistów Warszawy".

Jedlicki należał do aktywnych członków Klubu Krzywego Koła. Od kwietnia 1961 roku do rozwiązania Klubu był jego członkiem zarządu. Należał do najbliższych współpracowników Jana Józefa Lipskiego. Przyjaźnił się z Janem Olszewskim, Pawłem Jasienicą, Janem Strzeleckim. Ostatnie posiedzenie Klubu odbyło się 1 lutego 1962 roku, gdzie miała miejsce burzliwa dyskusja po prelekcji Adama Schaffa. Pobicie jego asystenta przez prowokatora po spotkaniu stało się pretekstem do zamknięcia Klubu. Likwidacja Klubu Krzywego Koła uważana jest za ostateczny koniec nadziei związanych z „odwilżą".

„Nie wyjechałem z powodu antysemityzmu"

Jedlicki już w grudniu 1961 roku podjął pierwsze kroki, aby uzyskać zgodę władz PRL na legalny wyjazd do Izraela. Zdaniem historyka dr. Pawła Ceranki, „momentem przełomowym był wstrząs spowodowany [...] śmiercią jego żony, Danuty Malewskiej-Jedlickiej, 10 sierpnia 1961 roku. Poza tym klimat polityczny w Polsce, a w tym zacieśnianie pętli wokół Krzywego Koła, dał się silnie odczuć w drugiej połowie tegoż roku". Do Izraela wyemigrował w sierpniu 1962 roku.

Jedlicki pierwszy list do Giedroycia napisał 28 kwietnia 1959 roku, jednak ożywiona korespondencja rozpoczęła się w 1962 roku, kiedy Jedlicki był już na emigracji. W jednym z pierwszych listów pisał do redaktora: „Dla jasności ja bynajmniej nie wyjechałem z Polski z powodu antysemityzmu. Obywatelem drugiej kategorii byłem w Polsce nie jako Żyd, lecz jako osoba podejrzana przez UB i szykanowana przez władze". W pierwszych listach z emigracji formułował już pewne tezy, które później znalazły się w artykule „Chamy i Żydy". Pisał na przykład, że taktyka puławian polegała na „dezawuowaniu wszelkich pretensji pod własnym adresem przez przypisywanie osobom wysuwającym te pretensje motywu antysemickiego. Taktyka ta odnosiła zdumiewające sukcesy: „ktokolwiek tym panom przypominał, co robili w czasach stalinowskich [...] i domagał się zastosowania względem nich zasady odpowiedzialności personalnej itp., był antysemitą i świat się dowiadywał, że »pełne dobrej woli koła liberalne« w partii mają storpedowane możliwości działania wskutek tego, że naród polski jest antysemicki. [...] Właśnie dlatego, że jestem Żydem, reaguję na te hece z wściekłością; o tym też chcę pisać do czasopism żydowskich".

Witold Jedlicki był wyraźnie zawiedziony postawą polskiej inteligencji, która okazała się konformistycz-

eprasa.pl a63b32ee02

na, sprzedajna. W liście do Jerzego Giedroycia 11 września 1962 roku, a więc w niedługim czasie po wyjeździe z Polski, a przed publikacją eseju „Chamy i Żydy", pisał: „Stale Pan powraca w swoich listach do kwestii oportunistycznych, plotkarskich i dezinformujących zagranicę literatów. Zgadzam się z Panem, z tym zastrzeżeniem, że jest to kwestia ogólniejsza, obejmująca nie tylko środowisko literackie. Postępy konformizmu wśród inteligencji polskiej są dla mnie czymś zastraszającym. Konformizm ten ma z reguły do swojej dyspozycji wzniosłe uzasadnienia moralne i ideologiczne. [...] Niech mi Pan wierzy, to jest jeden z najgorszych aspektów sytuacji w Polsce. To w Polsce było mi naprawdę trudno wytrzymać. Opinia publiczna w Polsce (mam tu jednak na myśli tylko inteligencję) śpi na ogół snem spokojnym; postawy aktywistyczne należą raczej do rzadkości".

▶ Kto stał za Jedlickim?

Artykuł Jedlickiego bardzo szybko trafił do Polski i spotkał się z bardzo różnymi, często skrajnymi reakcjami. „Kultura" była prenumerowana, jak wiele innych zagranicznych czasopism, przez rozmaite placówki naukowe i prywatne osoby. Miesięcznie wysyłano do Polski około czterystu egzemplarzy, przemycano też przez granicę. Redakcja „Kultury" prowadziła także wysyłkę odbitek najciekawszych artykułów. Adresy brano „losowo" z książki telefonicznej, dbając przy tym, by żaden się nie powtarzał, nie chciano bowiem narażać odbiorców na kłopoty ze Służbą Bezpieczeństwa. Dodatkowo od samego początku, sprawę nagłaśniało Radio Wolna Europa, które miało kilka milionów słuchaczy w kraju.

Nad Wisłą przetoczyła się ożywiona dyskusja na temat artykułu Jedlickiego, oczywiście nie oficjalnie, ale w kuluarach różnych gremiów partyjnych, w redakcjach gazet, w czasie towarzyskich spotkań.

Jak pisze dr Paweł Ceranka, artykuł Jedlickiego przyjęli źle niektórzy z jego kolegów z Klubu Krzywego Koła. Jan Józef Lipski w grudniu 1962 roku, a więc tuż po publikacji tekstu „Chamy i Żydy", napisał pełen oburzenia list do przyjaciela:

„Witku. [...] Wiesz dobrze, że zawsze byłem konsekwentny w obstawaniu przy prawie do swobody wypowiedzi na każdy temat i przeciwny autocenzurze. Ale jest różnica między najbardziej karkołomną i choćby nawet fałszywą koncepcją wygłoszoną w Warszawie – a Wolną Europą [...], a również Giedroyciem i »Kulturą«. Zasada lojalności wobec kraju, w którym się tyle lat przeżyło – powinna jednak obowiązywać i Ciebie. Wcale nie wzywam Cię, byś zapałał miłością do Partii i Gomułki itd., ale wyobrażałem sobie, że jeden prosty fakt rozumiesz. Wszyscy (tzn. cały naród) siedzimy na tym samym koniu i w każdym razie wypowiadając się na zewnątrz, warto pamiętać, że jest tu jeden interes, nie parę. Będąc w opozycji w kraju – mogłeś działać w kierunku uzdrowienia; wywlekając swe pretensje, koncepcje na zewnątrz - niczego nie uzdrowisz, natomiast przynosisz szkodę wszystkim, którzy tu zostali, od Gomułki aż po każdego »szeregowego« Polaka. Zdawało mi się, że pomimo decyzji emigracyjnej – nie będziesz obojętny na ten fakt.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że co najmniej większość znajomych – zerwie z Tobą stosunki, zresztą nie będę się im dziwił, mimo że sam na to się nie zdobędę. Słyszałem masę głosów oburzenia, m.in. [Stanisława] Ossowskiego, który nosił się nawet z zamiarem publicznej demonstracji, z czego zrezygnował, obawiając się, że może znaleźć się w towarzystwie podlizuchów, którzy robią to z innych motywów. [...]

Artykuł jest fatalnie oceniony nie tylko z moralnej strony. Opinia, którą słyszę: a) punktem wyjścia u Ciebie jest plotka, bądź trudna do weryfikacji, bądź jawnie rozszerzona i fałszywa; b) konstrukcja oparta na tej podstawie jest fantastyczna i paradoksalna. Nic dodać, nic ująć, bo tak to jest: z plotek kompletujesz całość, która jeśli zaważy tu w kraju, to niedostatnio.

Bardzo, bardzo Cię proszę: nie mogąc już tego odkręcić, co nakręciłeś – pohamuj swe publicystyczne zapędy, nie zajmuj się nami zbyt wiele, raczej pisz do mnie o Izraelu, bo to pożyteczniejsze zajęcie i bardziej ci przystoi".

W tym miejscu myślę, że warto by było powrócić do cytowanego przeze mnie listu Jedlickiego do Giedroycia, w którym pisał m.in. o „postępach konformizmu wśród inteligencji polskiej", o tym, że „konformizm ten ma z reguły do swojej dyspozycji wzniosłe uzasadnienia moralne i ideologiczne". To byłby najlepszy komentarz tego listu. Sugestia zajmowania się Izraelem, a nie Polską, jest w stosunku do przyjaciela co najmniej niestosowna. Jedlickiemu zawsze leżały na sercu sprawy Polski. Stwierdzenie, że „Zasada lojalności wobec kraju, w którym się tyle lat przeżyło – powinna jednak obowiązywać i Ciebie", jest i obraźliwe, i głupie. Jak dowodzi dr Ceranka, nieprawdą jest, że prof. Ossowskiemu nie spodobał się tekst „Chamy i Żydy" – wprost przeciwnie – profesor pisał, że Jedlicki zawarł „wiele trafnych, oryginalnych obserwacji". To przykre, że na Witolda Jedlickiego, publicystę niezwykle uczciwego intelektualnie, spadło tyle niesprawiedliwości, i to ze strony przyjaciela.

Wiele osób zachodziło w głowę: kto stoi za Jedlickim? Antoni Zambrowski, dziennikarz, publicysta, syn Romana Zambrowskiego, stalinisty, przywódcy grupy puławskiej, w opublikowanym w roku 2006 artykule pisał, że Witold Jedlicki był tajnym współpracownikiem UB w czasach stalinowskich, wysłanym przez Moczara na Zachód, by w Paryżu wydał broszurę „Chamy i Żydy". Jego zdaniem Jedlicki „Opluł w niej wielkie pokojowe zwycięstwo Polaków w Październiku '56, prezentując je jako

eprasa.pl a63b32ee02

zręczną manipulację żydowskich stalinowców przebranych za partyjnych liberałów". Szanuję śp. Antoniego Zambrowskiego, dzielnego opozycjonistę politycznego w PRL, ale pozwolę się nie zgodzić z jego tezami – nie ma żadnych dowodów na to, że Jedlicki współpracował z UB czy SB.

▶ Mackiewicz: wielki wyłom w legendzie „polskiego października"

Witold Jedlicki otwierał oczy polskiej emigracji na peerelowską rzeczywistość. Pisał wedle Mackiewiczowskiej zasady, że jedynie prawda jest ciekawa. Twórczość Jedlickiego zapłodniła naszych emigrantów do dyskusji, do innego spojrzenia na sprawy krajowe.

24 lutego1963 roku Witold Jedlicki wziął udział w dyskusji, którą zorganizowało Radio Wolna Europa. Przy okazji pobytu w Monachium odwiedził mieszkającego w tym mieście Józefa Mackiewicza, który wysoko cenił jego tekst „Chamy i Żydy". Na autorze „Kontry" przybysz z PRL-u zrobił bardzo dobre wrażenie. Swoim talentem, odwagą i oryginalnością sądów na temat komunistycznej rzeczywistości, zjednał sobie życzliwość Józefa Mackiewicza, który, najdelikatniej mówiąc, był bardzo ostrożny i nieufny w stosunku do obywateli PRL-u. W liście do wileńskiego przyjaciela, Michała K. Pawlikowskiego, pisarza mieszkającego w USA, pisał z nieskrywanym entuzjazmem: „Był u mnie Witold Jedlicki, który już pisał do mnie z Amsterdamu, dokąd go dlaczegoś zaniosło, że koniecznie chce się ze mną zobaczyć. Wiesz, ten od »Chamów i Żydów« w »Kulturze«. [...] Mówił mi przeciekawe dla mnie osobiście rzeczy. Naturalnie wychodzimy z różnych pozycji, zupełnie nawet przeciwstawnych, a – wnioski są podobne. Mówił mi, że moje książki czytane są w kraju, a nawet omawiane były w 'KKK'" (9 kwietnia 1963 rok).

Autor „Drogi donikąd" nie omieszkał też pochwalić redakcji „Kultury" W liście do „Kultury" pisał: „(...) wystąpienia Witolda Jedlickiego na łamach »Kultury« można traktować za pierwszy, wielki wyłom w obowiązującej dotychczas legendzie o »Polskim Październiku«. Zaś »Kulturze« należy się wdzięczność, niski pokłon za drukowanie jego świetnych artykułów". Nie krył oczywistych różnic w poglądach: „Jedlicki wychodzi z odmiennego, prawie przeciwstawnego mojemu stanowiska. Wydaje się być bowiem za »poprawianiem«, gdzie ja jestem za »obalaniem« ustroju. Niemniej pochlebiam sobie, że ujawniona przez niego naga prawda o sytuacji w kraju, pokrywa się z moim przedstawianiem rzeczy. Są pisarze, którzy tworzą »szkołę«. O Jedlickim można powiedzieć z minimalną zaledwie przesadą, że tworzy »epokę« w prasie emigracyjnej. Epokę, która oby zastąpiła wreszcie poprzednią, zbożnego pseudo realizmu, w ocenie tego co się pod panowaniem komunistycznym dzieje. Namalowany przez Jedlickiego obraz tego niby – społeczeństwa podgomułkowskiego jest ponury w swej wymowie. Dlatego raczej utwierdza mnie w dotychczasowym przekonaniu, że jedyną alternatywą może być »obalenie«, niczego w istocie zalecanymi przez Jedlickiego środkami »poprawić się« – nie da" (nr 7–8, 1963 r.)

Witold Jedlicki recenzował książki Józefa Mackiewicza w „Kulturze". Doceniał wyjątkową rolę autora „Drogi donikąd" w życiu intelektualnym polskiej emigracji. „[...] niech Pan napisze taki program (polityczny), przynajmniej dla polskiej emigracji. Pan jest jedynym człowiekiem, który mógłby to zrobić. Zamiast stereotypowych pozdrowień, życzę Panu wiele sił i wiele odporności psychicznej w Pana samotnej walce o prawdę niezrelatywizowaną" (11.04.1966 rok).

Jerzy Giedroyc, być może zaniepokojony bliskimi kontaktami Jedlickiego z Józefem Mackiewiczem, wyjaśniał przybyszowi z PRL-u, kogo można zaliczyć do kręgu „Kultury": „Natomiast błagam – tylko nie Mackiewicz. Tak jak mam do niego dużą słabość osobiście i bardzo wysoko cenię jego talent literacki (ale tylko »małe formy« o tematyce kresowej), to politycznie to przecież faszysta. A naprawdę nie lubię używać tego słowa". Naturalnie, że Mackiewicz nie należał do kręgu „Kultury", choć sporo publikował na jej łamach, wydawał też w wydawnictwie „Kultury" książki, jednak dużo mu było bliżej do środowiska „niezłomnych" z londyńskich „Wiadomości", ale z tym „faszystą" książę naturalnie przesadził. To oczywisty absurd.

***

W latach 1965–1970 Witold Jedlicki przebywał w Stanach Zjednoczonych na stypendium w Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Po powrocie do Izraela działał na rzecz praw człowieka, upominając się o prawa Palestyńczyków. Zmarł w biedzie we wrześniu 1995 roku przeżywszy 66 lat. W Polsce media nie wspomniały o jego śmierci.

W roku 1968 doszło do ponownego starcia puławian i natolińczyków. Ważną rolę odegrała w tej walce grupa partyzantów pod wodzą Mieczysława Moczara. Tym razem górą byli natolińczycy. Ale to już inna historia, choć ciągle ta sama. ■

Bibliografia:
Witold Jedlicki, „Chamy i Żydy", „Kultura", nr 12/1962; Paweł Ceranka, „Historia pewnego artykułu", Pamięć i Sprawiedliwość, nr 10/2006; Jerzy Giedroyc, „Witold Jedlicki, Listy 1959 –1982", Biblioteka „Więzi", Warszawa 2017; Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, „Listy do i od redakcji »Kultury«", Londyn 2015; Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Michał K. Pawlikowski, „Listy", Londyn 2022.

eprasa.pl a63b32ee02

Agnieszka Kowalczyk

OBŁAWA AUGUSTOWSKA 1945 ROKU

eprasa.pl a63b32ee02

Obława augustowska to największa stalinowska zbrodnia dokonana na Polakach po zakończeniu II wojny światowej. W lipcu 1945 roku na teren Puszczy Augustowskiej wkroczyły liczące około 45 tys. żołnierzy oddziały Armii Czerwonej oraz jednostki 62. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD, wspierane przez UB, MO i 160 polskich żołnierzy 1. Praskiego Pułku Piechoty. Ich celem było pojmanie wszystkich tych, którzy nie godzili się z nową sowiecką okupacją i tworzyli antykomunistyczne podziemie niepodległościowe.

FOT. ARTUR RESZKO/PAP

Operacja wymierzona była przede wszystkim w żołnierzy Armii Krajowej Obywatelskiej (AKO), którzy kontynuowali działania rozwiązanej w styczniu 1945 roku Armii Krajowej. Intensywna działalność AKO na ziemiach augustowskiej, suwalskiej i na terenach przyległych była zagrożeniem dla Sowietów, bowiem na tych obszarach komuniści znajdowali się w defensywie, a polskie podziemie miało silną pozycję. Atakowało konwoje wroga, karało zdrajców i popleczników komunistycznego reżimu, broniło okoliczną ludność przed rabunkami i gwałtami ze strony zdemoralizowanych wojsk sowieckich. Rodzimi komuniści, nie mogąc utrzymać władzy na tych obszarach, zwrócili się do „sowieckich sojuszników" o pomoc w likwidacji konspiracji niepodległościowej. Sowieci zaś nie zwlekali z interwencją. Zamierzali utwierdzić swoją pozycję hegemona i porazić swą siłą Polaków, chcąc wpoić im poczucie „nieodwracalności narzuconego porządku i beznadziejności walki o Niepodległą".

Bój nad jeziorem Brożane

Cała akcja rozpoczęła się 12 lipca 1945 roku w Puszczy Augustowskiej, która stała się świadkiem bitwy, jaką czerwonoarmiści stoczyli nad jeziorem Brożane z partyzantami AKO dowodzonymi przez sierż. Władysława Stefanowskiego „Groma" i ppor. Józefa Sulżyńskiego „Brzozy". „Oddziały Armii Czerwonej w sile 7 tysięcy żołnierzy podeszły z kilku stron pod las przyległy do jeziora. Sowieci skierowali na około 200 partyzantów zmasowany atak. Bitwa była nierówna. Oprócz ogromnej przewagi liczebnej NKWD miały lepsze uzbrojenie – użyto ciężkich karabinów maszynowych, granatów i moździerzy. Sowieci mieli też zapewnione stałe dostawy amunicji. Mimo to batalia trwała aż trzy dni. [...] Partyzantów próbujących ucieczki na otwartą przestrzeń bądź do jeziora kładły serie z ciężkich karabinów maszynowych, ustawionych na bardzo dogodnych pozycjach strzeleckich" – odtwarza przebieg bitwy Teresa Kaczorowska. Siły AKO Obwodów Augustów i Suwałki zostały doszczętnie rozbite i tylko nielicznym partyzantom udało się przebić przez pierścień wroga. Niektórzy ocaleli, ukrywając się w koronach wysokich drzew, inni zanurzyli się całkowicie w wodach jeziora, łapiąc powietrze za pomocą trzcinowych rurek. W walce zginęło około 75 leśnych żołnierzy. Rannych Sowieci dobijali. Nie wiadomo, jaki los spotkał samego Stefanowskiego – czy poległ w bitwie, czy też został pojmany przez wroga i zamordowany. Na schwytanych żywcem wydany był już wyrok śmierci.

Tymczasem Armia Czerwona przeczesywała kolejne wsie, zatrzymywała wszystkich napotkanych na swej

eprasa.pl a63b32ee02

drodze mężczyzn, zabierała ich z domów, z łąk i pól, zamykając w obozach filtracyjnych urządzonych w okolicznych gospodarstwach – w piwnicach, stodołach, chlewach, szopach. Po pierwszym etapie filtracji podejrzanych o przynależność bądź wspieranie AK przenoszono do następnego miejsca, w którym odbywały się już brutalne przesłuchania, jak na przykład we wsi Sztabin, gdzie „katowanych wyrzucano »na rosę« dla otrzeźwienia, a bici na opartych o budynek gnojowicach pozostawili na deskach krew i strzępy ciała". Tak samo działo się w Augustowie, Jastrzębnej Drugiej, Paniewie, Gibach, Sejnach, Suwałkach – piszą historycy Danuta i Zbigniew Kaszlejowie. Zatrzymania trwały do 28 lipca 1945 roku.

Dowody zbrodni

Na zbrodnie dokonane podczas obławy augustowskiej nowe światło rzuca ujawnienie w 2011 roku dwóch szyfrogramów Naczelnika Głównego Zarządu Kontrwywiadu Smiersz – Wiktora Abakumowa, skierowanych do szefa NKWD Ławrientija Berii 21 i 24 lipca 1945 roku. jako raportów z akcji likwidacyjnej polskiego podziemia w rejonie Puszczy Augustowskiej. Są to kluczowe dla wyjaśnienia sprawy tajne dokumenty sporządzone przez wykonawców operacji, którzy otwarcie mówią o jej realizacji i jednoznacznie potwierdzają „zaplanowany odgórnie i centralnie sterowany charakter sowieckiej zbrodni".

Ta zakrojona na szeroką skalę akcja pacyfikacyjna została dokonana przez sowiecki kontrwywiad wojskowy Smiersz, którym dowodził gen. Wiktor Abakumow. Pierwszoplanowe role w przeprowadzeniu operacji odegrali też gen. Iwan Gorgonow – zastępca naczelnika Głównego Zarządu Smiersz – oraz gen. Paweł Zielenin – naczelnik Zarządu Kontrwywiadu 3. Frontu Białoruskiego.

O tym, jaki los Sowieci zgotowali pojmanym Polakom, świadczy jednoznacznie obciążający Rosjan szyfrogram Abakumowa do Berii z 21 lipca 1945 roku – niepodważalny dowód zbrodni, w którym czytamy: „Wszystkich ujawnionych bandytów, w liczbie 592 ludzi, zlikwidować. W tym celu zostanie wydzielony zespół operacyjny i batalion wojsk Zarządu Smiersz 3. Frontu Białoruskiego, już przez nas sprawdzony w trakcie wielu działań kontrwywiadowczych [...]. Tow. tow. Gorgonow i Zielenin to dobrzy i doświadczeni czekiści i to zadanie wykonają".

Podczas obławy uwięziono ponad 7 tys. Polaków, przetrzymywanych w obozach filtracyjnych na terenie powiatów: augustowskiego, suwalskiego, sejneńskiego i sokólskiego. Stanowiły one miejsca kaźni, w których przesłuchiwano i torturowano zatrzymanych. Duża część z nich została wywieziona w nieznanym kierunku i zgodnie ze stalinowskim rozkazem zamordowana bez wyroku sądu. Początkowo przypuszczano, że ofiarami obławy stały się 592 osoby, ale ujawnione tajne szyfrogramy władz sowieckich wskazują, że liczba ofiar mogła być znacznie większa. Historyk Danuta Kaszlej uważa, że obława pochłonęła ponad tysiąc ofiar, prof. Krzysztof Jasiewicz ocenia, że było ich od 1,5–2 tys., natomiast ks. Stanisław Wysocki jest przekonany, że zamordowano minimum 2 tys. osób.

Prawdy o dramacie, jaki rozegrał się na terenie polskiej puszczy, próbuje dociec Teresa Kaczorowska w swej książce „Obława Augustowska" (2015). Przedstawia w niej losy siedmiu świadków historii, których uczyniła bohaterami swoich reportaży „opartych na faktach i autentycznych przeżyciach konkretnych ludzi, zweryfikowanych na podstawie źródeł historycznych, archiwaliów lokalnych i materiałów rodzinnych". Łączy ich doświadczenie tego samego traumatycznego wydarzenia, które wpłynęło na ich dalsze losy i życiowe wybory. Jest wśród nich partyzant Marian Tananis z Sejn, cudem ocalony od śmierci z rąk Sowietów, a po wojnie skazany na 15 lat komunistycznych więzień. Jest też ks. Stanisław Wysocki z Suwałk, który jako siedmioletni wówczas chłopiec stracił w obławie ojca i dwie siostry. Jest i Marian Bućko, przetrzymywany w następstwie wypadków augustowskich wraz z ojcem Konstantym w sowieckich obozach filtracyjnych.

W swych reportażach, będących żywym zapisem ludzkich przeżyć, Maria Kaczorowska oddaje głos rodzinom ofiar Obławy Augustowskiej, osobom, które w 1945 roku jeszcze jako dzieci były świadkami tego historycznego dramatu, stając potem na straży jego pamięci. Jej książka zaświadcza o tym, że „mieszkańcy regionu dotkniętego zbrodnią wciąż pamiętają, cierpią i czekają na jej wyjaśnienie oraz ujawnienie dołów śmierci, w których spoczywają ich najbliżsi".

Ofiara Zyty

Po dwudziestoletnią Zytę Kucharzewską ze wsi Giby Sowieci przyszli rano 12 lipca 1945 roku. „Skrępowali jej od tyłu drutem ręce, wyprowadzili. Prawdopodobnie zadenuncjował ktoś z sąsiadów. Osadzili ją w zbiorowym obozie filtracyjnym w Gibach [...] – odsłania jej losy Teresa Kaczorowska – W dwóch chlewikach, stodole i piwnicy Szarejków więziono przez prawie dwa tygodnie, około 150 Polaków – na słomie, w gnoju – jak bydło". Wśród przetrzymywanych Zyta była jedyną kobietą. Zamknięta osobno w zbyt małej narzędziowni przesiedziała tam w kucki wiele dni, skurczona, bez chleba i wody, wyciągana na kolejne przesłuchania przez sowieckich oprawców.

Brat Zyty, Józef Kucharzewski, miał wówczas 16 lat i obserwując z ukrycia, co dzieje się w urządzonej na-

eprasa.pl a63b32ee02

przeciwko katowni, widział krążących po podwórzu sowieckich żołnierzy, groźnych oficerów śledczych i polskich więźniów – tych prowadzonych na przesłuchania i tych, którzy opuszczali miejsce kaźni, zalanych krwią po doznanych torturach. Była wśród nich ledwo słaniająca się na nogach pobita i udręczona Zyta, w istocie łączniczka AK.

Józef niejednokrotnie słyszał rozdzierające serce krzyki katowanej siostry. Po dwóch tygodniach takich mąk wraz z innymi została załadowana na ciężarówkę i wywieziona w nieznane – na śmierć. Samochody wracały jeszcze pod dom Szarejków wielokrotnie po kolejne ofiary. Sunęły pod osłoną nocy drogą Giby – Rygol w stronę Grodna. Tego natomiast, gdzie Sowieci dokonali mordu, do dziś nikt nie wie, chociaż wśród miejscowych chodziły słuchy, że zgładzeni zostali w Naumowiczach, na terenie dzisiejszej Białorusi.

Gdy NKWD opuściło gospodarstwo Szarejków, Józef odważył się wejść do ich domu, zastając w środku pomieszczenie o ścianach i podłodze czerwonych i lepkich od krwi. Było to miejsce tortur. Oprawcy zostawili nawet długie metalowe igły wkładane ofiarom pod paznokcie. Od tamtych makabrycznych zdarzeń minęły lata, a pamięć o tragedii Zyty jest ciągle żywą i bolesną raną dla rodziny Kucharzewskich. Syn Józefa – Grzegorz, nauczyciel w Sejnach, poeta, pieśniarz i gitarzysta, wciąż „czuje się natchniony przez stryjenkę Zytę". Wchodząc w rolę miejscowego barda, przekazuje prawdę o jej dramatycznych losach, jak również o cierpieniach setek innych ofiar obławy augustowskiej, którym poświęcił poruszającą pieśń „To był lipiec":

Wywozili ich w nieznane gdzieś do lasu,
Księżyc ronił łzy srebrzyste nad ich losem.
Gasły życia, jakby świece ktoś pogasił,
Jakby sierpem ktoś pościnał nagle kłosy.

Poprowadził demon śmierci leśną ścieżką,
Stawiał rzędem ich nad rowem po kolei,
Demon w czapce z gwiazdą i w ręku z pepeszką
Strzelał w głowy, pewnie wszyscy tak zginęli.

Nie wiadomo, jaka ziemia kości kryje,
Jakie lasy kryją ich wołanie,
Jedno pewne, że już żadne z nich nie żyje,
A gdzie leżą, Ty wiesz tylko Panie. [...]

Mimo wieloletnich bezskutecznych poszukiwań matka Zyty nigdy nie straciła nadziei, że córka żyje i wróci do domu. Po jej zaginięciu Kucharzewscy ustawicznie nachodzeni byli przez ubeków. Józefa zabierano na przesłuchania, czterokrotnie więziono w Suwałkach i tam torturowano. „Do śmierci będę to pamiętać – wspomina – zwłaszcza bicie po piętach". Musiał więc opuścić rodzinne strony i wyjechać na Śląsk, gdzie pracował w jednej z katowickich kopalni. Powrócił jednak do Gib, założył tam rodzinę i jako kościelny objął pieczę nad zabytkową drewnianą świątynią przeniesioną tu z pobliskiego Pogorzelca. Wielkie znaczenie miał dla niego usytuowany w sąsiedztwie kościółka pomnik poświęcony ofiarom obławy augustowskiej – dzieło znanego artysty z Maćkowej Rudy – prof. Andrzeja Strumiłły. Był to królujący na wzgórzu okolonym puszczą wysoki drewniany krzyż z figurą Jezusa, otoczony wielkimi głazami, wspinającymi się w stronę znaku Męki Pańskiej. Każdy taki głaz symbolizuje jedną z miejscowości, z której wywożono Polaków na śmierć. W lipcowe niedziele mieszkańcy ziemi augustowskiej modlą się pod krzyżem w Gibach o swych bliskich, o odkrycie miejsca ich mordu, o to, by spoczęli w poświęconej ziemi, bo wierzą, że tego właśnie pragnęłyby dusze zakatowanych: „Lasem krzyczymy, mchem szepczemy,/ Żądając krzyży nad głowami/ I tylko prawdy, prawdy chcemy,/ Nie wstęg przeciętych nożycami [...]/ Dajcie nam krzyże, dajcie trumny/ W miejscach, gdzie wszyscyśmy zginęli" (z wiersza Z grobów... Grzegorza Kucharzewskiego).

▶ Tadeusz Jagłowski i jego bracia

Zbrodnia obławy augustowskiej położyła się również głębokim cieniem na historii rodziny Tadeusza Jagłowskiego ze wsi Kopiec nad Kanałem Augustowskim. Jego rodzice, Stanisław i Eugenia, z dziada pradziada gospodarujący na rodzinnej ziemi, doczekali się trzech synów i dwóch córek, wychowywanych w poszanowaniu wartości religijnych i patriotycznych. Gdy wybuchła II wojna światowa, ojciec wraz z synami włączył się w działania ruchu oporu. W 1942 roku najstarszy z nich, Piotr, poszedł do partyzantki w Puszczy Augustowskiej, służąc w Batalionach Chłopskich. Była to po Armii Krajowej największa organizacja konspiracyjna, w której znalazło się około 160 tys. walczących Polaków. Zasilający jej szeregi młody Jagłowski brał udział w wielu akcjach dywersyjnych najpierw przeciw Niemcom, a potem – Sowietom. Jego brat Konstanty z kolei informował dowódców o ruchach żandarmerii niemieckiej. Najmłodszy zaś Tadeusz pełnił w podziemiu funkcję łącznika, dostarczającego w umówione miejsca – rozkazy, dokumenty, meldunki i leki. „Kiedy składałem przysięgę w czerwcu 1943 r. miałem zaledwie dwanaście lat – mówi o sobie. [...] Nadano mi pseudonim »Kret« i przydzielono do drużyny Witolda Siarakowskiego ps. »Mewa«, z tej samej wsi Kopiec. Moi obydwaj bracia i ojciec należeli jeszcze wtedy do Batalionów Chłopskich. Niedługo Bataliony scalono z Armią Krajową i wszyscy stali się żołnierzami AK

eprasa.pl a63b32ee02

pod komendą oficera AK ppor. Stanisława Świątkowskiego »Zapały«". Do AK wstąpiła też siostra Tadeusza – Stanisława, która jako sanitariuszka opatrywała rannych i przygotowywała dla nich leki. Dom Jagłowskich był zawsze otwarty dla partyzantów i „spalonych" ludzi konspiracji, którym gotowali strawę, naprawiali odzienie i przyrządzali preparaty lecznicze z żywicy i ziół rosnących w puszczy.

12 lipca 1945 roku, między drugą a trzecią w nocy, załomotali do mieszkania Jagłowskich „uzbrojeni po zęby" enkawudziści. Wdarłszy się do środka, kazali stanąć całej rodzinie pod ścianą z założonymi za głowę rękami i rozpoczęli rewizję, przetrząsając dokładnie dom i zabudowania gospodarcze. Mimo iż nie znaleźli niczego podejrzanego, zabrali z sobą dwudziestoletniego Piotra oraz o trzy lata młodszego Konstantego. Skrępowali im ręce drutem telefonicznym i obu związali kablem „w braterskim uścisku". Tadeusz Jagłowski i jego siostra mieli wiele szczęścia, bo akurat tej nocy przebywali u rodziny w sąsiedniej wiosce. Pewnie i oni zostaliby uwięzieni tak jak ich bracia najpierw w stodole Tomaszewskich, a potem w osławionym „Domu Turka" w Augustowie – siedzibie PUBP, będącej miejscem kaźni polskich patriotów. Spośród zabranych tego dnia czternastu mężczyzn wypuszczono tylko dwóch – Eugeniusza Duchińskiego i Konstantego Jagłowskiego. Konstanty zawdzięczał swą wolność Piotrowi, który wzięty na męki, upierał się przy tym, że o jego konspiracyjnej działalności w AK nie wiedział nikt, nawet rodzice. Dlatego też ostatecznie wywieziono go w nieznane miejsce egzekucji wraz z innymi ujętymi w obławie. Konstanty wrócił do domu okaleczony tak, że przyznano mu pierwszą inwalidzką grupę wojenną. „Mój brat miał całe ciało sinofioletowe – wyznawał Tadeusz. – Opowiadał, że wszyscy byli torturowani, bici, głodzeni. Spali na cemencie, w ścisku, jeden obok drugiego. Potrzeby fizjologiczne załatwiali do beczek. Przesłuchiwał ich oficer pochodzenia żydowskiego w stopniu kapitana. Miał do dyspozycji, stojących w pogotowiu, kilku sowieckich bojców – katowali żołnierzy polskiego podziemia na jego skinienie". Aresztowania nie uniknęła też Stanisława, osadzona w marcu 1946 roku w augustowskich kazamatach „Domu Turka". Zwolniono ją dzięki interwencji rodziców u pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego PPR w Augustowie, którego wcześniej znali.

Po zakończeniu wojny władza komunistyczna nie zapomniała o rodzinie Jagłowskich: „Traktowani byliśmy wszyscy, nie tylko z mojej rodziny, ale z całego podziemia niepodległościowego, jako obywatele drugiej kategorii, „zaplute karły reakcji" – mówi Tadeusz, podkreślając, że obława augustowska „to był temat tabu, podobnie jak Katyń", temat grożący więzieniem i represjami.

Mimo podjętych poszukiwań Piotra nigdy nie odnaleziono i niczego się o nim nie dowiedziano ani od władz PRL, ani ze strony Rosji, choć Tadeusz ma nadzieję, że „skoro Katyń został wyjaśniony, to [...] i nasz »mały Katyń« na Suwalszczyźnie też doczeka się wyjaśnienia".

▶ Rodzina ks. Wysockiego

Ksiądz prałat Stanisław Wysocki to postać niezwykła – kapelan łomżyńskiej „Solidarności", budowniczy kościołów, niezmordowany bojownik o prawdę obławy augustowskiej, której ofiarą padli jego najbliżsi – ojciec i dwie starsze siostry. Miał wówczas 7 lat i mieszkał z kochającymi rodzicami Ludwikiem i Józefą oraz licznym rodzeństwem w malowniczo położonej wśród lasów wsi Biała Woda pod Suwałkami. Już podczas okupacji niemieckiej ich domostwo stało się azylem dla żołnierzy podziemia niepodległościowego. „Kręciłem się przy nich, jak to dziecko – wspominał ks. Stanisław. – Obserwowałem ich mundury, broń. Przed akcją zawsze modlili się, klęcząc przed obrazem w naszym dużym pokoju. Modlitwy prowadziła moja mama. I jej też po powrocie żołnierze mówili o wydarzeniach w danym dniu". Ojciec natomiast nie tylko wspierał partyzantów, ale i sam był zaprzysiężonym członkiem AK.

Najbardziej zapadło w pamięć Stanisławowi aresztowanie jego rodzica przez Gestapo i moment, gdy skatowany powrócił do domu z suwalskiego więzienia. Następnym razem było już znacznie gorzej, uwięziony został przez Niemców w Królewcu i zmuszony do pracy w fabryce amunicji. Kiedy w drugiej połowie 1944 roku Suwalszczyzna znalazła się pod sowiecką okupacją, dom Wysockich w Białej Wodzie stał się tajną siedzibą Kancelarii Obwodu Suwałki AK–AKO, dowodzonej przez komendanta kpt. Mieczysława Ostrowskiego „Kropidło". Cała rodzina Wysockich angażowała się w działania ruchu oporu, nie wyłączając babci Apolonii Jarząbskiej i dzieci przejmujących zadania małych wywiadowców. Najstarsze siostry ks. Stanisława – Kazimiera i Aniela – były łączniczkami AK.

Nic nie wskazywało na to, że 27 lipca 1945 roku zakończy się dla Wysockich w sposób tak dramatyczny. Było ciepło i słonecznie. Rodzina wraz z mającymi u nich kwaterę partyzantami, grabiła siano na pobliskiej łące. I wtedy to, jak dobrze zapamiętał ks. Stanisław, Sowieci wjechali na podwórko. Partyzanci zdołali uciec w ostatniej chwili ostrzeżeni przez starszego brata Romka, który za ten akt odwagi został przez nich brutalnie skopany. Gdyby nie pewien Polak-zdrajca enkawudziści z pewnością nie trafiliby do położonej „na końcu świata" Białej Wody. Poinformowani o działal-

eprasa.pl a63b32ee02

ności konspiracyjnej Wysockich zabrali ojca Ludwika i jego dwie córki – 17-letnią Anielę i 22-letnią Kazimierę wraz z jej narzeczonym Aleksandrem Glinieckim, również należącym do AK. Pojmali też sąsiadkę Gugnowską, która akurat przyszła do Wysockich po chleb. „Z ich rodzinnego domu, w którym z Józefą Wysocką zostało pięcioro jej młodszych dzieci w wieku od dwóch do piętnastu lat, kierownictwo NKWD uczyniło przez tydzień swoją rezydencję – pisze Teresa Kaczorowska. – Kapłan zapamiętał, że zachowywali się potwornie, próbowali nawet zgwałcić matkę. Uratowały ją modlitwa, zimna krew i spokój". Ksiądz Stanisław przyznaje, że przeżyli wówczas sądne dni w panicznym strachu i poniżeniu. Najstraszniejszy los spotkał tych członków rodziny, którzy znaleźli się w rękach sowieckich oprawców. Kazia Wysocka została najprawdopodobniej zakatowana jeszcze podczas śledztwa w koszarach, a ojciec wraz z Anielą wywiezieni w nieznanym kierunku, tak iż ślad po nich zaginął...

„Nie sposób opisać tamtych lat naszej tęsknoty za zaginionymi, biedy, prześladowań, wrogości władz oraz jej sprzymierzeńców w stosunku do nas" – wyznaje ks. Stanisław Wysocki, który doświadczony przez dwa systemy totalitarne, zdecydował się wstąpić w młodości do Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży. Święcenia kapłańskie przyjął w maju 1964 roku, a dziesięć lat później został mianowany rektorem kościoła seminaryjnego pw. Wniebowzięcia NMP w Łomży, podejmując misję duszpasterską wśród młodych. Zakrojona na szeroką skalę działalność księdza, który organizował dla młodzieży spotkania modlitewne, artystyczne, dyskusyjne, a także spływy kajakowe, biwaki, spotkania z rekolekcjonistami i artystami zapraszanymi do Łomży z całej Polski, nie podobała się władzom komunistycznym. Stał się on celem Służby Bezpieczeństwa, był ciągle inwigilowany, przesłuchiwany, próbowano go skompromitować w oczach wyższych władz kościelnych, działając zgodnie z zasadą „«pks» – prowokacja, kompromitacja, szantaż". Urządzano na niego napady, a nawet nastawano na jego życie. Pozostał jednak niewzruszony. W 1980 roku został kapelanem łomżyńskiej „Solidarności", która swoją ostoję znalazła w kościele pw. Wniebowzięcia NMP, a swego orędownika w osobie ks. Wysockiego. Odprawiał on Msze św. w intencji Ojczyzny, gromadzące coraz większe rzesze rozmodlonych Polaków. Pomagał także represjonowanym związkowcom NSZZ „Solidarność". Ukrywał w swoim mieszkaniu m.in. poszukiwanego przez bezpiekę przewodniczącego łomżyńskiej „Solidarności" Mariana Chojnowskiego. Podczas swej posługi zapisał się jako budowniczy kościołów i pomników – w tym pomnika Martyrologii Narodu Polskiego w Ełku oraz Pomnika Sybiraków przy świątyni pw. św. Jana Chrzciciela w Augustowie.

Przypadła mu także w udziale rola strażnika pamięci ofiar obławy augustowskiej, człowieka dążącego do ujawnienia prawdy o straszliwej stalinowskiej zbrodni. Z jego inicjatywy powołany został do istnienia Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 Roku, któremu przez lata przewodniczył. Zabiegał również o to, by prawda o zbrodniczej obławie znalazła swe miejsce w szkolnych podręcznikach i w programie nauczania historii. Dążył do tego, by powszechnie funkcjonowała w świadomości Polaków, znajdując swe odzwierciedlenie w znakach pamięci, takich jak nazwy ulic i instytucji, w monumentach i tablicach zaświadczających o nieodkrytej do końca karcie polskich dziejów.

Dzięki inicjatywie ks. Wysockiego, wspieranego przez członków Związku Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej oraz mieszkańców ziem augustowskiej, sejneńskiej, suwalskiej i sokólskiej, 3 maja 2014 roku w duchowej stolicy Polski na Jasnej Górze odsłonięta została tablica-epitafium „W hołdzie Ofiarom Obławy Augustowskiej". Wtedy to przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej odprawiona została pamiętna Msza św. w intencji pomordowanych. To w ich imieniu ks. Wysocki mówił: „Pielgrzymie Jasnogórski, gdy zatrzymasz się przy Epitafium zapamiętaj, że wołamy: »Ziemio! Nie kryj naszej krwi, iżby nasz krzyk nie ustawał [...]«. Zapamiętaj, że zginęliśmy tylko dlatego, że byliśmy Polakami do końca wierni Bogu i Ojczyźnie!".

***

Minęły lata a sowiecka zbrodnia z 1945 roku nazywana też „małym Katyniem" to zbrodnia wciąż jeszcze niewyjaśniona i jak mówią historycy, „wciąż jeszcze mało obecna w świadomości Polaków", i nadal wołająca o prawdę. Władze Rosji nigdy nie przyjęły odpowiedzialności za śmierć pojmanych w obławie augustowskiej – mimo że Prokuratura Generalna Federacji Rosyjskiej uznała w 1995 roku fakt aresztowania 592 polskich obywateli, to „jednak stwierdziła, że ich dalszy los nie jest znany".

„Każda zbrodnia powinna zostać rozliczona, nie może ujść bezkarnie" – apelują o sprawiedliwość Danuta i Zbigniew Kaszlejowie – bo jak twierdzą, wciąż nie ma odpowiedzi na najważniejsze pytania: „gdzie są doły śmierci i doczesne szczątki poległych i zamordowanych, nie znamy ich pełnej listy, nie możemy wywiązać się z obowiązku, jak ujął to Zbigniew Herbert, »nazywania po imieniu« i »opatrzenia na drogę« naszych braci. Wciąż winni jesteśmy im godny pochówek oraz odbudowanie i odkłamanie pamięci o nich". ■

Źródło: Teresa Kaczorowska, „Obława augustowska", Warszawa 2015.

eprasa.pl a63b32ee02

Ryszard Lwie Serce to postać znana, przynajmniej ze słyszenia, każdemu. Czytelnicy przygód o Robin Hoodzie pamiętają go jako „dobrego króla". Ów monarcha z dynastii Plantagenetów zasłynął odwagą w czasie III wyprawy krzyżowej. A potem znalazł się w niewoli, w którą popadł przez... nieroztropność swego sługi. Ziemia Święta została utracona.

Tomasz Łysiak

RĘKAWICA ZE ZŁOTYM LAMPARTEM

4 lipca 1187 roku wojska chrześcijańskie doznały druzgocącej porażki pod Hittinem. Saladyn triumfował. Kilka dni później padły kolejne miasta – Akka, Jafa, Bejrut. A w końcu, w październiku owego roku, także Jerozolima. Wieść o dostaniu się Świętego Miasta w ręce muzułmanów wywarła w Europie piorunujące wrażenie. Następca angielskiego tronu, Ryszard Lwie Serce, gdy tylko się o tym dowiedział, postanowił ruszyć na krucjatę i „podjął krzyż" z rąk biskupa Bartłomieja z Tours. „Poszedłbym boso do Jerozolimy dla chwały Boskiej" – rzekł. Zanim jednak doszło do wyprawy krzyżowej, upłynęło trochę czasu. W owych latach król Henryk II Plantagenet, ojciec Ryszarda, prowadził wiele wojen i potyczek z Frankami. Po ich stronie stał także Ryszard.

Henryk próbował kilkakrotnie negocjować z Filipem II Augustem, królem Francji, warunki pokoju. Zabiła go potworna informacja, którą przywieziono mu z dworu francuskiego. Otóż pokazano mu listę zdrajców pracujących na rzecz Francuzów. Władca usłyszał wyczytane z niej imię swego drugiego syna, Jana Bez Ziemi. Zaniemówił. Zastygł. Skamieniał. Chciano czytać dalej, lecz on przerwał. „Wystarczy" – powiedział. I to było jego ostatnie słowo. Odwrócił twarz do ściany. Milczał jak kamienna statua. Przez trzy dni. Z nosa zaczęła cieknąć mu strużka krwi. Zmarł. I tak korona trafiła w ręce Ryszarda. Tego „dobrego króla", który nawet nie znał języka angielskiego (posługiwał się na co dzień francuskim), ale zapisał się w historii jako jeden z najsłynniejszych angielskich monarchów...

▶ „Lew" i „Jagnię"

Uroczysta ceremonia rozpoczęcia III krucjaty odbyła się w Vézelay, we Francji, 4 lipca 1190 roku. Obaj królowie – francuski i angielski – wcześniej uzgodnili ramy wspólnych działań w czasie wyprawy. Obaj też otrzymali symbole pielgrzymów – laskę i manierkę. Ruszyli statkami w stronę Sycylii. Ryszard zatrzymał się najpierw w Salerno, a stamtąd śladem normandzkich przodków i Roberta Guiscarda ruszył na południe, pokonując cieśninę messyńską. To na Sycylii nazwano go „Lwem". Tam bowiem wykazał się siłą i zdecydowaniem – bezwzględnie karał ludzi ze swojej armii, jeśli popełniali jakieś przestępstwa. Angielskie trupy zawisły na sycylijskich szubienicach. Ale już Filip II August nie zamierzał iść w ślady Ryszarda, więc przezwano go „Jagnięciem". Ich konflikt położył się cieniem na całej krucjacie. Na wyspie pojawił się wówczas Joachim da Fiore, słynny mnich dokonujący egzegezy Pisma Świętego, a w szczególności Apokalipsy Św. Jana. Przepowiadał nadejście Antychrysta, wymieniał prześladowców Kościoła i wskazywał, że Jeruzalem zostanie odbite w ciągu kilku lat z rąk Saracenów. Miała też popłynąć rzeka krwi. Jeśli chodzi o odbicie Świętego Miasta, Joachim się mylił. W kwestii krwi miał rację. Tu nie trzeba było proroka. Jednak Król Ryszard był pod wielkim wrażeniem kontaktu ze świętym mężem.

▶ Zdobycie Akki

W czerwcu 1191 roku Ryszard Lwie Serce zdobył Cypr i to opromieniło go jeszcze większą sławą. Po drodze do Królestwa Jerozolimskiego przejął saraceński statek, a gdy tylko postawił stopę na Ziemi Świętej, dodał ducha walczącym tam od lat chrześcijanom. Wojska Franków (jak zwali wszystkich krzyżowców Saraceni) od trzech lat oblegały Akkę. Trwały tu zacięte walki i pomimo tego, że machiny oblężnicze czyniły wyłomy w murach, muzułmanie dokonywali ciągłych wypadów, bijąc rycerzy. Krótko mówiąc, morale wśród krzyżowców było słabe, a przybycie Ryszarda przyczyniło się do jego podniesienia. Na początku lipca szala zaczęła się przechylać w stronę chrześcijan. Obrońcy zaczęli raz po raz prosić o kapitulację, proponując jej warunki, lecz obaj królowie, Filip i Ryszard, za każdym razem je odrzucali. Nadal walczono. W trakcie jednego z ataków dowodzący niemieckimi oddziałami austriacki książę Leopold został ranny. Jego biała tunika cała zabarwiła się na czerwono. Gdy księcia zaniesiono do namiotu, zaczęto zdejmować z niego uzbrojenie. Zdjęto pas i ową tunikę – wówczas okazało się, że pod rycerskim pasem pozostała niezalana krwią biała pozioma wstęga. Tak powstała czerwono-biało-czerwona flaga Austrii. Tę zresztą flagę, wraz ze sztandarami króla francuskiego i monarchy angielskiego, zatknięto na murach Akki, gdy 12 lipca miasto wreszcie padło. Król Ryszard ujrzawszy flagę Leopolda, kazał ją swym rycerzom wrzucić do fosy – uznał, że ranga księcia jest zbyt niska, by jego barwy mogły wisieć wraz z królewskimi. Leopold był wściekły. Nie mógł puścić zniewag płazem, kazał się zwijać niemieckim wojskom i opuścił „Outremer" („Zamorze"). Uraza pozostała. A Ryszardowi przyszło potem zapłacić za to długim więzieniem.

FOT. ARCH.

eprasa.pl a63b32ee02

O krok od Jerozolimy

Najpierw Lwie Serce musiał zakończyć swoją misję krzyżową w Ziemi Świętej. „Swoją", gdyż po kolei zostawiano go samego na placu boju. Najpierw odeszli Niemcy. Potem zwinął się główny „sojusznik", czyli Frankowie z królem Filipem II Augustem. Wreszcie odjechał książę Burgundii. Gdy Frankowie uciekli (tak to postrzegał angielski władca), Ryszard był zły, ale gdy opuścił go książę burgundzki, zapłakał z żalu i bezsilności. Był wtedy już na wzgórzu Montjoie, zaledwie dwie mile od Jerozolimy... i musiał zawrócić do Jafy. Potem i tak rozpoczął walki z Saladynem o odbicie Świętego Miasta, ale już nie miał żadnych szans. Wcześniej jednak dotarł do Ramli, gdzie w 1065 roku muzułmanie wyrżnęli w pień dziesięć tysięcy bezbronnych chrześcijańskich pielgrzymów. Pamięć Ramli była żywa w wojsku krzyżowym. Ale jeszcze ważniejsza była chęć odbicia z rąk niewiernych miasta, w którym znajdował się Grób Chrystusa. Ryszard bił się o nie, faktycznie, jak lew. A czasem nawet jak „jeż" – nie dość, że od zadawania ciosów miał ręce zdarte do krwi, to po jednym z ataków był naszpikowany strzałami, których tyle utkwiło w tarczy i zbroi, że kronikarz porównał króla do jeża właśnie. Nie udało się zdobyć Jeruzalem. Pomimo tego król Ryszard dogadał się z Saladynem i rozejm, który zawarli, przewidywał, iż pielgrzymi chrześcijańscy z Europy będą mieli możliwość bezpiecznego, swobodnego przejścia z wybrzeża, wjazdu do miasta i nawiedzenia Grobu Pańskiego. Podpisawszy to Ryszard wsiadł na statki i ruszył w drogę powrotną.

Podejrzany pierścień

W międzyczasie do uszu Filipa Augusta napływały liczne plotki dotyczące króla angielskiego, m.in. takie, że miał on planować schwytanie monarchy francuskiego i wydanie go Saladynowi, że chciał zamordować markiza de Fonterrat, że rzekomo wydał polecenie zgładzenia księcia Burgundii, wreszcie że zdradził i zostawił wojsko chrześcijańskie. Wszystko to były wierutne bzdury, ale padły na podatny grunt – król Franków miał przecież na pieńku z Ryszardem. W październiku 1192 roku Lwie Serce znalazł się na Cyprze, gdzie przekazał władzę nad wyspą Gwidonowi z Lusignan. Wyruszył w dalszą drogę, lecz trzy dni przed dopłynięciem do Marsylii dowiedział się, jakie „przywitanie" w Europie przygotowuje mu Filip II August. Postanowił zawrócić na Adriatyk, wylądować gdzieś po cichu na kontynencie, przemknąć przez sidła tam zastawione i dotrzeć do Anglii. Na morzu królewska flota napotkała dwa pirackie statki. Zamiast bić się z nimi, Ryszard zaczął paktować. Piraci zgodzili się przerzucić króla wraz z Baldwinem z Béthune i niewielką świtą (kilku zaufanych ludzi, templariuszy oraz księży). Piraci dotrzymali słowa i wysadzili władcę na brzeg koło Raguzy (dzisiejszego Dubrownika). Była to ziemia hrabiego Goricji, Mainarda, wasala księcia austriackiego Leopolda (tego samego, który obrażony na Ryszarda, odjechał, zabierając z Ziemi Świętej niemieckie rycerstwo). Jadąc przez włości Mainarda, Ryszard przedstawiał się jako bogaty kupiec Hugon, podróżujący z hrabią Baldwinem. Wysłał nawet pierścień do księcia Mainarda, prosząc go (jako kupiec Hugon) o żelazny list na podróż. Pierścień ten wzbudził podejrzenia – był zbyt kosztowny jak na zwykłego kupca. Książę domyślił się wszystkiego – ale odesłał pierścień, dziękując za „królewski dar" i udzielił pozwolenia na przejazd „dla kupca". Potem jednak doszedł do wniosku, że nie może milczeć i poinformował swego brata, Fryderyka z Betesov, że przez jego ziemie w przebraniu jedzie król angielski.

Błąd giermka

Rozpoczęło się „polowanie" na monarchę. Hrabia Fryderyk wyznaczył do tej misji Rogera z Argenton. W jednym z domów zobaczył on podróżnika z giermkiem, ale ten ostatni miał tak szlachetną postawę i ruchy, że Roger rozpoznał w nim króla. Zamiast schwytać go, padł na kolana, błagał o łaskę, a nawet darował białego konia. W dalszą drogę Ryszard ruszył już tylko w asyście dwóch ludzi. Roger zaś wrócił do Fryderyka, kłamiąc, iż króla nigdzie nie spotkał. Hrabia nie dał się oszukać i wsadził go do lochu. W tym samym czasie Ryszard dojechał do miejscowości Ginana nad Dunajem. Pech chciał, że w tym samym czasie, do tego samego miejsca zjechał książę Leopold. Nadszedł dzień 21 grudnia 1192 roku. Ryszard wysłał młodego giermka, by ten kupił coś do jedzenia. Młodzieniec jednak nie dość, że płacił monetami, których nikt tu nie znał, to jeszcze (bo było zimno) wziął ze sobą rękawice. I zatknął je za pas. Na rękawicach złotymi nićmi wyhaftowany był lampart – godło króla angielskiego. Błąd giermka kosztował Ryszarda wolność. I tak „dobry król" znany z historii o Robin Hoodzie dostał się najpierw do niewoli austriackiej, a potem cesarskiej. Z rąk cesarza Henryka VI wykupiła swego syna królowa Eleonora Akwitańska. Ale to już zupełnie inna historia... ■

eprasa.pl a63b32ee02

Ryszard Czarnecki

Warszawa–Dakar

Wreszcie jestem w Senegalu. Bywałem już w krajach z nim sąsiadujących, jak Mauretania, Mali czy Gwinea Bissau, albo nieco bardziej oddalonych, jak Burkina Faso i Niger. To kraj dość wyjątkowy jak na Afrykę, bo funkcjonujący bez konfliktów etnicznych, rasowych czy religijnych. Mimo że 19 na 20 mieszkańców to muzułmanie, w sklepach można swobodnie kupić alkohol i wieprzowinę – inaczej niż w Afryce Północnej czy Iranie.

Rolę quasi-religijną odgrywa tu futbol. Drużyna narodowa, nazywana „Lwami Terangi", gra rzeczywiście dobrze, skoro na Mundialu w Rosji w 2018 roku wygrała w grupie z Polską. To aktualni mistrzowie kontynentu, a na ostatnim Mundialu w Katarze wyszli z grupy, co nie udało się na przykład Niemcom i Belgii. Dopiero w walce o ćwierćfinał przegrali z Anglią, a gdyby jeszcze grał ich najlepszy piłkarz Sadio Mane, najskuteczniejszy strzelec w historii reprezentacji (34 gole), który w Bayernie Monachium zastąpił Lewandowskiego...

Senegal pierwsi podbili Portugalczycy, ale potem zostali wypchnięci przez Francuzów. Stąd jest to teraz kraj frankofoński, choć kolonią francuską nie jest już 63 lata – jednak mową Napoleona mówią wszyscy. Prawdę mówiąc, Senegal dla Francuzów nie jest częścią polityki zagranicznej, tylko polityki wewnętrznej. Paryż zadbał o to, aby większość pracowników ambasady UE w Dakarze stanowili Francuzi.

Kraj ten dokonał olbrzymiego skoku demograficznego: jeszcze sześć lat temu mieszkało tu 14,7 mln mieszkańców, a dziś 19 mln. Choć akurat boom demograficzny jest udziałem praktycznie całej Afryki.

W stolicy państwa obiad jem w „L'Ecole d'Hotellerie (ESITH)". To restauracja przy średniej szkole hotelarskiej. Uczą się w niej także cudzoziemcy, na przykład z Togo lub Gabonu. To właśnie tu po raz pierwszy spróbuję soku z baobabu. Dobry, orzeźwiający, słodki. Jako jeden z nielicznych proszę o herbatę, a nie o kawę, i dostaję ją od razu posłodzoną. Potrawy nie różnią się specjalnie od europejskich, bo na przystawce jest mikst sałatek z jajkiem, a na drugie danie ryż z kurczakiem i... cytryną.

Kształcenie hotelarzy jest jednak inne niż w Polsce, bo zamiast specjalizacji „kucharz", „kelner", uczniowie pracują po dwa tygodnie w kuchni i po dwa jako kelnerzy. Mają tu dwa gatunki piw. Jedno to „Gazelle" z wizerunkiem gazeli właśnie, drugie to „Flag". Na szczęście nie spotykam – jak w Kenii przed rokiem – piwa o nazwie... „Tusk".

Obecny prezydent Macky Sall doszedł do władzy, bo w odpowiednim czasie sprzeciwił się swojemu poprzednikowi Abdoulaye Wade'owi. Najpierw był jego doradcą do spraw górnictwa, potem ministrem, następnie premierem, aby wreszcie zostać marszałkiem ichniego sejmu. Sprzeciwił się jednak, gdy prezydent otoczył parasolem ochronnym własnego syna, który nie rozliczył się ze sporych pieniędzy. Macky Sall został pozbawiony funkcji szefa parlamentu, ale przekuł to w wyborczy oręż. Stanął do wyborów prezydenckich przeciwko swojemu dawnemu pryncypałowi. Wade zakończył urzędowanie po dwóch kadencjach, ale uznał, że nagnie konstytucję i ludzie wybiorą go po raz trzeci. Na fali sprzeciwu przeciwko takim machinacjom Macky Sally wygrał wybory prezydenckie. Kto by pomyślał, że po dwóch swoich kadencjach obecny prezydent wejdzie w buty... swojego poprzednika i też zapowie, że należy mu się trzecia kadencja! Widać w Senegalu stosują się do polskiego przysłowia: „Zapomniał wół, jak cielęciem był".

KRAJ TEN DOKONAŁ OLBRZYMIEGO SKOKU DEMOGRAFICZNEGO: JESZCZE SZEŚĆ LAT TEMU MIESZKAŁO TU 14,7 MLN MIESZKAŃCÓW, A DZIŚ 19 MLN.

Stolica kraju Dakar – przez lata meta legendarnego rajdu samochodowego i motocyklowego z Paryża – żegna mnie napisami na murach „Bamba merci" (tytuł piosenki reggae piosenkarza z Senegalu Slama Gueyi). To stolica kontrastów, jak zresztą wiele afrykańskich stolic: nowoczesne auta przemykają obok przydrożnych klepisk...

Czas na podróż w interior: do Mbour, Somone i Joal-Fadiouth...

eprasa.pl a63b32ee02

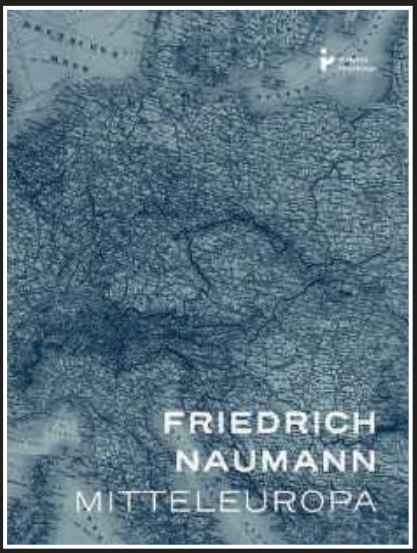

Friedrich Naumann, „Mitteleuropa", tłum. Kamil Markiewicz, Instytut Pileckiego, Warszawa 2022

Krzysztof Wołodźko

ŁAGODNA GERMANIZACJA? WYMOWNA LEKCJA „MITTELEUROPY"

Wydana w 1915 roku „Mitteleuropa" Friedricha Naumanna była bestsellerem swoich czasów. Liberalny polityk i ewangelicki teolog przedstawił na jej kartach wizję dominacji Niemiec w Europie Środkowej i Wschodniej. Pojęcie Mitteleuropy okazało się żywotne – nie wszyscy i nie zawsze uświadamiają sobie, że kryje się za nim wizja hegemonii Niemiec na ziemiach, które długo przed rozbiorami znajdowały się w strefie wpływów Rzeczypospolitej.

eprasa.pl a63b32ee02

Instytut Pileckiego ma wiele zasług. Czas jakiś temu zdecydował się na kolejny ambitny krok – wydał po polsku głośną książkę Friedricha Naumanna „Mitteleuropa – nowy porządek w sercu Europy". Tytuł szybko okazał się bestsellerem w wilhelmiańskiej Rzeszy Niemieckiej. Autor przedstawił projekt schlebiający imperialnym nastrojom niemieckich elit i społeczeństwa: koncepcję politycznej, gospodarczej i kulturowej dominacji Niemiec między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. Koncepcja Mitteleuropy cieszyła się niemałą sympatią w kręgach niemieckich przemysłowców, którzy uważali metapolityczną ekspansję na tereny południowej i wschodniej Europy za o wiele bardziej realistyczną niż Weltpolitik, czyli efektywną politykę podobnego rodzaju, tyle że skierowaną na zachód naszego kontynentu. 1915 rok sprzyjał w Niemczech optymizmowi. Losy I wojny światowej dalekie były jeszcze od przesądzenia. Jak zauważa we wstępie do polskiego wydania pracy prof. Grzegorz Kucharczyk: „na froncie wschodnim przeprowadzona wiosną i latem 1915 roku ofensywa państw centralnych doprowadziła do wypchnięcia wojsk rosyjskich niemal z całości ziem dawnej Rzeczypospolitej. Jesienią 1915 roku front zatrzymał się na linii ciągnącej się od Dźwiny poprzez Polesie do Wołynia. W naturalny sposób postawiło to przed niemieckimi elitami politycznymi oraz intelektualnymi zadanie wypracowania nowej strategii w obliczu faktu, że przekreślone zostało *status quo,* które zapanowało w Europie Środkowej i Wschodniej po trzecim rozbiorze Polski".

▶ Imperializm w białych rękawiczkach

Przyjrzymy się krótko postaci autora „Mitteleuropy", którego czytelnicy i czytelniczki słusznie skojarzą z działającą także w Polsce Fundacją Friedricha Naumanna, zajmującą się globalną promocją liberalizmu. Oficjalnie organizacja swoją działalnością „wspiera przemiany demokratyczne i budowę społeczeństwa obywatelskiego". Zajmuje się również „wymianą doświadczeń między krajami członkowskimi Unii Europejskiej oraz jej sąsiadami". Państwa ocenie zostawiam, czy – w kontekście ideowego dorobku Naumanna w żywotnych dla Rzeczypospolitej kwestiach – zasługuje to na mniej lub bardziej złośliwy chichot. Nie tylko nasz, lecz takze historii.

Naumann „przez jakiś czas był związany z ruchem chrześcijańsko-społecznym (i antysemickim) nadwornego pastora Adolfa Stöckera, a następnie z różnymi formacjami łączącymi postulaty odpowiadające zarówno »społecznemu« skrzydłu ruchu konserwatywnego [...], jak i lewicowemu odłamowi ruchu liberalnego". Jego program „chrześcijańsko-narodowo-społeczny", który mógł forsować jako parlamentarzysta, miał służyć wzmocnieniu wilhelmiańskiej Rzeszy. Szczytem kariery Naumanna był wybór na pierwszego przewodniczącego Niemieckiej Partii Demokratycznej. Pod koniec lat 50. XX wieku jego pamięć uczciła zachodnioniemiecka Wolna Partia Demokratyczna, najważniejsza wówczas niemiecka liberalna formacja – powołując do życia wspomnianą wyżej Fundację. Miejmy zatem świadomość, że liberalne i imperialne tendencje nie wykluczają się w historii – nawet jeśli jest to imperializm w białych rękawiczkach.

Potencjalnym czytelnikom i czytelniczkom należy się ostrzeżenie: książka Naumanna w swojej najbardziej czytelnej i oczywistej warstwie jest już w znacznej mierze mocno zdezaktualizowana. Znacznie więcej niż przedstawione fakty mówią o koncepcji Mitteleuropy zaproponowane przez autora interpretacje. Co poświadcza – wskazując na marginesie – że do zrozumienia dziejów nie wystarczy znajomość nazwisk i dat, lecz także pewnego rodzaju intuicja dotycząca historii idei i procesów związanych z długim trwaniem oraz momentami rewolucyjnych zmian. Istotne i klarowne dla niemieckich czytelników sprzed stulecia rozdziały „Wspólna wojna i jej następstwa", „Wspólne problemy gospodarki wojennej", „W systemie gospodarki światowej", „Środkowoeuropejski naród gospodarczy", „Kwestie celne" mogą wydać się nieaktualne. Ale właśnie tam znajdziemy czytelne zasady, na jakich Naumann chciał przed ponad wiekiem budować niemiecką hegemonię w Europie Środkowej i Wschodniej w coraz bardziej globalizującym się świecie.

Zdecydowanie czytelniejsze będą rozdziały wprost dotyczące naumannowskiej filozofii dziejów i tożsamości „środkowowschodniego ludu", którym rządzić i który eksploatować miała niemiecka Rzesza. To rozdziały „Korzenie Mitteleuropy", „Wyznania i narodowości", „Zagadnienia ustrojowe". W obu przypadkach pewne jest jedno – skrupulatność Naumanna, niemal biurokratyczna tendencja do projektowania nowego niemieckiego ładu, który miał nadejść po wojennym triumfie, nie powinna nas śmieszyć. Wbrew pewnemu utartemu stereotypowi Niemcy po

eprasa.pl a63b32ee02

II wojnie światowej znów zaczęły wygrywać politycznie i gospodarczo nie tylko dlatego, że byli beneficjentami zachodnich środków finansowych i pozostali przynajmniej jedną nogą w orbicie społecznej gospodarki rynkowej. Zaczęli wygrywać, bo potrafili myśleć strategicznie, a ich państwo, organizacje społeczne i biznesowe potrafiły przekuć koncepcje w czyn. To szczegółowe myślenie koncepcyjne, które w Polsce często uchodzi za zbędne, nieefektywne i wydumane, bardzo dobrze widać na kartach „Mitteleuropy". Ono nie tylko wyraża niemieckie ambicje – potrafi je również uszczegóławiać. Uświadamia, jakie dźwignie pomagają zamieniać idee w rzeczywistość, w tym w struktury europejskiej i globalnej dominacji. Kładę to pod rozwagę również tym, którzy dzisiaj zbyt lekkomyślnie i nadto hurraoptymistycznie wieszczą koniec Europy poddanej niemczyźnie.

▶ Mieliśmy zaakceptować niemiecką supremację w regionie

Wojna jest faktem. Ale Naumann patrzy szerzej. We wstępie do książki pisze: „Politykę zdominował duch wielkich struktur i organizacji ponadnarodowych". Niemcy i Austro-Węgry to za mało w nadchodzącym globalnym świecie – stwierdza autor „Mitteleuropy". „Wola utrzymania potęgi Niemiec" wymaga stworzenia projektu, który zarówno przekroczy partykularne możliwości Berlina i Wiednia, jak i w pełni je zintegruje, rozciągając niemieckie władztwo na wschód i południe naszego kontynentu. Warto uświadomić sobie, że mit Mitteleuropy Naumann buduje na historiozoficznym koncepcie, który pozwala mu uwierzytelnić niemieckie władztwo. Stwierdza, że „Europa Środkowa pozostawała w stanie dezintegracji i dezorganizacji najdłużej spośród wszystkich średniowiecznych państwowości". To Rzesza miała być czynnikiem cywilizującym: „ekspansja żywiołu niemieckiego na ziemie Polski, Litwy, Czech, Moraw, Węgier oraz na południe, aż po ziemie Słowian południowych żyjących pod panowaniem tureckim".

Otwarte pozostawiam pytanie, czy Naumann zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju koncepcja jest możliwa tylko wówczas, gdy zbagatelizuje się dzieje suwerennej Rzeczypospolitej, która podważa wizję środkowej Europy jako przestrzeni, którą w kolejnych wiekach cywilizacyjnie zdominowała niemczyzna. Ale w 1915 roku miał prawo żywić przekonanie, że to sprawa ostatecznie rozwiązana, że Polska i Polacy zostali strąceni do rangi niewolnych. Co więcej: był wówczas w pełni przekonany, że w razie zwycięstwa wilhelmiańskiej Rzeszy Polacy ochoczo zaakceptują niemiecką supremację w regionie. Poświadcza to wymowny passus poświęcony narodowi polskiemu i polskiej państwowości. Z konieczności przytoczę dłuższy wywód Naumanna: „w czasie obecnej wojny wszystkie polskie stosunki i dotyczące Polski projekty są pełne tylu niewiadomych, że choć kwestia polska należy do katalogu najważniejszych »celów wojennych«, to nie może być jeszcze brana pod uwagę w rozważaniach dotyczących ostatecznego kształtu Mitteleuropy. Przy korzystnym wyniku walk i rokowań pokojowych obecna wojna może stać się dla Polaków dziejowym punktem zwrotnym. Sami Polacy domagają się – o ile dobrze rozumiem – najpierw zjednoczenia swoich ziem, a następnie, o ile to możliwe, przyznania im autonomii".

Naumann wywodzi, co dalej, wprost wskazując, że jego projekt to synonim hegemonii niemczyzny: „W powstanie nowego, całkowicie niepodległego państwa polskiego pomiędzy Rosją a Mitteleuropą wierzy chyba tylko niewielu doświadczonych politycznie przedstawicieli tego narodu. Większa ich liczba ma nadzieję na istnienie Polski związanej z Austrią, która obejmie większość żywiołu polskiego i uzyska zbliżony do Węgrów stopień samodzielności w obrębie monarchii naddunajskiej. [...] Jest w każdym razie pewne, że trudno sobie wyobrazić nową Polskę bez uprzedniego podpisania traktatu o powstaniu Mitteleuropy". Naumann był równocześnie przekonany, że nawet jeśli powstanie buforowe państwo polskie, to Prusy zachowają swój stan posiadania na wschodzie sprzed 1914 roku – skwapliwie przy tym podkreślał, że w 1915 roku niemieckie wojska „wyrwały Polskę ze stuletniego rosyjskiego uścisku". Choć ze względów pragmatycznych (korzyści dla wyobrażonej Mitteleuropy) był przeciwnikiem radykalnej germanizacji Polaków, to równocześnie dbał wyłącznie o niemieckie interesy w regionie. W naszych czasach poznaliśmy sporo tego rodzaju niemieckich „przyjaciół i dobrodziejów" Polski. I doskonale wiemy, kim są ich nadwiślańscy totumfaccy.

▶ Duch Bismarcka unosi się na „liberalną" koncepcją Naumanna

Profesor Kucharczyk przypomina, że Naumann odwoływał się do tradycyjnego modelu imperialnego, „w którym najważniejszymi

eprasa.pl a63b32ee02

instrumentami sprawowania władzy są wpływ i kontrola, a nie terror i eksterminacja". Dla hitlerowskich Niemiec jego program był zbyt łagodny – doskonale jednak pasuje do czasów kulturowo-gospodarczo-politycznej dominacji w białych rękawiczkach. Przywołany przez prof. Kucharczyka niemiecki politolog Herfried Münkler, znawca imperialnych modeli rządzenia, trafnie zauważa, że „imperialne granice nie oddzielają od siebie równoprawnych politycznie bytów, przedstawiają one raczej stopniowanie potęgi i wpływu. [...] Graniczące z imperium polityczne wspólnoty nie mają takiej samej godności, co imperium". Wynika to z prostej reguły: „imperia nie znają sąsiadów, których uznają za równych sobie, to znaczy dysponujących takimi samymi co one prawami". Stąd fundamentalne pytanie, które podnosi prof. Kucharczyk: „czy program, w który wpisane jest dążenie do nałożenia również na Polskę trwałej bariery rozwojowej i ustanowienie niemieckiego wpływu i kontroli nad całą Europą Środkową za pomocą wytworzonego w Niemczech kodu kulturowego, odszedł rzeczywiście do przeszłości?".

We współczesnych polskich realiach jestem w stanie wyobrazić sobie następujące pytania: „W czym nam może przeszkadzać łagodny niemiecki dyktat, skoro materialnie na nim korzystamy? Czy koncepcja Mitteleuropy, którą na początku XX wieku opracował szanowany przez niemieckich liberałów polityk, rzeczywiście jest dla Polski groźna?". Zostawmy na boku odwołania Naumanna do rzekomych średniowiecznych korzeni Mitteleuropy. Znamienne jest to, że jako swój autorytet, który dzieli z wieloma współczesnymi sobie Niemcami, Naumann wskazuje kanclerza Niemiec Otto von Bismarcka, pod którego jawnym protektoratem działała skrajnie antypolska Hakata. Nie tylko z emfazą pyta, co Niemcy zrobiły z jego dziedzictwem, ale wprost stwierdza, że „nasz kanclerz był inicjatorem Mitteleuropy". Germanizacja nie przestaje być germanizacją, wciąż dotyczy gospodarki, kultury, polityki. Duch Bismarcka unosi się na „liberalną" koncepcją Naumanna. Zapewne jego duch orędował też międzynarodowym poczynaniom Angeli Merkel. I nie jest też obcy Olafowi Scholzowi. Wiemy też dziś, że prorosyjska opcja Helmuta Kohla nosiła na sobie piętno bismarckowskiej geopolityki.

W czasach nam współczesnych, dzięki łagodnym środkom perswazji kultury masowej, żyjącej w symbiozie z reklamą i marketingiem, oraz neoliberalnym kamuflażom („kapitał nie ma narodowości", „rynek ma zawsze rację") wiele niemieckich interesów w Polsce udało się przeprowadzić znacznie łatwiej niż w czasach, gdy w wielkopolskim Śremie ksiądz Piotr Wawrzyniak skutecznie walczył z gospodarczo-kulturową germanizacją. To nie oznacza, że polskie i niemieckie firmy nie powinny dziś robić interesów. I nie oznacza to, że skazani jesteśmy na polsko-niemiecką zimną wojnę. Warto jednak mieć świadomość, że obecny polityczny kryzys w relacjach między Warszawą a Berlinem powinien służyć stronie polskiej do krytycznego przyjrzenia się sytuacji. I odpowiedzi na proste pytanie: „Czy III RP nie stała się państwem zależnym od niemieckiej wizji Mitteleuropy?". Nie trzeba brać tego pytania dosłownie – istotniejszy niż litera głośnej koncepcji Naumanna wydaje się jej duch.

▶ Lekcja geopolitycznego myślenia

I jeszcze jedna kwestia, której powinniśmy być świadomi również dziś, gdy myślimy o wojnie Rosji przeciw Ukrainie i możliwych scenariuszach zakończenia tego złowrogiego konfliktu. Dla Naumanna było jasne, że wojna nie oznacza tylko traktatu pokojowego. O wiele istotniejsze były dla niego jego możliwe warunki – i potencjalne korzyści dla wilhelmiańskiej Rzeszy i Austro-Węgier, jakie miałyby wyniknąć ze stworzenia niemieckiego federacyjnego superpaństwa: „pomyślmy też o Polsce, o sytuacji na Bałkanach, o Turcji, o Morzu Śródziemnym i o zawartych w traktacie pokojowym postanowieniach w sprawie handlu – wszystko zależy od decyzji, którą podejmiemy w sprawie Mitteleuropy".

Niech nas nie zwiedzie fakt, że historia potoczyła się inaczej, niż marzył o tym niemiecki liberalny polityk. Jego koncepcja, jego pomysł na niemiecką supremację w Europie Środkowej i Wschodniej zapewne nigdy nie zostanie powtórzony dosłownie. Ale dalekosiężność tej wizji i gospodarcze i kulturowe korzyści dla niemczyzyny, jakie miałyby z niej wynikać, stanowią znaczący problem dla Rzeczypospolitej. I lekcję geopolitycznego, perspektywicznego myślenia. Chyba że miałaby ona pozostać wyłącznie państwem buforowym i sezonowym. Tak jak chcieli tego nie tylko najwięksi dwudziestowieczni zbrodniarze z Berlina i Moskwy. ■

eprasa.pl a63b32ee02

CIOTKA BONY, WARSZAWSKA „SFORZIADA" I LEONARDO DA VINCI

Magdalena Łysiak

Peter Silverman, kolekcjoner dzieł sztuki i stały bywalec aukcji antykwarycznych, na zawsze zapamiętał dzień 30 stycznia 1998 roku. To wtedy zaczęła się jego największa przygoda życia. W nowojorskim Christie's trwała aukcja, wśród wielu obrazów znalazł się „Portret młodej dziewczyny z lewego profilu w sukni renesansowej", opisany w katalogu jako niemiecki rysunek z początku XIX wieku i wystawiony za 18 tys. dolarów. Kwota ta była dość wygórowana jak na pochodzenie dzieła, ale mężczyzna czuł, że ma do czynienia z czymś wyjątkowym. Niestety został przelicytowany przez marszandkę Kate Ganz, która ostatecznie zapłaciła 21 850 dolarów. Po 9 latach Silverman przechodził w Nowym Jorku obok galerii Ganz. W środku zobaczył „Dziewczynę"... „Wiedziałem, że drugi raz nie mogę wypuścić jej z rąk. Wszedłem, spytałem o cenę i bez targowania zapłaciłem 22 tys. dolarów" – wspomina. A potem rozpętało się piekło...

Kolekcjoner pokazał pracę kilku historykom sztuki i świat nauki podzielił się na dwa obozy. Część, m.in. Nicholas Turner, ekspert od dzieł starych mistrzów, stwierdziła, że to praca samego Leonarda da Vinci, inni absolutnie temu zaprzeczyli. Silverman oddał więc rysunek do badań laboratoryjnych. Naukowcy rozpoczęli szczegółowe dochodzenie, a z każdym dniem na jaw wychodziły nowe, zaskakujące szczegóły.

Leworęczny artysta

Do rąk badaczy trafił rysunek o wymiarach 33x23,9 cm, wykonany suchymi pastelami i tuszem na welinie (cieniutkim pergaminie z cielęcej skóry), który naklejono na starej dębowej desce. Przedstawiał profil dziewczyny z misternie spiętymi włosami i suknią zdobioną geometrycznym wzorem. Najpierw, przy użyciu metody C14, ustalono wiek welinu – datując go między 1450 a 1650 rokiem (Leonardo żył w latach 1452–1519). To oczywiście nie przesądziło sprawy, bo nadal nie wiadomo było, kiedy zrobiono portret. Zaczęto więc analizować wszystkie możliwe detale. Dzieło dostał też do oglądu Martin Kemp, wielki znawca Leonarda, który z kolei poprosił naukowca Pascala Cotte'a z Lumière Technology o wysokiej rozdzielczości zdjęcia za pomocą multispektralnego skanera. Wielokrotne powiększenie pracy ukazało niebywałą precyzję rysunku, szczególnie w okolicy oka i powieki, rozcieranie pasteli palcami w celu uzyskania efektu sfumato (znak rozpoznawczy da Vinciego) oraz leworęczność twórcy. To ostatnie wytrąciło broń z ręki historykom sztuki twierdzącym, że być może rysunek powstał w kręgu szkoły Leonarda – wiadomo jednak, że żaden z jego uczniów nie był leworęczny. Przez chwilę wszystkich zelektryzowała wieść o odkryciu fragmentu odcisku palca. Niestety był on zbyt mały, by móc jednoznacznie przypisać go mistrzowi z Vinci, choć pozostawił on czytelne odciski na niemal każdym ze swoich dzieł. Na artystę wskazywała także nietypowa technika samego rysunku – suche pastele zw. trois crayons były w tamtym czasie nowością we Francji, posługiwało się nią niewielu malarzy (m.in. Hans Holbein, Jean Clouet i Jean Perréal). W Italii była zupełnie nieznana, poza jednym wyjątkiem... Uwielbiający wszelki nowinki Leonardo zapisał w Kodeksie Atlantyckim, że nauczył się nowej techniki od malarza Perréala, który przybył na dwór mediolański razem z królem Karolem VIII w roku 1494: „Od Giana z Paryża poznałem sposób kładzenia suchego koloru (»il modo di colorire a secco«). Nauczyłem się uzyskiwać połysk i tony oraz kłaść na nie gumę lakową". Wkrótce da Vinci sam zaczął wyrabiać pastele, a także szkolić swych podopiecznych. Z początku XVI wieku pozostały po tych próbach rysunki Solaria, Boltraffia czy Luiniego.

Uczeni zabrali się również za analizę stroju dziewczyny. Dwie rzeczy były tu bezsporne. Jej fryzura odpowiada dokładnie modzie panującej w owym czasie na dworze Sforzów (według naukowców umieścić ją należy w ostatniej dekadzie quattrocenta) – to coazzone, neapolitańskie wiązanie włosów, które pojawiło się w Mediolanie dzięki ślubowi Ludovico il Moro i, wychowanej w Neapolu, Beatrice d'Este. Dzięki zdjęciom Cotte'a ujawniono, niewidzialne gołym okiem, ledwo zarysowane łebki szpilek wbite we wstążkę. Mógł je namalować tylko ktoś, kto znał nawet ukryte zapięcia i triki stosowane wówczas w damskiej garderobie (hipotezę o współczesnym fałszerzu można było odrzucić), ktoś, kto żył blisko mediolańskiego dworu i fascynował się detalami ubioru. Jak wiadomo, Leonardo uwielbiał modę, sam projektował swoje ubrania, a także stroje dla dworzan. Drugim ważnym aspektem jest wzór ozdobnego sznurka na ramieniu dziewczyny. To fragment wymyślonego przez da Vinciego logo jego akademii – kunsztowny przeplot układający się w koronkową rozetę. I tak powoli ten rzekomo XIX-wieczny niemiecki rysunek podryfował w stronę atrybucji największego artysty wszech czasów. Równocześnie rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania modelki. Kim była dziewczyna z tego niezwykłego portretu?

Miłość i śmierć

Martin Kemp przyjął, że (głównie z powodu fryzury) musiała pochodzić ze ścisłego kręgu Ludovica il Moro, czyli Maura (ten przydomek książę zawdzięczał bardzo ciemnej karnacji). Skoro jego żona wprowadziła modę na coazzone, a po jej śmierci owa moda wygasła, należało szukać na dworze Sforzów. Na pewno nie była to sama Beatrice d'Este, gdyż znamy wiele jej portretów i wiemy, że była brunetką. Trop powiódł do Bianki, córki il Moro z nieprawego łoża. Z tego powodu Kemp nazwał portret „La Bella Principessa" („Piękna księżniczka"). Ta czternastoletnia dziewczyna, pięć lat po ślubie ojca, została żoną dowódcy wojsk Mediolanu, ukochanego przyjaciela książęcej pary – Gian Galeazzo Sanseverino, którego ze względu na błyskotliwą karierę oraz wygraną w wielu bitwach nazywano „synem Fortu-

FOT. ARCH.

eprasa.pl a63b32ee02

ny" („il figlio della Fortuna"). Filip z Comines w swoich „Pamiętnikach" pisał, że Ludovico „zachowywał go jako syna". Kiedy z okazji wesela Sforzów zorganizowano wielki turniej, Sanseverino poprosił da Vinciego o zaprojektowanie ubiorów na tę okazję. Wielu kronikarzy pozostawiło opis momentu wjazdu Galeazzo na plac turniejowy – oto oczom zebranych ukazał się „hełm złoty cały jasny, ale jednocześnie budzący strach, na czubku którego świeciła para skręconych rogów [...] z hełmu wychodził duży skrzydlaty wąż, który swoim ogonem i łapami zakrywał grzbiet konia".

Warto dodać, że istnieje rysunek Leonarda przedstawiający profil „antycznego kapitana" w podobnym nakryciu głowy, być może to projekt owego kostiumu. Z kolei niektórzy historycy sztuki upatrują wizerunku dowódcy w leonardowskim „Portrecie muzyka". Gian Galeazzo przyjaźnił się z da Vincim, być może był przy jego śmierci, gdyż po opuszczeniu Castello Sforzesco służył Ludwikowi XII, a potem Franciszkowi I, u którego swych dni dożywał artysta. Na razie jednak Leonardo był w sile wieku i uczestniczył 20 czerwca 1496 roku w ceremonii ślubnej Bianki i Galeazza. Był zatrudniony od kilku lat na dworze jej ojca, malował jego kochanki, macochę, przyjaźnił się z przyszłym mężem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby poproszono go o namalowanie także jej portretu. Wesele było wspaniałe. Wszyscy dobrze się bawili. Jednak dziesięć dni później nadciągnął mrok – Bianca zachorowała. Powroty do zdrowia były krótkotrwałe. Niemal równocześnie Galeazzo ciężko przechodził malarię. W październiku wydawało się, że wszystko szło ku dobremu, ale już za chwilę stan dziewczyny dramatycznie się pogorszył. 23 listopada umarła na rękach męża. Dwór okrył się żałobą. Po delikatnej Biance płakał ojciec i płakała Beatrice, która „oczekiwała narodzin kolejnego dziecka, a mimo to chodziła codziennie do kościoła S. Maria delle Grazie, pozostając tam przez długie godziny, aby modlić się nad grobem Bianki". Gian Galeazzo zamknął się w swych komnatach. Gdy odwiedzili go przyjaciele Bernardino da Corte, Bartolomeo Calco i arcybiskup Mediolanu, zastali go „załamanego [...] szlochającego tak, że z trudem mógł wyrazić słowa bólu". Na domiar złego trzy miesiące później zmarła przy porodzie księżna Mediolanu, którą również wszyscy uwielbiali, a il Moro, źle skalkulowawszy swą politykę stracił wszystko. Otoczony przez wrogów, bez wsparcia żony, niezdolny do reakcji uciekł z miasta, które pogrążyło się w długoletnich wojnach z Francją. Złote lata Mediolanu przeminęły.

▶ Z biblioteki Ordynacji Zamojskich

W Bibliotece Narodowej w Warszawie znajduje się niezwykła księga, bezcenny zabytek epoki renesansu – tłoczony na pergaminie inkunabuł z 1490 roku ilustrowany przez słynnego miniaturzystę Giovanniego Pietro Birago. To „Sforziada" – dzieło Giovanniego Simonetty poświęcone Franciszkowi Sforzy, ojcu il Moro i założycielowi dynastii. Według badaczy księga trafiła do Polski wraz z królową Boną, prawnuczką Franciszka Sforzy. Poszukiwano potwierdzenia, że młoda księżniczka przywiozła ją ze sobą, jadąc na ślub z Zygmuntem Starym, jednak takiego śladu nie znaleziono. Być może dostała ją później, w trakcie panowania, a potem jako dziedzictwo rodu przekazała synowi. Po śmierci ostatniego Jagiellona „Sforziada" trafiła do zbiorów Jana Zamoyskiego. Od tamtej pory była ozdobą biblioteki Ordynacji Zamojskich.

Pierwsza udokumentowana wzmianka o niej pochodzi właśnie ze spisu inwentarza biblioteki Akademii Zamojskiej z roku 1675, druga z 1776. Wiadomo też, że na początku XIX wieku księgę przeniesiono do nowo powstałej Biblioteki Ordynacji Zamojskiej w Pałacu Błękitnym w Warszawie. Naklejono wówczas ekslibris z napisem: „Z BIBLIOTEKI ORDYNACJI ZAMOYSKIEJ W WARSZAWIE ROKU 1815". Podczas Powstania Warszawskiego Biblioteka Zamojskich uległa zagładzie. Niemcy celowo podpalili wszystkie zbiory biblioteczne Warszawy. „Sforziada" cudem ocalała. W 1946 roku Jan Tomasz Zamoyski przekazał kolekcję zachowanych dzieł (w tym liczącą prawie 100 woluminów kolekcję z biblioteki królewskiej Zygmunta Augusta) w depozyt wieczysty do Biblioteki Narodowej. To jeden z najcenniejszych zabytków w polskich rękach. Na świecie do dzisiejszych czasów zachowały się cztery egzemplarze dzieła, różniące się między sobą symboliką w dekoracji kart, dostosowaną m.in. do adresatów, którymi byli: Ludwik Sforza (British Library), Gian Galeazzo Sforza (Bibliothèque Nationale w Paryżu) oraz Gian Galeazzo Sanseverino (Biblioteka Narodowa w Warszawie). Niedawno odnaleziono też fragmenty „Sforziady" z książęcej biblioteki w Pawii (Galeria Uffizi we Florencji).

Ale księga warszawska jest najcenniejsza! Na karcie siódmej, tytułowej, znajdują się: portret Franciszka Sforzy, herby rodów, inicjały Sanseverino oraz alegoryczne wizerunki m.in. ciemnoskórego putta przedstawiającego il Moro czy ciemnoskórej dziewczynki obejmującej jednego z dworzan (Bianca i Galeazzo). Do małżeństwa odnosi się inskrypcja na sarkofagu „Delegi vos ut fructuarii sitis et fructus vester maneat" („Wybrałem was, abyście rodzili

eprasa.pl a63b32ee02

owoce, a owoc wasz aby przetrwał"). I tylko w tym egzemplarzu, na dole bordiury, po prawej stronie, widnieje podpis artysty: „P[re]SB[yte]R IO[annes] PETR[u]S BIRAGUS FE[cit]"!

Kiedy Martin analizował rysunek „Pięknej Księżniczki", zauważył kilka ważnych elementów – w welinie przy lewym brzegu widniały otwory wyglądające na miejsca zszycia z innymi kartami, a wzdłuż całej strony szedł ślad noża, jakby ktoś odciął nim portret. Podczas całej operacji drgnęła mu ręka i cięcie poszło krzywo. Bez dwóch zdań „La Bella Principessa" była wcześniej częścią jakiejś księgi. To tłumaczyłoby jej zniknięcie, brak jakichkolwiek informacji na przestrzeni wieków, a potem pojawienie się jako dzieło nieznanego autora. Na warszawską „Sforziadę" jako potencjalne oryginalne miejsce rysunku zwrócił uwagę prof. D.R. Edward Wright z Uniwersytetu na Florydzie, zaintrygowany niemal idealnie zbliżonymi wymiarami kart z welinowego inkunabułu. Kemp natychmiast uznał, że musi sam zobaczyć i zbadać ową polską księgę. Spakował zdjęcia portretu i wraz z Cottem ruszyli do Warszawy.

Kobiety Leonarda

Przede wszystkim musieli ustalić, czy w „Sforziadzie" brakuje jakiejś strony. Portret Bianki, jako ważny, powinien znajdować się na początku księgi, tuż przed stroną tytułową. W Bibliotece Narodowej Pascal Cotte wykonał obiektywem makro zdjęcia brzegów grzbietu inkunabułu, by sprawdzić, jak zszyte są poszczególne karty. Okazało się, że każda libra (sekcja stron) składa się z czterech podwójnych kart, ale... pierwsza libra została zmniejszona przez usunięcie jednej ze składanych podwójnych kart poprzedzających stronę tytułową. A więc w tym właśnie miejscu mógł kiedyś być rysunek Leonarda. Ktoś ewidentnie ingerował w księgę. Pozostało jeszcze sprawdzić, czy miejsca po zszyciach „Principessy" pasują do zszyć w „Sforziadzie". Gdyby tak nie było, to cała hipoteza rozsypałaby się jak domek z krat. Szybko zobaczono, że warszawski inkunabuł jest zszyty w pięciu miejscach, ale trzy z nich pasują – co do milimetra (sic!) – do zszyć rysunku. Jednak wiadomo, że księga została wtórnie oprawiona, kiedy znajdowała się w Bibliotece Ordynacji Zamojskich, i to zapewne wówczas zszyto ją w dwóch dodatkowych punktach. Portret Bianki musiał więc zniknąć z niej lata, może wieki wcześniej.

Katarzyna Woźniak, która prześledziła drogę „Sforziady" w polskich zbiorach, zwróciła uwagę na ciekawy wyjątek we wspomnieniach Leona Dembowskiego, opisujący przeniesienie zbiorów Izabeli Czartoryskiej na piętro Domku Gotyckiego: „Były wśród nich dzieła wielkiej wartości: »Wjazd Ossolińskiego do Rzymu« Dolabelli [...], pejzaże Rembrandta, »Święty Marcin Rubensa, »Samarytanka« Veronesa, [...] Van Dyck i kobiety Leonarda da Vinci". Te ostatnie słowa elektryzują: jeśli jedną z owych „kobiet" była „Dama z łasiczką", najcenniejszy obraz w polskich zbiorach, to kim była druga? Czy Czartoryscy mieli w posiadaniu także „Biankę Sforzę"? Czy wiedzieli, że wyszła spod ręki Leonarda? Niestety, jedyne co można potwierdzić z całą pewnością, to powszechna praktyka wycinania ilustracji z ksiąg i oprawianie ich jako samodzielne obrazy. Nie było to w tamtych czasach nic niestosownego. Katalog Domku Gotyckiego wymienia wiele takich rysunków usuniętych z różnych ksiąg.

Tak czy inaczej „Piękna księżniczka" zniknęła ze „Sforziady", zniknęła z Polski i skryła się w otchłani czasu. Pojawiła się ponownie w wieku XX, w domu Gianino Marchiga, cenionego malarza i konserwatora dzieł sztuki, który wsławił się m.in. konserwacją jednego z płócien... Leonarda – „Madonny z wrzecionem". Wdowa po Marchigu oddała pewnego dnia „Principessę" na aukcję do Christie's, a tam eksperci stwierdzili, że to niemieckie dzieło z XIX wieku i wycenili na 18 tys. dolarów. Kiedy okazało się później, że ich ocena była aż tak chybiona, pani Marchig podała dom aukcyjny do sądu. Bardzo szybko zawarto ugodę. Christie's zapłaciło zapewne okrągłą sumkę, bojąc się skandalu, ale i tak niesmak pozostał. Jeśli rysunek wyszedł spod ręki Leonarda, to jego wartość sięga obecnie co najmniej 150 mln dolarów. Na razie „La Bella Principessa" spoczywa bezpiecznie w skrytce szwajcarskiego banku. ■

BEZ DWÓCH ZDAŃ „LA BELLA PRINCIPESSA" BYŁA WCZEŚNIEJ CZĘŚCIĄ JAKIEJŚ KSIĘGI. TO TŁUMACZYŁOBY JEJ ZNIKNIĘCIE, BRAK JAKICHKOLWIEK INFORMACJI NA PRZESTRZENI WIEKÓW, A POTEM POJAWIENIE SIĘ JAKO DZIEŁO NIEZNANEGO AUTORA.

eprasa.pl a63b32ee02

Krzysztof Karnkowski

Klisze na kliszy

Ten film miał być wydarzeniem, być może też skandalem. W kinach nie zrobił furory, jednak bardzo dobrze obejrzał się później na Netfliksie. Nie było jednak większego oburzenia; być może znając pierwsze założenia, potencjalnie urażona część widowni po prostu dała sobie spokój. Inni narzekali, że zamiast filmu fabularnego dostali ekranizację popularnych memów. Czy było aż tak źle? Chyba nie, jednak nie można też powiedzieć, by „Kryptonim: Polska" debiutującego Piotra Kumika był przesadnie pogłębioną opowieścią o współczesnej Polsce.

eprasa.pl a63b32ee02

To chwilami zabawna (choć nie dla każdego), chwilami zbyt schematyczna, zbyt mocno osadzona w medialnych kliszach komedia, którą można obejrzeć, z góry widząc, jak nasz świat kultury wyobraża sobie środowisko skinów czy prawicowych nacjonalistów. Nie im jednym się jednak dostanie.

Niedzisiejsi narodowcy

Zainteresowanie filmem zaczęło się jeszcze w 2021 roku, wraz z ogłoszeniami o poszukiwaniu statystów do ról lewaków i narodowców. Nic więc dziwnego, że obie te grupy dość czujnie zorientowały się, iż powstaje coś na ich temat. W ślad za ogłoszeniami poszły pierwsze informacje: ktoś planuje film, w którym wyśmieje obie targające Polską skrajności, a wszystko w scenerii demonstracji i kontrdemonstracji, na których dojdzie do nieuchronnego zderzenia się dwóch światów. Pomysł z potencjałem, lecz obarczony ryzykiem, że skończy się na kolejnej politycznie poprawnej agitce (choć od razu zapowiadano, że poprawnie nie będzie, jednak cóż, takie zapowiedzi to standard). Zwłaszcza skini i narodowcy mieli podstawy, by nie spodziewać się niczego dobrego, wiadomo przecież, jak artystyczna elita widzi ich ruch. Zważywszy na to, że „Kryptonim: Polska" nie powstałby, gdyby nie niesławny reportaż TVN o grupie neonazistów obchodzących urodziny Hitlera w śląskim lesie, z których kilku w jakiś odległy sposób powiązanych było z trzecioszeregowymi przedstawicielami prawicowego obozu władzy, reportaż przedstawiał świat, którego w chwili jego powstawania już właściwie nie było. Pokazani w nim dorośli już skinheadzi byli bardziej grupą rekonstrukcyjną skinów sprzed kilkunastu lat, niż odleglejszych w czasie nazistów. Stanowili raczej wspomnienie zjawiska z pierwszej połowy lat 90., dziś margines marginesu, mający ze współczesnymi nacjonalistami tyle wspólnego, co obraz grzejącego makowy kompot narkomana ze współczesnym, napędzanym wynalazkami od ekskluzywnych dealerów dzieciakiem z wielkomiejskiej korporacji. Tymczasem narodowców Kumik odmalował właśnie według tej telewizyjnej kliszy, atrakcyjnej, ale jednak bardzo niedzisiejszej. Czasem nawet zabawnie, jak w momencie, gdy podczas policyjnej obławy pada komenda: „Ręce do góry", a ci, z przyzwyczajenia, wykonują tzw. salut rzymski. Myślę, że i samych nacjonalistów obrazek ten, niemający zbyt wiele wspólnego ze współczesnym żywiołem narodowego radykalizmu, mógłby rozbawić, głównie jednak jako symbol odklejenia artystów od rzeczywistości.

Nie jest to obraz czarno-biały

Z drugiej strony mamy w tej opowieści barwny świat skrajnej obyczajowo lewicy. Recenzenci, z reguły sami mniej lub bardziej lewicujący, piszą, że z nimi Kumik z resztą ekipy obchodzą się dużo łagodniej. Fakt, finalnie to oni, choć karykaturalni i ukazani tak, by i z nich oglądający film „normals" mógł się pośmiać, mają być przecież ofiarami nienawiści nazistów. Jednak mamy tu dość udaną scenę, w której lewaczka, feministka i zwolenniczka wolnych związków, obnaża swoją hipokryzję, bardzo konserwatywnie reagując na zdradę partnera, a ten przyłapany w akcji zasłania się tablicą z napisem: „Moja cipka, moja sprawa". Tu następuje ośmieszenie kilku lewicowych i lewackich przywar naraz, tyle że w tym świecie są to przywary mniej groźne. To raczej niekonsekwencja w życiu prywatnym, która, inaczej niż wielkie plany granego przez Borysa Szyca lidera Zrzeszenia Młodzieży Radykalnej, nie robi nikomu krzywdy.

Nie znaczy to jednak, że mamy tu wizję czarno-białą, obraz w pewnym stopniu wpisuje się też w antyelitarny nurt dzisiejszego kina, obecny w takich produkcjach jak „Proceder". Bogate dzieciaki są kompletnie oderwane od rzeczywistości swoich rówieśników, nie rozumieją i nie znają ich problemów, tak samo zresztą jak świat dorosłych. Lewicowa banieczka, chciwi biznesmeni i wpatrzeni w telewizor rodzice w pewnym stopniu wpychają młodych w objęcia radykała-cwaniaka, który wyrusza w podróż z bombą do Warszawy, gdzie jego celem nie jest tak naprawdę parada równości, lecz polityczna kariera gdzieś u boku trochę bardziej rozgarniętego kolegi. I sam nie wiem, czy bardziej to diagnoza banalna, czy prawdziwa. Powiedzmy więc, że banalna, lecz w pewnych okolicznościach mogąca stać się prawdziwą. Czy te okoliczności zachodzą akurat w Polsce roku 2023, nie jestem pewien. Młodzież z różnych powodów wykluczoną społecznie przyciągają bardzo różne radykalizmy, lecz niekoniecznie musi być to radykalizm narodowy – zwłaszcza widziany jako odbicie wspomnień z ulicznych wojenek z roku – powiedzmy – 1993.

Zbiór mniej lub bardziej udanych żartów czy trafionych obserwacji przeradza się jednak stopniowo w propagandową i coraz grubiej ciosaną farsę, co sprawia, że film zaczyna w pewnym momencie męczyć. Co więcej, w banał osuwa się nie

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl a63b32ee02

tylko przez przedawkowanie klisz, lecz także przez to, że staje się dość oczywistą historią miłosną. Całkiem ładną i tyleż poprawną, co tak naprawdę nawet dość konserwatywną. Lewaczka pokochawszy konserwatystę, wyobrazi go sobie jako wspólnika przy przykuwaniu się do drzewa, on zobaczy w niej matkę gromadki dzieci... Lecz ostatecznie połączy ich sytuacja, gdy on odnajdzie się w klasycznej męskiej roli obrońcy i wybawiciela. Dodajmy, że to do Staszka (Maciej Musiałowski) twórcy mają chyba najwięcej sympatii. Zwykły chłopak, ze zwykłymi marzeniami, po wypadku przegrany właściwie na starcie i przez to wplątany w radykalizm, jest tu postacią dużo jaśniej świecącą od swej miłości z drugiej strony barykady, Poli (Magdalena Maścianica), i chyba ta jego zwyczajność ma być finalną kontrpropozycją dla obu skrajności. Zwłaszcza że pokazana jest zarazem z wyrozumiałością i współczuciem.

to, mam wrażenie, obraz zapomniany, który jednak może jeszcze wrócić do szerszej świadomości – trwa przecież moda na odkrywanie pamiątek, przynależnych do okresu ustrojowej przemiany, której film Marka Bukowskiego jest w pewnym sensie zamknięciem.

Jest też, dostępna na Netfliksie, nowsza produkcja, „Kraj", dzieło Macieja Ślesickiego i jego współpracowników z Warszawskiej Szkoły Filmowej. Film chyba mało znany i przegapiony, a moim zdaniem wart dużo większej uwagi. „Kraj" składa się z sześciu etiud, w których kolejno śledzimy losy takich postaci jak policjant cięty na kierowców po własnej tragedii kontra sprawca wypadku; chłopak, któremu ukradziono córkę w markecie; rodzina, która przy okazji kontroli firmy odkrywa swoje brudy, po czym sama kontrola przyjmuje nieoczekiwany obrót; polityczny nominat z ministerstwa rolnictwa ląduje w galerii sztuki, gdzie natrafia na pracownicę, którą znał wcześniej; męża mającego romans z niepłacącą lokatorką. Wszystko wieńczy wojna sąsiadów, na którą dramatycznie nakłada się wieczny konflikt braci z kobietą w tle, zakończona spektakularnym pojedynkiem na fajerwerki. Nie tak dawno furorę, według mnie nie do końca zasłużoną, robił amerykański serial „Awantura", ukazujący przeradzający się w śmiertelne starcie zwykłe nieporozumienie w azjatyckiej społeczności w USA. Serial ten, jako alegorię polskiej sytuacji, polecał nawet politykom opozycji premier Morawiecki. Tymczasem „Kraj" Ślesickiego to sześć osadzonych na podobnym schemacie zdarzeń opowieści, gdy banał, nieporozumienie, z którego można na ogół łatwo wybrnąć, staje się śnieżną lawiną przygniatającą bohaterów. Tyle że w polskich, a nawet bardzo polskich realiach, dzięki którym tytuł nie jest żadnym nadużyciem. Mam wrażenie, że „Kryptonim: Polska" mógł pójść w podobnym kierunku, ponieważ jednak nie poszedł, polecam przy okazji ten o kilka lat starszy obraz, również dostępny na Netliksie. ■

NARODOWCÓW KUMIK ODMALOWAŁ CZASEM NAWET ZABAWNIE, JAK W MOMENCIE, GDY PODCZAS POLICYJNEJ OBŁAWY PADA KOMENDA: „RĘCE DO GÓRY", A CI, Z PRZYZWYCZAJENIA, WYKONUJĄ TZW. SALUT RZYMSKI.

▶ Dwie inne metafory Polski jako takiej

Mamy tu więc obraz pewnego wycinka, aspirujący do bycia obrazem całości. I w tym ostatnim zamierzeniu, z powodów już wymienionych, twórcy moim zdaniem nie spełnili przypisywanych im przeze mnie oczekiwań. Mamy w historii, również tej nowej, filmy, którym udało się w odpowiednim zagęszczeniu czasowym i przestrzennym tworzyć metafory Polski jako takiej. Tytuł „Kryptonim Polska" pozwalał na podobne oczekiwania.

Jednak tu dużo lepiej wypadają dwa inne filmy, które chciałbym w tym kontekście przypomnieć. Pierwszy to niezależne dzieło sprzed lat, „Blok.pl" z roku 2001, gdzie, w oczekiwaniu na jutro, Unię czy cokolwiek, tkwią i giną mieszkańcy tytułowego bloku na warszawskim osiedlu Bernardyńska, reprezentujący rozmaite, mniej lub bardziej polskie typy ludzkie czasów chaotycznej transformacji. „Blok.pl" był w swoim czasie wydarzeniem, przede wszystkim jako jedna z pierwszych produkcji polskiego kina niezależnego, pokazanych na antenie TVP. Dziś jest

eprasa.pl a63b32ee02

Marek Kalinowski

Londyn gra dla Milesa

Shabaka Hutchings, Nubya Garcia, Theon Cross i Tom Skinner – gwiazdy londyńskiej sceny jazzowej znowu zagrały na jednej płycie. Ich wspólne jam session to hołd dla legendarnego albumu Milesa Davisa „Bitches Brew".

Wydany w 1970 roku album „Bitches Brew" Milesa Davisa zostawił trwały ślad w historii muzyki rozrywkowej. Budując pomost między jazzem a progresywnym rockiem, stanowił inspirację dla kolejnych pokoleń i rozwoju gatunków muzycznych. Choć sygnowany był wyłącznie nazwiskiem Davisa, w istocie imponuje szerokim, gwiazdorskim składem, w którym znaleźli się m.in. Chick Corea, Dave Holland czy Wayne Shorter. Jak się okazuje, „Bitches Brew" inspiruje do dziś, a najnowszym tego dowodem jest wspólne dzieło brytyjskich jazzmanów wydane pod nieprzypadkowym tytułem „London Brew".

Różni wykonawcy, LONDON BREW, Concord Jazz

Aby tradycji stało się zadość, na nowych nagraniach rozpoznamy wiele ważnych nazwisk współczesnego jazzu. Zaskakujące, że akurat zabrakło trąbki, a rolę lidera przejmują saksofonista Shabaka Hutchings, do spółki z gitarzystą i zarazem producentem Martinem Terefe. Jest za to, tak jak u Davisa, podwójny zestaw perkusyjny (Tom Skinner i Dan See), charakterystyczna tuba Theona Crossa, są skrzypce (Raven Bush) i jest rozbudowana elektronika.

Dwupłytowe „London Brew" otwierają dwie improwizacje, długością prześcigające pierwowzór. Niestety wyraźnie odczuwalny jest brak dostatecznej selekcji materiału (ponoć muzycy zostawili aż 12 godzin nagrań!), choć na szczęście pozostaje też sporo momentów, do których będziemy chcieli po wielokroć wracać.

Oczywistym nawiązaniem do „Bitches Brew" jest utwór „Miles Chases New Voodoo In The Church", ale to jeden z nielicznych bezpośrednich tropów. Brytyjczykom bardziej chodziło o utrzymanie klimatu nagrań Davisa niż dokładne przepisywanie utworów. Obydwa albumy powstały w wyniku trzydniowej sesji nagraniowej i w głównej mierze są wynikiem improwizacji.

Jeśli od zawrotnego tempa zakręci nam się w głowach, odpoczynek znajdziemy na drugim krążku, gdzie rozkołysany, leniwy rytm „Nu Sha Ni Sha Nu Oss Ra" wprowadza w kapitalny, saksofonowy dialog między Hutchingsem a Nubyą Garcią. Po nim nadchodzi gęsty, nasycony elektroniką „It's One of This", w którym Hutchings zamienia saksofon na klarnet, a dalej zaskakująco krótki na tle całej płyty i tajemniczy „Bassis". W finałowym „Reven Flies Low" znów powraca pełne brzmienie zespołu, w którym melodię uwodzicielsko rozpoczynają skrzypce Ravela Busha, przekazując pałeczkę kolejnym muzykom.

Londyńska scena jazzowa mogła się zaprezentować ostatnio tak licznie na wydanej sześć lat temu płycie „We Out Here", powstałej pod czujnym okiem Gillesa Petersona, szefa niezależnej wytwórni Bronswood Records. To również bardzo ciekawy punkt odniesienia do najnowszych nagrań Brytyjczyków. Tam bowiem odkrywamy Garcię, Hutchingsa oraz Crossa jako świeże, nowe nadzieje jazzowej sceny. Dzisiaj otrzymując „London Brew" mamy już do czynienia z w pełni docenionymi muzykami z wieloma znakomitymi, solowymi albumami na kontach. Nagradzany saksofonista Shabaka Hutchings zarówno z zespołem The Comet is Coming, jak i The Ancestors, znany jest również z występów przed polską publicznością, a za chwilę na gdyńskim festiwalu Opener zaprezentują się kolejni bohaterowie „We Out Here" – grupa Ezra Collective. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Hanna Shen

PIEKŁO DZIEWCZĄT I KOBIET z Korei Północnej

eprasa.pl a6[illegible]2ee02

fot. NARONG SANGNAK/PAP/EPA

Czerwona strefa – tak określany jest niebezpieczny region na granicy Korei Północnej i Chin, w którym chińskie gangi handlujące ludźmi polują na dziewczęta i kobiety szukające ucieczki z „socjalistycznego raju", na czele którego stoi teraz Kim Dzong Un. Tylko że ucieczka z KRLD do Chin okazuje się kolejną strefą piekła.

Wydany na początku marca bieżącego roku raport Global Rights Compliance (GRC), międzynarodowej fundacji i kancelarii prawnej specjalizującej się w prawie humanitarnym, karnym i prawach człowieka, stwierdza, że ofiary grup przestępczych kontrolujących przygraniczną strefę pomiędzy Koreą Północną a Chinami są poddawane systematycznym gwałtom i często stają się niewolnicami seksualnymi. Wcześniej opublikowane dane sugerowały, że w ChRL przebywa od 150 tys. do 200 tys. uciekinierów z Korei Północnej, ale GRC uważa, że w rzeczywistości jest to około 500 tys. osób, z czego 70 proc. stanowi płeć żeńska. Prawie 80 proc. z tych uchodźczyń z Korei Północnej w Chinach jest sprzedawanych w celach seksualnych. Handel Koreankami z Północy to bardzo lukratywny biznes, przynosi chińskim grupom przestępczym ponad 104 mln dolarów rocznie.

▶ Prostytucja, cyberseks lub wymuszone małżeństwo

Większość kobiet uciekających z Korei Północnej jest zmuszana do prostytucji. Ofiary są głównie w wieku od 15 do 25 lat. Ogólnie rzecz biorąc, prostytucja jest poważnym problemem w Chinach, a udział tego biznesu w chińskim produkcie krajowym brutto wynosi 6 proc. Domy publiczne kryją się pod miejscami noszącymi niewinne nazwy łaźni, sauny, baru karaoke, kawiarni, gabinetu masażu, salonu piękności, zakładu fryzjerskiego, małego hotelu i nawet restauracji. W 2019 roku jedna z kobiet tak opisała swoją mękę w wypowiedzi dla Korea Future Initiative (KFI), organizacji z siedzibą w Londynie dokumentującej przypadki łamania praw człowieka w KRLD.: „Zostałam sprzedana do burdelu funkcjonującego jako hotel wraz z sześcioma innymi północnokoreańskimi kobietami. Nie dawano nam dużo jedzenia i źle nas traktowano [...] Po ośmiu miesiącach połowa z nas została ponownie sprzedana. Pośrednik robił mi złe rzeczy. Miałam pełno siniaków na ciele".

W domach publicznych Koreankom często wstrzykuje się narkotyki, aby nie były w stanie uciec.

Około 15 proc. dziewczyn i kobiet z Korei Północnej, które trafiają do Chin jako niewolnice seksualne, jest zmuszanych do kontaktu seksualnego z dorosłym poznanym drogą internetową. Ofiarami cyberseksu są często dziewczęta w wieku 9 lat, którym „każe się wykonywać drastyczne

epbasa.pl a63b32ee02

akty seksualne i które są napastowane seksualnie przed kamerami internetowymi, co jest transmitowane na żywo dla płacącej za to publiczności na całym świecie". Taka transmisja na żywo cyberseksu z udziałem północnokoreańskiej dziewczynki w wieku od 9 do 14 lat może kosztować od 60 do 110 dolarów.

KFI przytacza relację jednej z dziewcząt z Korei Północnej, która była wykorzystana w ten sposób: „Spałyśmy i jadłyśmy tylko w jednym pokoju. Był mały. Okna były zawsze zamknięte, żeby nikt nas nie widział, i było bardzo gorąco [...] Jeśli zasnęłyśmy, gdy czekałyśmy na klientów online, żona handlarza wielokrotnie dźgała nas igłami do szycia. Używała igieł do szycia, żeby na ekranie nie było widać ran na ciele".

Większość kobiet i dziewcząt, które uciekają do ChRL z „socjalistycznego raju" rodu Kimów, jest zmuszana do małżeństw z Chińczykami, którzy nie mogą znaleźć „chińskiej żony".

Konsekwencja polityki jednego dziecka

Polityka jednego dziecka, realizowana m.in. przez przymusową aborcję, a jednocześnie przy preferencji chińskich rodzin do posiadania chłopców zamiast dziewczynek, doprowadziły do nierównowagi płci w Chinach. „Teraz w Chinach jest o 30 mln więcej mężczyzn niż kobiet, 30 mln kawalerów, którzy nie mogą znaleźć narzeczonych. [...] Nazywają ich po chińsku »guang guan«, czyli »połamane gałęzie«" – pisze Mei Fong, amerykańska dziennikarka, korespondentka „The Wall Street Journal" w Chinach w latach 2006–2009, w książce pt. „Jedno dziecko – najbardziej radykalny eksperyment w Chinach".

Brak kobiet sprawia, że mężczyźni, głównie chłopi, niemogący znaleźć żon, stają się klientami gangów handlujących żywym towarem. Ci oferują w cenie od 3 tys. do 5 tys. CNY (około 1,7 tys. – 2,9 tys. zł) Koreanki, które uciekają z KRLD do Chin.

W latach 2004–2006 Hae-young Lee, ekspert do spraw praw człowieka z Korei Południowej, przeprowadziła serię wywiadów z 77 kobietami uciekinierkami z Korei Północnej. Ich historie w większości przypominają tę opowiedzianą przez panią Kim mieszkającą obecnie w prowincji Jilin (płn.-wsch. Chiny). Urodzona w 1979 roku Kim jako dziecko straciła ojca. Pod koniec lat 90. jej starsza siostra, aby pomóc matce, uciekła do Chin. Słuch po niej zaginął. W 1999 roku do ChRL-u w celu odnalezienia siostry udała się Kim. Po przekroczeniu granicy na rzece Tumen wpadła w ręce gangu handlującego kobietami. Sprzedano ją Chińczykowi za około 2 tys. zł. „Mieszkałam z nim sześć miesięcy; uciekłam i udało mi się odnaleźć moją siostrę; ta wraz ze swoim mężem przedstawiła mnie innemu Chińczykowi. To mój obecny mąż. W 2002 roku urodziłam dziecko" – opowiadała o swoim życiu Kim.

Nielegalne żony

Małżeństwo nie jest gwarancją bezpieczeństwa dla przebywających nielegalnie w Chinach Koreanek z Północy. W świetle prawa nie są to związki legalne, kobiety nie mogą więc otrzymać żadnego dokumentu, m.in. tzw. hukou, czyli zameldowania, które pozwoliłoby im na szukanie pracy legalnie. Bogatsi rolnicy (nieliczni) mogą próbować przekupić lokalne władze i otrzymać dla żony fałszywy dokument meldunkowy, często z danymi osoby już zmarłej. Podobnie niepewną sytuację mają także dzieci z małżeństw północnych Koreanek z Chińczykami. Oficjalnie dzieci te nie istnieją i nie mogą na przykład uczęszczać do szkoły. Ale i tu pomocą w otrzymaniu odpowiednich dokumentów są łapówki wręczane komunistycznym oficjałom.

Jednak większość z północnych Koreanek i ich rodzin żyje w biedzie. Często mężowie nie mogą znaleźć pracy i kobiety decydują się na zarobek w lokalnych barach i domach publicznych.

„Mój mąż pracował jako kierowca, ale zakup małej ciężarówki, której potrzebował do wykonywania zawodu, sprawił, że ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Na dodatek czekała mnie operacja, której koszt wynosił 18 tys. CNY [około 10,7 tys. zł]" – opowiada inna północna Koreanka, druga pani Kim, mieszkająca w prowincji Shandong. Aby wesprzeć rodzinę, postanowiła udać się do Qingdao (miasto w prowincji Shandong, jeden z największych portów w Chinach), ponieważ tam znajduje się wiele fabryk południowokoreańskich. Liczyła, że znajdzie pracę w jednym z zakładów. Skończyło się na pracy w lokalnych barach karaoke jako prostytutka. „Moi klienci to głównie południowi Koreańczycy. Przeciętnie zarabiam około 10 tys. CNY [około 5,9 tys. zł]. Nie jest łatwo, ale robię to, aby moja rodzina miała przyszłość" – kończy swoją opowieść Kim.

Niewolnictwo w XXI wieku

Kobiety z Korei Płn. w Chinach to towar, a ten nie ma żadnych praw, żadnego wyboru. „Niepodporządkowanie się człowiekowi, który nas kupił, skutkowałoby przekazaniem nas władzom chińskim, które odesłałyby nas do Korei Północnej – gdzie byłybyśmy zakatowane na śmierć" – pisze Yeonmi Park w wydanej niedawno w USA książce pt. „Póki

eprasa.pl a63b32ee02

mamy czas: poszukiwanie wolności przez północnokoreańską dziewczynę w Ameryce". Park od lat pisze, udziela wykładów i wywiadów ma temat współczesnego niewolnictwa, którego sama doświadczyła.

Yeonmi Park urodziła się w 1993 roku w Korei Północnej, miejscu, które określa totalną ciemnością, bo nie było w nim nie tylko światła i jedzenia, lecz także „godności, schronienia, nadziei". W wieku 13 lat razem ze swoją mamą uciekła do Chin, gdzie obie trafiły w ręce chińskiego handlarza ludźmi. Ostatecznie matka Yeonmi została sprzedana za 65 dolarów rolnikowi, a ona sama została kupiona za 260 dolarów (jako 13-letnia dziewica była „więcej warta") przez jednego z chińskich handlarzy ludźmi i została jego niewolnicą. „Zanim zostałyśmy rozłączone, mężczyzna, który nas sprzedał, zagroził, że mnie zgwałci. Aby mnie chronić, moja mama zaoferowała siebie. Była gwałcona kilka razy, czasem w zasięgu mojego słuchu i wzroku" – pisze w swojej książce Park. Nowy „właściciel" Yeonmi nie tylko systematycznie ją gwałcił, lecz także zmusił do pomocy w handlu innymi kobietami.

Park później uciekła przez pustynię Gobi, aby szukać schronienia w Mongolii. Stamtąd dotarła do Korei Południowej, a obecnie mieszka w USA. I często dziwi się „problemami" tamtejszych kobiet, które określają się uciskanymi, gdy ktoś opisze je nie tym zaimkiem, co sobie wymyśliły.

„Zostałam sprzedana za 200 dolarów jako niewolnica seksualna w XXI wieku, żyjąc pod tym samym niebem co one. A one mówią, że są uciskane, bo ludzie nie potrafią nadążać za zaimkami, które wymyślają każdego dnia?" – powiedziała Yeonmi Park w wywiadzie dla „Daily Mail".

▶ Deportacja, gwałty i śmierć

Koreańczycy uciekają z KRLD przed głodem, gułagami oraz bezlitosną i wszechwładną władzą. Jednak po przekroczeniu chińskiej granicy ucieczka się nie kończy. W Państwie Środka muszą się stale ukrywać, gdyż wyłapani przez chińską policję są odsyłani z powrotem. Po dojściu do władzy w grudniu 2011 roku młody przywódca KRLD Kim Dzong Un postawił sobie za punkt honoru uszczelnienie granic i powstrzymanie fali ucieczek (zwłaszcza że uciekinierami coraz częściej okazują się żołnierze – a armia była i jest podporą komunistycznego reżimu w Korei Północnej). Złapani przez chińską policję lub bezpiekę uciekinierzy trafiają do obozów przejściowych. Dla kobiet to dodatkowe piekło. Raport Global Rights Compliance przytacza relację jednej z Koreanek, która tam trafiła.

„Trafiłam do obozu przejściowego. Dwóch zatrzymanych mężczyzn pracowało w nocy jako strażnicy. Pewnego razu przyszedł jeden z oficerów bezpieki i powiedział mi, że kierujący obozu kazał mi wyjść na zewnątrz. Poszłam, ponieważ zatrzymani muszą wykonywać każdy rozkaz władz obozu. Kiedy weszłam za nim do kuchni, kazał mi wsypać soli i nalać wody do naczynia. Nie byłam pewna, o co chodzi, więc po prostu stałem bez ruchu. Zapytał: Dlaczego nie wykonujesz moich poleceń?" Następnie kazał mi zdjąć spodnie i umyć genitalia. Potem kazał mi się położyć nago. Kiedy odmówiłam, użył siły i przystąpił do stosunku. Zrobił to siłą, a mi było wstyd. Jakże mogłabym to zgłosić?"

Po deportacji do KRLD, kobiety są przesłuchiwane i więzione, często bez procesu. Od pierwszego momentu, gdy trafią w ręce bezpieki, są określane jako zdrajczynie i przechodzą inwazyjne rewizje osobiste. Są torturowane i doświadczają przemocy seksualnej. Wszystko to dzieje się w obozach prowadzonych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego i Ministerstwo Bezpieczeństwa Społecznego. Sprawcami przemocy seksualnej są funkcjonariusze tych instytucji, którzy wiedzą, że są bezkarni. Ostatecznie kobiety czeka albo natychmiastowa kara śmierci, albo poprzedzające śmierć lata w gułagu. Według prawa KRLD, Koreańczycy, którzy opuszczają kraj bez pozwolenia, są uznawani za winnych „zdrady" przeciwko narodowi – przestępstwa, za które grozi kara śmierci.

Były przypadki kobiet, którym po deportacji udało się uciec z gułagów. Jedna z nich udzieliła wywiadu wspomnianej południowokoreańskiej ekspert do spraw praw człowieka Hae-young Lee. Pani Kim z prowincji Jilin opisuje, co się stało, gdy została wydana władzom KRLD przez chińską policję. Kim uciekła do Chin w 1998 roku, miała wtedy 33 lata. Po przekroczeniu granicy sprzedano ją Chińczykowi za 3 tys. CNY (około 1,7 tys. zł). Z mężem mieszkała do 2005 roku, kiedy to złapała ją policja. Mąż wiedząc, że kobieta jest w ciąży, zaoferował łapówkę, ale jak się okazało – za małą. Kobietę odesłano do Korei Płn. Tu najpierw na cztery tygodnie trafiła do więzienia, gdzie była przesłuchiwana i torturowana, a następnie została przewieziona do obozu pracy. Ciężarna Kim pracowała na roli. Wspomina, że ona i inne więźniarki były często bite. Po trzech miesiącach pobytu w gułagu w czasie drogi na rolę udało jej się uciec; ponownie przekroczyła granicę z Chinami i dotarła do męża. „To był grudzień 2005 roku i bardzo mroźna zima; moje stopy zupełnie obmarzły, skóra na nich zaczęła gnić; nie mogliśmy udać się do lekarza. Miesiąc później urodziłam dziecko". ■

eprasa.pl a63b32ee02

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Jak niemieccy politycy pomogli Putinowi. Czy Niemcy przegapili wojnę?

Wojna Rosji z Ukrainą na pełną skalę trwa już ponad rok. Kwestia winy i odpowiedzialności za ten konflikt niepokoi nie tylko rosyjskie społeczeństwo – przede wszystkim tych, którzy sprzeciwiają się agresji. Stała się ona również gorącym tematem w Niemczech. Kwestia wieloletniego „uspokajania" Putina przez niemieckich polityków jest dyskutowana zarówno przez samych Niemców, jak i przez osoby spoza Niemiec, które z różnych powodów chciałyby znaleźć innych winnych ukraińskiej tragedii poza bezpośrednimi inicjatorami agresji. Czy Niemcy mają sobie coś do zarzucenia? Artykuł Anny Rose opublikowany 13 kwietnia 2023 roku na portalu Radio Swoboda.

W czym (nie) mylił się Willy Brandt?

Jak wygląda wersja „oskarżycieli"? Od czasów Willy'ego Brandta RFN prowadziła niewłaściwą politykę wobec Moskwy: Niemcy były zainteresowane jedynie współpracą gospodarczą i tanim gazem. Aby odwrócić uwagę, aby ułatwić czerpanie zysków, ogłoszono linię polityczną: „zmiana poprzez handel", co rymuje się w języku niemieckim jako „Wandel durch Handel". Niemcy kontynuowały budowę Nord Stream 2 i eksploatację Nord Stream 1 po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie. Niemieccy socjaldemokraci utrzymywali więzi z Putinem i jego skorumpowanymi kolesiami, czerpiąc z tego korzyści materialne. Angela Merkel nie zrobiła nic przeciwko agresywnym posunięciom Rosji, idąc razem z Putinem. Wniosek: bez takich działań Niemiec wojna nie zostałaby rozpętana, Berlin mógł jej zapobiec, ale tego nie zrobił. Do tej pory RFN zachowywała się niewłaściwie, wstrzymując dostawy broni na Ukrainę.

Przyjrzyjmy się bliżej tym tezom. Zacznijmy od Willy'ego Brandta, pierwszego socjaldemokratycznego kanclerza powojennych Niemiec, który sprawował urząd w latach 1969–1974. Niemiecka socjaldemokracja opowiadała się za pokojowym współistnieniem z ZSRS, ale jej głównymi wektorami polityki zagranicznej pozostawały współpraca w ramach NATO i bliskie więzi ze Stanami Zjednoczonymi. Pod rządami Brandta RFN zaczęła otrzymywać sowiecki gaz. Teoretyczną platformą tej polityki była formuła „zmiany poprzez handel". U jej podstaw leżała nadzieja na pokojowe podważenie fundamentów systemu sowieckiego. Odejście od polityki konfrontacji i powstrzymywania militarnego uznano za podstawę stopniowego zbliżenia, zdolnego do stymulowania transformacji w Związku Sowieckim. Oczywiście RFN potrzebowała również gazu, który wbrew powszechnemu przekonaniu nie był wcale taki tani.

Według politolog Susan Stewart z Fundacji Nauka i Polityka (SWP), socjaldemokraci nie byli jedynymi, którzy popełnili błędy w stosunkach z Rosją. Warto pamiętać, że w latach 2005–2021 władzę w RFN sprawowała Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna, której liderem była Angela Merkel. Ale to SPD długo trzymała się zasad „polityki wschodniej" Willy'ego Brandta, która była ważną częścią tożsamości wielu pokoleń członków partii. Według Susan Stewart, stra-

eprasa.pl a63b32ee02

tegia ta opierała się na dwóch filarach: współpracy z ZSRS i jednoczesnym powstrzymywaniu go w sferze bezpieczeństwa. Wielu współczesnych ekspertów sugeruje, że to właśnie polityka Brandta położyła podwaliny pod détente i stopniowo doprowadziła do zmiany postrzegania Związku Sowieckiego przez Zachód jako niezwyciężonego wroga. Wykorzystanie dźwigni ekonomicznej przy jednoczesnym utrzymaniu parytetu militarnego wydawało się wówczas strategią obiecującą sukces. Wojna była złą alternatywą dla obu stron: obie wciąż dobrze pamiętały okropności II wojny światowej.

Po upadku muru

Przez 16 lat, od 1982 do 1998 roku, kanclerzem RFN był Helmut Kohl z konserwatywnej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Zasłynął jako „kanclerz zjednoczenia": to on obalił Mur Berliński, a dawne Niemcy Wschodnie zostały faktycznie przyłączone do RFN. Euforia wywołana tymi wydarzeniami, upadkiem Związku Sowieckiego i bloku komunistycznego oraz początkiem demokratycznych zmian w Rosji trwała wystarczająco długo. Na pierwszy plan wysunął się handel, a Bundeswehra zaczęła gwałtownie tracić na znaczeniu i sile. Niemiecka armia została przeformatowana do operacji pokojowych za granicą – na przykład czołgi nie były już do tego potrzebne. Według Stuart, w ostatnich dziesięcioleciach Niemcy całkowicie porzuciły swoje nastawienie na bezpieczeństwo, wymuszając współpracę gospodarczą. Zniekształcenia te były mało dyskutowane w niemieckim społeczeństwie. Przed wojną na pełną skalę na Ukrainie niemiecka armia była w skrajnie osłabionym stanie.

Według politologa SWP Janisa Kluge, wielu Niemców kojarzy Rosję ze wspomnieniami lepszych stosunków w czasach sowieckich, z Michaiłem Gorbaczowem i pierwszym przemówieniem Władimira Putina w Bundestagu w 2001 roku. Wówczas młody rosyjski prezydent wyglądał na dynamicznego, konstruktywnego polityka, któremu chciano wierzyć. Czy było to naiwne? Tak, jeśli powiedzieć, że niemieccy politycy przecenili głębokość demokratycznych zmian w Rosji, odrzucili znaczenie wojen czeczeńskich i ból rozczarowania upadkiem ZSRS wśród dużej części Rosjan.

Dużym błędem popełnianym przez niemieckich polityków, według Susan Stewart, była ocena sytuacji w Rosji pod kątem własnych priorytetów – tzw. lustrzane odbicie, czyli po prostu chęć oceniania innych według siebie. RFN wierzyła, że rosyjscy przywódcy są zainteresowani modernizacją kraju, zwiększeniem dobrobytu, zmniejszeniem przemocy i zwiększeniem stabilności w społeczeństwie. Gerhard Schröder, który został wybrany na kanclerza po Kohlu, nazwał nawet Putina „krystalicznie czystym demokratą". Teraz brzmi to jak oburzający cynizm, ale na początku XXI wieku niewielu było zaskoczonych jego słowami.

Niemcy kontynuowały wymianę handlową. Schröder wierzył, że robi wszystko, co możliwe, aby rozwijać i wzmacniać dwustronne więzi. Zdaniem Stewart dobrze wpisywało się to w koncepcję Niemiec jako „państwa eksportowego". Dla niemieckich polityków ważne było, aby współpracować z Rosją i w ten sposób związać ją ze sobą. Oczywiście niemieccy przedsiębiorcy, koncerny, związki zawodowe, a w końcu pracownicy firm, które z powodzeniem handlowały z Rosją, czyli wielu niemieckich wyborców, również byli tym zainteresowani. Rosja stała się niemal synonimem wzrostu dobrobytu w Niemczech.

Ale polityczny rozwój Rosji nie był w ogóle brany pod uwagę. Stopniowe staczanie się w kierunku autorytarnej kleptokracji, wymieranie instytucji demokratycznych i pełzająca degradacja świadomości obywatelskiej nie zostały jakoś zauważone przez niemieckich przywódców. Wszystko to trwało aż do monachijskiego przemówienia Putina w 2007 roku, kiedy to ogłosił on swoją nową doktrynę polityki zagranicznej, uświadamiając zachodnim politykom skalę ich złudzeń. Potem nastąpiła inwazja wojsk rosyjskich na Gruzję i czas na zastanowienie się nad nową strategią.

Kurs Merkel: business as usual

Choć może się to wydawać dziwne, później nie wydarzyło się nic nowego. Niemcy, pod przywództwem Angeli Merkel, radośnie proklamowały linię strategicznego partnerstwa z Rosją. Według Susan Stewart, wielkim błędem Berlina było niedostrzeganie niebezpieczeństwa korupcji sieciowej w pogłębianiu więzi gospodarczych z Moskwą. Zakładano, że niemiecki przemysł będzie w stanie pozytywnie wpłynąć na rosyjskich partnerów, którzy przyjmą zachodnie praktyki gospodarcze. W 2013 roku mniej więcej to samo powiedział na przykład szef inwestycji w Siemensie, który argumentował, że Rosja już zdołała zastosować te same standardy kontroli finansowej, co na Zachodzie. Stuart uważa natomiast, że Niemcy częściowo przejęły rosyjskie doświadczenia korupcyjne. Stefan Meister z Niemieckiego Towarzystwa Polityki Międzynarodowej (DGAP)

eprasa.pl a63b32ee02

jest przekonany, że to wina Gerharda Schrödera i kilku innych polityków, że machina korupcji i spekulacji została wprawiona w ruch, co sprawiło, że Putin pomyślał, iż Niemcy, a zwłaszcza SPD, są już w jego rękach.

Po aneksji Krymu „zbliżenie poprzez handel" nie było już w ogóle możliwe. Widzieli to wszyscy, może z wyjątkiem socjaldemokratycznych byłych kanclerzy: Helmuta Schmidta, który wzywał do współpracy z Rosją i negocjacji z Putinem, oraz Gerharda Schrödera, który nigdy nie opuścił Moskwy, zajmując wysokie stanowiska w Rosniefcie i spółkach zależnych Gazpromu. Należy zauważyć, że po tym Schröder ostatecznie skompromitował się w oczach niemieckiej opinii publicznej. Putin wyraźnie uważał byłego kanclerza za milczącego ambasadora Niemiec w Rosji – ale sam rosyjski prezydent już się w tym pomylił. Najwyraźniej wierzył w swoją koncepcję, że RFN nie będzie tolerować surowych sankcji i zdecydowanie sprzeciwi się dostarczaniu broni Ukrainie, gdy Rosja zaatakuje sąsiedni kraj. Według Janisa Kluge, to nie wina Niemiec, że Putin z czasem stał się bardziej radykalny i agresywny: zagraniczne kraje nie mają większego wpływu na jego politykę. Berlin nie zrobił jednak nic, by przeciwdziałać rosnącej radykalizacji rosyjskiego przywódcy. Z jednej strony niemieccy politycy potępiali ograniczanie swobód obywatelskich i łamanie praw człowieka w Rosji, sponsorowali fundacje i organizacje społeczeństwa obywatelskiego, a z drugiej strony kontynuowali działalność jak zwykle. Aneksja Krymu i wojna na wschodzie Ukrainy nie miały większego znaczenia, zostały wyparte ze świadomości, a nawet zrzucone na Kijów. Wynikało to nie tylko z interesów gospodarczych, lecz także z naiwnego, romantycznego spojrzenia na Rosję dominującego w RFN. Przeciwne poglądy odgrywały marginalną rolę, zauważa Kluge.

Stefan Meister uważa, że w Niemczech jest niewielu ekspertów, którzy naprawdę rozumieją Rosję. Niemal wszyscy mieli nadzieję, że sytuacja się nie zmieni i nic złego się nie wydarzy. Jego kolega Janis Kluge jest również pewien, że w Niemczech dominuje uproszczony pogląd na to, jaka jest Rosja. Wszyscy uważali, że dokładnie wiedzą, jak myśli i działa Putin. Brak wiedzy, naiwność, arogancja i własny interes były tym, co ostatecznie doprowadziło do katastrofy. Angela Merkel nie uznała za stosowne wstrzymać budowy Nord Stream 2 ani po 2014 roku, ani po otruciu Aleksieja Nawalnego. Jednak przypisywanie jej szczególnej miłości do Putina i gotowości do podporządkowania się jego interesom byłoby poważnym błędem. Merkel nie jest Schröderem ani nawet Kohlem, nie chodziła do łaźni z Putinem, a na pytania dziennikarzy wymieniających jego nazwisko często robiła wyjątkowo kwaśną minę. Putin był raczej ogromnym ciężarem dla jej polityki zagranicznej, ale kanclerz, która nie lubiła gwałtownych ruchów, nie mogła lub nie chciała nic z tym zrobić. Stefan Meister uważa, że sama Merkel zdawała sobie sprawę, że Putin ją zwodzi, i była mniej podatna na złudzenia co do niego niż jej socjaldemokratyczni koledzy. Ale według Meistera, kanclerz prowadziła oportunistyczną politykę, aby utrzymać władzę i spokój w koalicji rządowej, gdzie musiała manewrować między twardogłowymi konserwatystami z własnego bloku CDU/CSU a lewym skrzydłem SPD.

Według Stefana Meistera, główne błędy Niemiec pod rządami Merkel polegały na niewyciągnięciu wniosków z działań Rosji przeciwko Gruzji w 2008 roku i Ukrainie w 2014 roku, odmowie realistycznego spojrzenia na sytuację i niedocenianiu reżimu Putina. Według Susan Stewart, gotowość Putina do użycia szantażu i środków militarnych mogła zostać zrozumiana znacznie wcześniej. Ale rząd Merkel nadal miał nadzieję, że możliwa jest win-win situation, w której obie strony wygrywają, nie zdając sobie sprawy, że reżim Putina szuka wygranej dla siebie.

▶ Krzywe zwierciadło Putina

Aby zrozumieć, dlaczego Angela Merkel nie zrobiła nic przeciwko Nord Stream 2, trzeba znać jej zamiłowanie do zwlekania i siedzenia nad problemami, zamiast szybko się nimi zajmować. Merkel słynie z tego, że nigdy nie podejmuje decyzji, nie upewniwszy się, jak wpłynie to na jej ocenę wśród wyborców. W najgorszym wypadku mogłaby w ogóle nic nie robić, tak jak zrobiła to z gazociągami. Zbyt duży „ogon" niepopularnych działań pociągnąłby za sobą zamknięcie obu szlaków i rezygnację z rosyjskiego gazu. Według Stefana Meistera, gazociąg Nord Stream 2, który nigdy nie został uruchomiony i pochłonął kilka miliardów euro, uczynił Niemcy podatnymi na szantaż.

Według Susan Stewart, gdyby Nord Stream 2 został zatrzymany wcześniej (w rzeczywistości zrobiono to dopiero po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę, już za rządów obecnego kanclerza Olafa Scholza), byłby to bezpośredni sygnał dla Kremla. Merkel chciała jednak przejść do historii jako kanclerz, która dokonała transformacji energetycznej z paliw kopalnych na energię odnawialną. Po porzuceniu energii jądrowej miała nadzieję na płynne przejście na energię odnawialną dzięki taniemu

eprasa.pl a63b32ee02

rosyjskiemu gazowi. Koktajl sankcji nałożonych po aneksji Krymu i zniszczeniu malezyjskiego boeinga z jednej strony, a współpracą energetyczną z drugiej, był dość dziwny. Dlatego Kreml do końca miał nadzieję, że Niemcy zniosą sankcje, i był nieugięty w przekonaniu, że swoim gazem trzyma je na uwięzi.

Ale Putin również udowodnił, że ma krzywe zwierciadło. Oceniając kraje zachodnie według swoich skrajnie cynicznych poglądów, nie przywiązywał wagi do zasad demokracji ani do jakiejkolwiek moralności w polityce. Podczas gdy Niemcy nie mogły sobie wyobrazić, że kryzys ukraiński może przerodzić się w wojnę na pełną skalę, Putin nie mógł marzyć, że Berlin może zrezygnować z rosyjskiego gazu. Analityk polityczny Stuart uważa, że Putin podjął decyzję o rozpoczęciu wojny na podstawie błędnych ocen, a niemieckie przywództwo ze swojej strony nie miało pojęcia, że może dojść do takich wniosków.

Nie jest to oczywiście powód, by przerzucać winę za to, co się stało, z agresora na kogoś, kto nie zrozumiał na czas jego podłości. Chociaż iluzoryczne postrzeganie Rosji Putina i błędy niemieckich, a także innych zachodnich polityków, mogły dać Putinowi pretekst do rozpoczęcia wojny ofensywnej. Stefan Meister nazywa wieloletnie stanowisko niemieckiego rządu wobec Rosji zbyt miękkim. Jego zdaniem kurs Berlina po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie w 2014 roku można porównać do polityki ustępstw wobec agresora (appeasement). Pozostawiło to rosyjskich przywódców w naiwnym przekonaniu, że w przypadku wojny na pełną skalę Berlin nie poprze surowych sankcji wobec Moskwy, nie mówiąc już o jakiejkolwiek poważnej pomocy wojskowej dla Ukrainy. Co więcej, z powodu pandemii COVID-19 regularne osobiste kontakty Putina z zachodnimi przywódcami, w tym w ramach formatu normandzkiego, ustały od 2020 roku, a sam rosyjski przywódca nie zmienił się na lepsze, stając się jeszcze bardziej radykalny podczas samoizolacji w swoich bezpiecznych schronach, sądząc po rewelacjach jego byłego personelu.

▶ Kto ma odpokutować i za co?

Można przypuszczać, że rezygnacja Angeli Merkel ze stanowiska kanclerza pod koniec 2021 roku i zmiana rządu, w skład którego weszła Partia Zielonych, wyróżniająca się szczególnie twardą i bezkompromisową postawą wobec reżimu Putina, była jednym z czynników, choć nie najważniejszym, który popchnął Kreml do podjęcia decyzji o wojnie na pełną skalę. Niezdecydowanie Merkel i brak jasnego zarysu jej polityki raczej odstraszały od agresji, niż do niej zapraszały. Ale, jak mówi Stefan Meister, powodem, dla którego Putin rozpoczął wojnę, nie były przede wszystkim postawy i działania niemieckich polityków. Niemcy popełniły wiele błędów politycznych, które ułatwiły Putinowi podjęcie decyzji o inwazji na Ukrainę, ale i tak nie byłyby w stanie jej zapobiec. Putin kierował się własną wewnętrzną logiką, zauważa Meister, a mianowicie pragnieniem utrzymania władzy. Potrzebował wojny z wewnętrznych powodów politycznych.

Według Janisa Kluge, jedyną rzeczą, którą Niemcy mogłyby zrobić, byłoby rozpoczęcie dostaw broni na Ukrainę już w 2021 roku. Jednak niemieccy politycy i eksperci nie zgadzają się również w tej kwestii. Niektórzy z nich są zdania, że w takim przypadku Putin mógłby rozpocząć wojnę znacznie wcześniej i z jeszcze większą zaciekłością. Jeśli chodzi o zarzuty, że Berlin spóźnił się z dostawami broni na początku wojny, Niemcy zauważają, że nawet Stany Zjednoczone, które mają znacznie lepszy przemysł obronny niż Niemcy, były powolne w dostarczaniu amunicji i sprzętu wojskowego, w szczególności ciężkich czołgów, a także powolne w ich dostarczaniu. Tymczasem kanclerz Olaf Scholz wielokrotnie powtarzał, że wszystkie niemieckie kroki w tym kierunku powinny i będą podejmowane wyłącznie w bezwarunkowej koordynacji z amerykańskimi partnerami.

Nawiasem mówiąc, kolega kanclerza z Partii Socjaldemokratycznej, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier, nie uznał za politycznie upokarzające przeprosić Ukrainę za swoje działania na poprzednich stanowiskach szefa sztabu kanclerz i ministra spraw zagranicznych Niemiec. Wielu słusznie zganiło go za nadmierną sympatię do kremlowskich polityków – a Steinmeier przyznał się do błędów. To samo byłoby prawdą w przypadku byłej kanclerz Angeli Merkel, mówi Meister. Byłaby to raczej oznaka siły niż słabości. Ale Merkel zawsze była przekonana o słuszności swoich działań i nadal utrzymuje, że nie popełniła żadnych błędów. Być może jej nadchodząca książka wspomnieniowa uchyli rąbka tajemnicy na temat procesu podejmowania decyzji w sprawie Rosji. Tak czy inaczej, debata na temat błędów i zaniechań niemieckiej polityki z pewnością będzie kontynuowana. Szkoda, że nikt nie będzie mógł przy tym powiedzieć, usprawiedliwiając dyplomatyczne wysiłki Berlina: „Oby tylko nie było wojny”. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

„Bezludna wyspa”

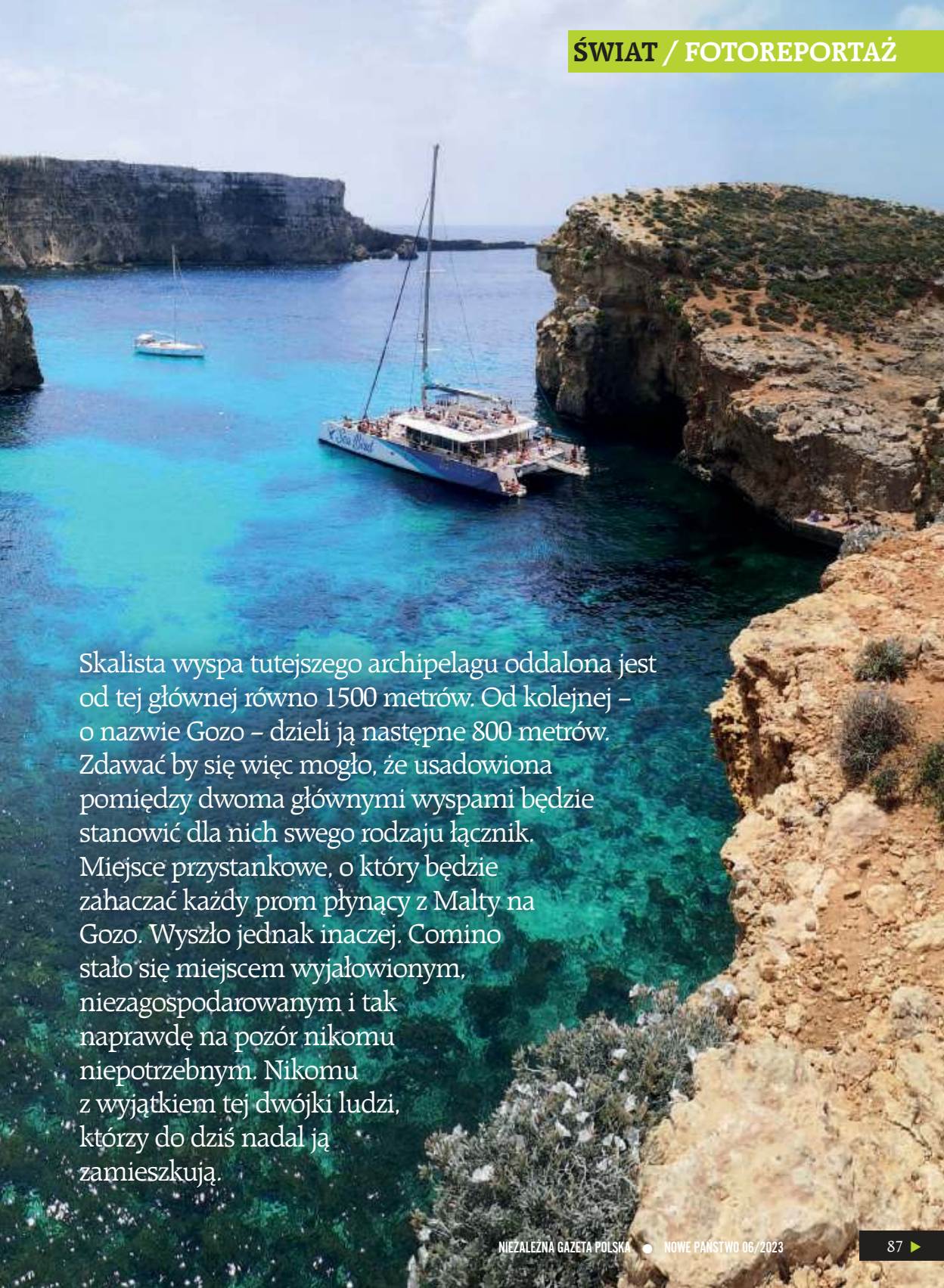

Skalista wyspa tutejszego archipelagu oddalona jest od tej głównej równo 1500 metrów. Od kolejnej – o nazwie Gozo – dzieli ją następne 800 metrów. Zdawać by się więc mogło, że usadowiona pomiędzy dwoma głównymi wyspami będzie stanowić dla nich swego rodzaju łącznik. Miejsce przystankowe, o który będzie zahaczać każdy prom płynący z Malty na Gozo. Wyszło jednak inaczej. Comino stało się miejscem wyjałowionym, niezagospodarowanym i tak naprawdę na pozór nikomu niepotrzebnym. Nikomu z wyjątkiem tej dwójki ludzi, którzy do dziś nadal ją zamieszkują.

W charakterystycznym budynku szpitala wybudowanego dla zakaźnie chorych brytyjskich żołnierzy śpi dziś tylko jeden człowiek. Maltański ksiądz, który przybywa na wyspę raz w tygodniu, aby odprawić Mszę dla dwojga mieszkańców.

Do niedawna były to jeszcze cztery osoby. Przed trzema laty jedna z nich zmarła, a drugą choroba nerek zmusiła do przeprowadzki na Maltę. Dziś więc została już tylko dwójka – odpowiada z lekkim uśmiechem szczupły mężczyzna otwierający mi bramę prowadzącą do wieży św. Marii.

Przypływa na Comino każdego dnia rano, aby otworzyć chętnym największą atrakcję wyspy. Bo choć wyspę można by uznać za praktycznie niezamieszkałą, to ciężko nazwać ją „bezludną". Od początku kwietnia, gdy na Malcie rusza letni sezon, każdego dnia na tutejszą Błękitną Lagunę dociera kilka tysięcy ludzi. W najcieplejsze miesiące chętnych będzie tak dużo, że na kilkunastometrowym skrawku piaszczystej plaży nie będzie nawet jak postawić stopy. Podobnie zresztą jak na okolicznych klifach. Tak działa reklama. Tak działa turystyczny marketing.

Wystarczyło przed laty zaledwie kilka zdjęć w katalogach wakacyjnych biur podróży przedstawiających niezwykły seledynowy odcień tutejszej wody, aby sprawić, że z dość mało znanego zakątka Morza Śródziemnego Comino stało się mekką dla wszystkich lubujących się w wypoczynku nad wodą. A już coraz częstsze umiejscawianie tutejszej Błękitnej Laguny w gronie dziesiątki najpiękniejszych plaż kontynentu dopełniło reszty. Dziś na „bezludne" Comino przypływają już nie tylko wynajmujący motorówki i jachty, lecz także wielbiciele nurkowania, kajaków i wywołujących adrenalinę skoków do wody.

– Wiadomo. Nad Błękitną Laguną zawsze jest zatrzęsienie ludzi. – Pilnujący wieży św. Marii mężczyzna ruchem głowy wskazuje kierunek, w którym znajduje się najpopularniejsze miejsce wypoczynku na maltańskim archipelagu. – Ale pójdziesz nieco dalej na południe albo na wschód wyspy i nie spotkasz już nikogo. Zresztą idąc tu, pewnie już sam to zauważyłeś.

Ten człowiek ma rację. Wystarczy odejść od hałaśliwej Błękitnej Laguny, gdzie codziennie cumuje kilkadziesiąt statków, jachtów i motorówek, by rzeczywiście zrozumieć, co oznacza pojęcie „bezludna wyspa Comino". Bo właśnie o takiej bezludnej wysepce będzie ten fotoreportaż.

▶ Salvu i Vangiela

Kappella ta' Santa Marija. Tak to miejsce nazywają miejscowi. Niewielka murowana kaplica, jaka stoi tutaj w cieniu dwóch rozłożystych drzew, przypomina wyglądem niewielkie kościółki spotykane przy odludnych drogach meksykańskiej półpustyni. Wskutek popkultury najczęściej kojarzące się nam z Dzikim Zachodem. To jednak nie jest Dziki Zachód. A ledwo zamieszkana skalista wysepka archipelagu maltańskiego. Przez dwoje odważnych i niezależnych ludzi.

Salvu Vella. Pierwszy ze wspomnianej dwójki. Siedemdziesięciojednoletni rolnik wciąż uprawiający ziemię na Comino. Silny rybak wypływający swoją łodzią na okoliczne turkusowe wody. Ale także autor zdjęć lotniczych i podwodnych okolic Comino. Z pasji zaś pszczelarz, mechanik i wynalazca. A nawet inżynier potrafiący przed laty zbudować sztucz-

eprasa.pl a63b32ee02

ny staw ze słodką wodą. Przez całe lata to właśnie on utrzymywał czteroosobową rodzinę mieszkającą wraz z nim na Comino. Dziś z całej czwórki pozostała mu do utrzymania już jedynie kuzynka. I pomyśleć, że niegdyś klan Vella liczył aż siedemnastu członków. Dziś do pomocy Salvu pozostała na wyspie jedynie Vangiela Vella.

Żyją w skromnych domkach w środkowej części wyspy, ciesząc się ciszą i spokojem. Tutaj bowiem turyści raczej nie zaglądają. A nawet jeśli akurat miną ich gospodarstwo, najczęściej nie będą mieć pojęcia, że idą właśnie obok domu jedynych mieszkańców Comino. Wprawdzie wokół mocno nadszarpniętych zębem czasu domów panuje niezwykła cisza. Jakby nikogo tu nie było. Zupełnie nikogo. Jak to na bezludnej wyspie bywa.

Msza na wyłączność

Przed kilku laty historię życia rodu z Comino opisał trzydziestoletni Nas Daily. Ten arabsko-izraelski bloger, którego na całym świecie śledzą miliony użytkowników, umieścił któregoś dnia w swoich mediach społecznościowych film o historii Salvu Vella. W krótkim czasie obejrzało go ponad 6 mln ludzi.

– Nigdy bym się nie spodziewał, że komukolwiek będzie się chciało przypływać tutaj do mnie tylko po to, aby robić ze mną wywiad... – uśmiecha się prostodusznie sam zainteresowany. – Co więc miałem robić? Pokazałem temu chłopakowi całe to piękno, które otrzymałem w tym miejscu od dobrego Boga. To wszystko.

Temu samemu dobremu Bogu Vella pragnie dziękować na cotygodniowej mszy świętej. Comino to bowiem chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie dla dwójki wiernych kapłan co tydzień specjalnie przeprawia się łodzią z Malty, nocuje na wyspie, aby w sobotę wieczorem odprawić Eucharystię.

W ten sposób dopełnia się na Comino odwieczna tradycja. Pełna przywiązania do wiary. I tradycji. Tak typowa dla starszych Maltańczyków. Także tej dwójki ludzi, która nie widzi powodu, aby opuścić rozpaloną słońcem wyspę Comino.

Ruina do rezydencji

– Ksiądz gdy przybywa na wyspę, śpi zwykle w jednym z pokoików tego opuszczonego szpitala. Tego z zielonymi okiennicami – instruuje mnie stróż wieży Santa Marija, wskazując ręką stojący w pobliżu budynek. – Nie ma sposobu, abyś nie minął go, idąc do kaplicy.

Rzeczywiście. Szpital stoi zaraz obok wąskiej ścieżki prowadzącej przez środek wyspy. Drogi łączącej jej południowo-zachodni skrawek z tym północno-wschodnim, na którym ulokowana jest kaplica. Szpital w tym miejscu wznieśli 150 lat temu Brytyjczycy, aby poddawać kwarantannie swoich żołnierzy zakażonych dżumą i cholerą: chorobami Lewantu. Dziś o jego niegdysiejszej świetności świadczy jedynie wielkość budynku. Poza tym ruina. Opłakany ścian elewacji, powybijane szyby, brak futryn. Spanie w tego typu zrujnowanym przybytku może prędzej kojarzyć się z wizją jakiegoś filmu grozy niż kapłańską posługą. „Ksiądz śpi tu regularnie. Zresztą na wyspie nie bardzo byłoby go przenocować gdzie indziej" – niedawno usłyszane słowa kustosza wieży nadal mocno brzmią mi w głowie.

Okrążam budynek dawnego szpitala. Dwukondygnacyjny jasnożółty budynek zdobią szerokie okna. Część zakryta jest zielonymi okiennicami. Środkową część dziedzińca zdobią postawne arkady. Za czasów świetności musiało to być naprawdę piękne miejsce. Dziś troszkę strach zapuszczać się głębiej. Leżące wkoło cegły mogą świadczyć, że budynek prędzej niż do zamieszkania nadaje się do rozbiórki. Tym bardziej dziwi przykurzona piaskiem wypłowiała czerwona tabliczka z napisem „Residential area". Czyli pan z wieży nie kłamał. Ksiądz faktycznie pomieszkuje w tym miejscu.

Maleńka Kappella ta' Santa Marija na północnym brzegu Comino przypomina bardziej kościół na Dzikim Zachodzie niż na „bezludnej" europejskiej wyspie.

Dom na wpół żywy

Piaszczysta ścieżka prowadzi dalej. Gdzieniegdzie wśród zielonych krzewów i kolczastych kęp kserotermicznej roślinności widać ustawione kamienne płotki. To świadectwo niegdysiejszego życia na Comino. Podziału tutejszych pól i działek. Dziś ścianek nikt już nie rozbiera. Stoją dalej, tworząc iluzję porządku. I uzupełniając kamienno-piaszczysty pejzaż opuszczonej wyspy.

eprasa.pl a63b32ee02

Za jednym z tego typu murków widać niewielki cmentarzyk. Spoczywają tu pacjenci szpitala zakaźnego. Część tabliczek wskazuje na to, że swego czasu leżały tu również ciała włoskich i niemieckich żołnierzy walczących podczas II wojny światowej. Dziś jednak już ich tu nie ma. Zostały przewiezione do ich ojczystych krajów.

Po drugiej stronie drogi również za charakterystycznym kamiennym murkiem widać bujny, jak na warunki Comino, ogród. Pełen powyginanych i poskręcanych drzew. Wielkich liści. A także typowej dla średniowiecznego klimatu iglastej sosny karłowatej. To dom Salvu Vella. Stan niektórych okien posiadłości świadczy, w których pomieszczeniach toczy się życie, a w których już od dawna nikogo nie było.

Kiedyś na Comino żyło więcej ludzi. Do dziś pozostały po nich ślady.

Podobnie jak pobieżne spojrzenie na otoczenie domu pozwala wysnuć wniosek, czym na co dzień zajmuje się jeden z dwójki mieszkańców wyspy, a na czym już mu zupełnie nie zależy. Na to przynajmniej wskazywałby stan pewnego samochodu. Zaparkowana w wąskim tunelu tutejszego podpiwniczenia zielona furgonetka wydaje się już na stałe zrośnięta z okoliczną roślinnością. Już sam wyjazd z takiego parkingu wiązałby się z nie lada umiejętnościami. Nie mówiąc nawet o wejściu do auta. Na Comino warto racjonować potrzeby. Które zresztą i tak są niewielkie.

Rolnicy, korsarze i prorok

Być może to właśnie ta skromność potrzeb skłaniała przed wiekami rolników do osiedlania się tutaj. Pierwsi z nich pojawili się na wyspie jeszcze za czasów starożytnego Rzymu. Pojawiali się i znikali. Sprawiając, że całymi latami Comino – którego nazwa wzięła się od porastającego wyspę kminku (po maltańsku: kemmuna) – było przez całe wieki wyspą zupełnie niezamieszkaną.

Z czasem więc miejsce zaczęło przyciągać ludzi o zupełnie innym profilu charakterologicznym. Ludzi trudniących się zgoła inną profesją niż rolnicza. Wszak korsarze oraz ludzie ukrywający się przed prawem, bo to o nich mowa, znajdywali na Comino wszystko, czego im było potrzeba. Charakterystyczna, postrzępiona skalista krawędź wyspy do dziś obfituje w liczne groty i jaskinie. Do większości z nich jedyny dostęp możliwy jest od morza. Kryjówka idealna. A z czasem także świetna baza wypadowa do najazdów na pobliskie Gozo i Maltę.

Na Comino ukrył się także swego czasu Abraham Abulafii. Ten XIII-wieczny wyznawca kabały profetycznej został tu wygnany jako oskarżony o uzurpację prorocką. Właśnie w tutejszych jaskiniach pustelnik napisał „Sefer Ha-Ot" („Księga Znaku") oraz ostatnią swoją książkę „Imrei Shefer" („Słowa piękna").

W XVI i XVII wieku Comino służyło również jako miejsce wygnania lub uwięzienia dla niektórych Rycerzy Zakonu Joannitów niespełniających wymagań zakonnej reguły. Pozostali Rycerze Maltańscy także wykorzystywali Comino, ale już do innych celów. Upodobali sobie to miejsce do polowań na dziki i zające.

W 1926 roku wyspa została wydzierżawiona. Powstało tu rolnicze konsorcjum Comino Farming Company. Zatrudniające prócz miejscowych rolników także tych pochodzących z pobliskiej Sycylii. Po 34 latach dzierżawę zerwano, przyznając ją nowo powstałej firmie Comino Development Company Ltd, która szybko wybudowała jedyny na wyspie hotel wraz z kilkoma bungalowami. Dziś nieczynny już obiekt stoi pusty na północnym wybrzeżu Comino.

Hałasujące myszy

Na wysepkę Comino nie pływają regularne statki kursujące między pobliską Maltą a Gozo. Tamtejsze promy przyjmujące na swój pokład dziesiątki samochodów Maltańczyków mieszkających na jednej wyspie, a pracujących na drugiej, przybijają do brzegu co 40 minut. Na skalistą i wyjałowioną Comino nie mają jednak *de facto* po co podpływać.

W odróżnieniu od turystów, którzy właśnie w lazurowych wodach wokół Comino upatrzyli sobie najpiękniejsze plaże do wypoczynku. Przypływając tu wynajętymi przez siebie motorówkami na całodzienny wypoczynek, niektórzy zabierają ze sobą namioty, aby spędzić wymarzoną noc na bezludnej wyspie. Na wyspie znajduje się nawet prowizoryczne pole namioto-

eprasa.pl a63b32ee02

Przybywając nad Błękitną Lagunę, nie trzeba wcale długo zastanawiać się, skąd wzięła się jej nazwa.

we. Z paradującymi nocą głośnymi myszami, skutecznie niedającymi spać co bardziej odważnym turystom. I *de facto* sprawiającymi, że camping przez większość czasu świeci pustkami.

Pustkami, których nie spotkamy z kolei na zachodnim brzegu wyspy. Tutaj, dopływają zwykle maltańskie katamarany, motorówki, skutery oraz statki wycieczkowe, cumując i zostając w tym miejscu aż do wieczora.

– Uważaj na meduzę! – ostrzega mnie kapitan białego jachtu, obok którego właśnie przepływam. – Jest obok naszej prawej burty. Bądź ostrożny.

Rzeczywiście. Wystarczy kilka minut kąpieli w seledynowej wodzie Błękitnej Zatoki, aby szybko zorientować się, kto jest głównym ich mieszkańcem. Czerwone półprzeźroczyste meduzy dryfują po tafli zatoki nie niepokojone przez nikogo. Lepiej unikać kontaktu. Prawe przedramię, którym niedawno dotknąłem jednej z przepływających obok mnie meduz, nadal parzy. Zapamiętam.

▶ Zostając na noc

Zamieszkana przez dwoje ludzi bezludna wyspa, na którą co dzień udają się tysiące ludzi. Podwójny paradoks. Pozorna sprzeczność. Ze skalistą Comino jest troszkę jak z wieczornym zejściem nad Morskie Oko, gdy zapamiętany z rana widok tysięcy ludzi okalających brzeg górskiego stawu nagle staje się jedynie wspomnieniem. A przed nami pojawia się pusta przestrzeń tatrzańskiego zakątka. Bez ludzi, bez świadków, bez hałasu.

Na Błękitnej Lagunie na Comino za dnia także nie doświadczymy ciszy. Językowy kalejdoskop. Przekrzykująca się młodzież. Jakaś starsza pani próbująca znaleźć dla siebie ustronny kąt gdzieś na szczycie klifu. Głośny megafon, przez który kapitan jednego z jachtów zbiera swoich turystów na pokład. I ten kilkunastometrowy odcinek odsłoniętej piaszczystej plaży. Z powbijanymi na każdym możliwym centymetrze kwadratowym parasolami. Z leżącymi w wodzie ludźmi. I muzyką dochodzącą z pobliskich budek serwujących drinki z kokosowych skorupek.

Trzysta metrów dalej, nieco bardziej w głąb wyspy. Pomiędzy wysuszonymi kaktusami. Nieopodal kamiennego płotu. Pod rozżarzonym do granic możliwości słońcem, nie słychać już muzyki, nie widać już ludzi, nie ma jachtów, nie ma motorówek. Z pobliskiego klifu rozciąga się widok na głęboką zatokę. Prawdziwe Comino. Bez zbędnego retuszu. Bez dziennego blichtru. Bez turystycznych poprawek. To miejsce nadal jest bezludne. To miejsce nadal pozostaje niezamieszkane.

Jeszcze tylko trzy godziny i znów nastanie tu wszechobecna cisza. Także tam, nad Błękitną Laguną. Ale przede wszystkim tutaj, przy domach Salvu i Vangieli Vella. Dwójki ludzi, którzy nie wrócą jak inni na noc na inną wyspę. Którzy zostaną na swojej bezludnej wyspie. Tak jak to robili ich ojcowie. Tak jak mówi tradycja. Tak jak podpowiada im serce. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Chiny są jednym z państw najbardziej łamiących wolność religijną na świecie – wynika z raportu dotyczącego wolności religijnej na świecie w 2022 roku, opublikowanego 15 maja br. przez amerykański Departament Stanu.

W ubiegłym roku w ramach dławienia wierzeń religijnych, Pekin uwięził co najmniej 10 tys. osób. „Władze nadal aresztują lub przetrzymują przywódców i członków grup religijnych, często związanych z grupami niezarejestrowanymi w usankcjonowanych przez państwo związkach religijnych" i „stosują niejasne lub bezpodstawne zarzuty, czasami związane z działalnością religijną, aby skazywać przywódców i członków grup religijnych na lata więzienia" – czytamy w raporcie.

Dokument podaje przykład protestanckiego Kościoła Boga Wszechmogącego, którego wielu członków zostało aresztowanych w ubiegłym roku i poddanych przymusowej indoktrynacji oraz torturom – w tym biciu i pozbawianiu snu – co spowodowało śmierć co najmniej 14 osób. „Rząd kontynuuje wieloletnią kampanię sinizacji religii mającą na celu dostosowanie wszystkich doktryn i praktyk religijnych do doktryny KPCh, co obejmuje wymaganie od duchownych wszystkich wyznań uczestniczenia w sesjach indoktrynacji politycznej i sugerowanie, by w kazaniach podkreślali lojalność wobec KPCh i władzy państwowej" – podaje raport.

Chińskie władze blokują religijne strony internetowe i cenzurują religijne treści na popularnym komunikatorze WeChat. Usuwane są artykuły publikowane przez platformy związane z chrześcijaństwem, a także konta, które te publikacje propagują. Dostawcy usług internetowych są instruowani, aby usuwali konta w nazwach zawierające słowa „ewangelia" lub „Chrystus".

Rząd nadal ogranicza drukowanie i dystrybucję Biblii, Koranu i innej literatury religijnej oraz karze firmy, które kopiują i publikują materiały religijne.

22 października ub.r. Stolica Apostolska ogłosiła, że tymczasowe porozumienie między nią a rządem z 2018 roku, które dotyczyło mianowania biskupów, zostało przedłużone na kolejne dwa lata. Raport Departamentu Stanu zauważa jednak, że prawo w Chinach nadal nie przewiduje roli Watykanu w wyborze biskupów katolickich, a rząd cały czas nęka, zatrzymuje i porywa wielu duchownych, którzy odmówili wstąpienia do Chińskiego Katolickiego Stowarzyszenia Patriotycznego (CCPA). W listopadzie 2022 roku Stolica Apostolska opublikowała oświadczenie wyrażające „zaskoczenie i ubolewanie", że rząd bez uprzedniej konsultacji mianował prałata Johna Peng Weizhao „biskupem pomocniczym Jiangxi", diecezji nieuznawanej przez Watykan.

Amerykański raport stwierdza także, że chrześcijanie, muzułmanie, buddyści tybetańscy i praktykujący Falun Gong donoszą o społecznej dyskryminacji w kwestii zatrudnienia, mieszkania i możliwości biznesowych w ChRL.

Prezentując dokument sekretarz stanu USA Antony Blinken podkreślił, że prześladowania muzułmańskiej mniejszości ujgurskiej w prowincji Xinjiang to „jeden z najgorszych przypadków łamania praw człowieka i wolności religijnej na świecie".

W Xinjiangu chińscy komuniści stworzyli obozy koncentracyjne, które sami nazywają centrami reedukacji. Trafiło do nich już od 1 mln do 2 mln Ujgurów i Kazachów, w większości muzułmanów, ale wiemy, że wśród więźniów obozów są coraz częściej chrześcijanie. Raport amerykańskiego think tanku Newlines Institute for Strategy and Policy szczegółowo przedstawia, co spotyka więźniów tych obozów: „Ujgurscy więźniowie przebywający w miejscach zatrzymań są systematycznie torturo-

eprasa.pl a63b32ee02

wani, poddawani przemocy seksualnej, w tym gwałtom, oraz okrutnemu, nieludzkiemu i poniżającemu traktowaniu lub karaniu, są pozbawieni podstawowych ludzkich potrzeb i upokarzani".

▶ Tajwan

Były gwiazdor koszykarskiej ligi NBA Dwight Howard wywołał wściekłość w Chinach, bo występując z wiceprezydentem Tajwanu Williamem Lai w filmie promocyjnym, nazwał wyspę krajem.

Howard w ubiegłym roku dołączył do Taoyuan Leopards, profesjonalnej tajwańskiej drużyny koszykarskiej. Jest najsłynniejszym graczem, jaki kiedykolwiek pojawił się w tajwańskiej lidze. „Witam wszystkich, jestem Dwight Howard i odkąd przybyłem na Tajwan, zyskałem zupełnie nowe uznanie dla tego kraju" – to właśnie te słowa sportowca wywołały niezadowolenie władz Chin i wielu Chińczyków, którzy na portalach internetowych oskarżyli Howarda o promowanie niepodległości Tajwanu. „Byłeś moim idolem, ale już nim nie jesteś" – napisał jeden z internautów. Inny dodał, że Tajwan jest „nieodłączną częścią Chin", co jest oficjalnym stanowiskiem władz ChRL. Pekin postrzega Tajwan jako prowincję, która jest częścią terytorium Chin Ludowych.

Oprócz ostrej reakcji w mediach społecznościowych, Howard został skrytykowany przez tubę propagandy Komunistycznej Partii Chin gazetę „Global Times". W artykule wstępnym gazeta wezwała sportowca do przeprosin. Były redaktor naczelny „Global Times", Hu Xijin, na komunikatorze Weibo oskarżył Howarda o bycie „osobą pochopną i szukającą natychmiastowych korzyści". Powiedział, że Howard zarabia „szybkie pieniądze" na Tajwanie, ponieważ jest świadomy swojej malejącej popularności.

To nie pierwszy raz, gdy gwiazda koszykówki wywołała gniew chińskich władz i użytkowników mediów społecznościowych. W 2021 roku koszykarz tureckiego pochodzenia Enes Kanter, występując w Boston Celtics, w mediach społecznościowych umieścił wideo, w którym nazwał prezydenta Chin Xi Jinpinga „brutalnym dyktatorem". Oprócz tego podczas jednego z meczów Boston Celtics sportowiec wyszedł w butach, na których widniał napis „Wolny Tybet". Pekin zareagował natychmiast. Nazwisko koszykarza zostało zablokowane w chińskim serwisie społecznościowym Weibo. Chińska telewizja Tencent – posiadająca prawa do transmitowania meczów NBA – usunęła z ramówki spotkania Boston Celtics, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych Chin oskarżyło Kantera o próbę zwrócenia na siebie uwagi.

▶ Filipiny

„Filipiny dążą do zacieśnienia więzi bezpieczeństwa ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią, ale jednocześnie ostrożnie stawiają kroki w celu utrzymania produktywnych stosunków z Chinami, regionalną potęgą gospodarczą i militarną" – powiedział w rozmowie z japońską gazetą „Nikkei Asia" minister spraw zagranicznych tego kraju, Enrique Manalo.

Manila przeprowadziła niedawno największe w swojej historii ćwiczenia wojskowe z USA, a w lutym podpisała porozumienie z Tokio w sprawie uproszczenia procedur dla Sił Samoobrony Japonii (oficjalna nazwa japońskiej armii) w zakresie udzielania pomocy humanitarnej Filipinom, co zwiększa możliwości dalszego rozszerzania współpracy wojskowej.

Na początku maja prezydent Filipin Ferdinand Marcos Jr. i prezydent USA Joe Biden odbyli rozmowy w Waszyngtonie, gdzie potwierdzili trwałość sojuszu łączącego od dziesięcioleci oba kraje, a prezydent USA stwierdził, że zaangażowanie jego kraju w obronę Filipin, w tym na Morzu Południowochińskim, gdzie Manila jest pod ciągłą presją ze strony Chin, jest „niewzruszone". W oświadczeniu wydanym przez Biały Dom po spotkaniu prezydentów znalazły się ważne odniesienia dotyczące Tajwanu i Ukrainy. Biden i Marcos „potwierdzili znaczenie utrzymania pokoju i stabilności w Cieśninie Tajwańskiej jako nieodzownego elementu globalnego bezpieczeństwa i dobrobytu". Było ta jasna deklaracja, że bezpieczeństwo i stabilność Tajwanu to kwestia międzynarodowa. Prezydenci USA i Filipin wyrazili też poparcie dla suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy „w jej granicach uznanych przez społeczność międzynarodową".

W kwietniu br. władze Filipin ogłosiły lokalizację czterech dodatkowych baz wojskowych, do których będą miały dostęp siły USA. Trzy z nich leżą na wyspie Luzon niedaleko Tajwanu, a jedna – w prowincji Palawan blisko spornych obszarów Morza Południowochińskiego. Decyzja ta wywołała niezadowolenie w Pekinie.

W wywiadzie dla „Nikkei Asia" szef filipińskiego MSZ powiedział, że bazy będą wykorzystywane do „poprawy interoperacyjności między dwoma krajami", w kwestiach takich jak przechowywanie sprzętu i szkolenie sił, oraz „poprawy naszej zdolności do obrony i reagowania na nadzwyczajne wyzwania, takie jak katastrofy humanitarne". Manalo stwierdził, że jego kraj rozumie obawy Pekinu, „ale jednocześnie mamy własne problemy do rozwiązania, własne wyzwania i priorytety".

Według szefa MSZ Filipin, jego kraj, Japonia i USA pracują nad porozumieniem dotyczącym pogłębionej współpracy w dziedzinach takich jak działalność morska, bezpieczeństwo cybernetyczne i wymiana informacji. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Antoni Rybczyński

Potomkowie Mahdiego i wagnerowcy, czyli wojna domowa w Sudanie

Sudan to klucz do Afryki – zapewniał Omar Baszir, goszcząc na jesieni 2017 roku w Soczi i chcąc zachęcić Rosję do zaangażowania biznesowego, militarnego i bezpieczeństwa w kraju nad Nilem. Faktycznie, patrząc na mapę Czarnego Lądu, uwarunkowania geograficzne, infrastrukturalne i geopolityczne, nie ma się co dziwić, że Władimir Putin i jego ludzie nie zastanawiali się długo nad propozycją Baszira. Dziś, z perspektywy blisko sześciu lat, widać, jak bardzo obecność w Sudanie pomogła Rosji rozwijać wpływy w kolejnych krajach afrykańskich, od wschodu na zachód.

eprasa.pl a63b32ee02

Tak się też składa, że w tym samym okresie Sudan pogrążył się w kryzysie największym od czasów wojny domowej arabskiej Północy z animistyczno-chrześcijańskim Południem, zakończonej po wielu dekadach konfliktu przerywanego rozejmami, powstaniem drugiego państwa: Sudanu Południowego. Sudan, ten ze stolicą w Chartumie, zajmuje ważną geostrategicznie część kontynentu (z dostępem do Morza Czerwonego, granicząc z Rogiem Afryki, Afryką Środkową i Sahelem), kraj ten jest również bogaty w ropę naftową, złoto i inne minerały. Niestety dla Sudańczyków, jest to dla nich nie błogosławieństwo, a przekleństwo.

Baszir i dżandżawidzi

Obecna wojna dwóch nienawidzących się generałów to tak naprawdę następstwo długoletniego i krwawego panowania Omara Baszira. Zarówno gen. Abdel Fattah al-Burhan (szef junty, głównodowodzący sił zbrojnych), jak i gen. Mohammed Hamdan Dagalo „Generał Hemedti" (wiceszef junty, szef paramilitarnych Sił Szybkiego Wsparcia, RSF) to w pewnym sensie wychowankowie Baszira. To on ich awansował, to on w ostatniej fazie rządów się na nich oparł. A rządził Baszir od czerwca 1989 roku. Był wtedy generałem brygady. Wojskowy pucz obalił premiera Sadiqa al-Mahdiego. Na jesieni 1993 roku junta rozwiązała się, pełnię władzę przekazując Baszirowi, ogłoszonemu prezydentem Sudanu. Dyktator wprowadził szariat na terytorium całego państwa, zrywając kruche ustalenia zawarte wcześniej z Południem. Tak rozpoczęła się 22-letnia wojna domowa. Zginęły co najmniej 2 mln ludzi. Wreszcie Chartum musiał ustąpić. W 2005 roku zawarto pokój, zgodnie z którym Południe wyłączono spod szariatu i zagwarantowano 6 lat autonomii. Zaś w 2011 roku w referendum ponad 90 proc. mieszkańców Południa opowiedziało się za niepodległością.

To jednak nie był koniec wewnętrznych konfliktów. Wybuchły rebelie w Górach Nubijskich i prowincji Błękitny Nil. Ale najpoważniejsze wyzwanie dla Baszira pojawiło się na zachodzie kraju. W 2003 roku wybucha rebelia w Darfurze. Niearabskie plemiona podnoszą broń przeciwko rządowi w Chartumie, zarzucając mu dyskryminację rasową, marginalizację i wykluczenie. Regularne wojsko nie może sobie poradzić z buntownikami, więc Baszir sięga po sprawdzoną metodę: tworzy nieregularną milicję arabską, która pustoszy prowincję, paląc wioski i mordując cywilów. To słynni dżandżawidzi, noszący niechlubne miano „diabłów na koniach" (choć równie często korzystają z wielbłądów). Zresztą to właśnie oddziały dżandżawidów przekształcił później Baszir w zorganizowaną formację paramilitarną RSF, określaną często jako „druga armia" Sudanu. W ciągu pierwszych pięciu lat konfliktu w Darfurze ginie 300 tys. ludzi w wyniku walk, a także chorób i głodu. Około 2,5 mln osób zostaje przesiedlonych. Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze w 2009 i 2010 roku wydaje nakazy aresztowania prezydenta Baszira za zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości i ludobójstwo popełnione w Darfurze.

Pakt z diabłem

Rosji to bynajmniej nie przeszkadzało. Putin przyjmował ściganego przez MTK dyktatora w Soczi i Moskwie, a Rosjanie, nie zważając na wszelkie międzynarodowe sankcje, sprzedawali Sudanowi broń. W 2004 roku Chartum otrzymał 15 samolotów MiG-29 za ponad 200 mln dolarów. Kontrakt na dostawę 12 ciężkich śmigłowców Mi-24P i sześciu śmigłowców transportowych Mi-8MT zawarto w 2011 roku. W 2013 roku władze Sudanu zaproponowały Rosji 25 kontraktów na łączną sumę ponad 6 mld dolarów. Głównie chodziło o zakup broni. W 2016 roku podpisano umowy dotyczące dostaw śmigłowców – po dwanaście Mi24P i Mi-8MT. Zgodnie z umową z 2016 r. Rosja obiecała dostarczyć Sudanowi 170 czołgów T-72. Dostarczono transportery BTR-80 i BTR-80A. Chartum jest też zainteresowany kupnem systemów obrony powietrznej S-300, trałowców i łodzi rakietowych. Sudan popierał Rosję podczas głosowania w sprawie Krymu na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Ze swej strony Moskwa zawsze stawała po stronie Chartumu w kwestiach związanych z sytuacją w prowincji Darfur, uznając, że jest to wewnętrzna sprawa Sudanu.

Na jesieni 2017 roku w rezydencji Putina w Soczi sudański dyktator roztoczył wspaniałe perspektywy, jakie stoją przed Rosją, jeśli zdecyduje się ona wejść do Sudanu. Rozmawiano o budowie rosyjskiej bazy wojskowej nad Morzem Czarnym, ale też o biznesie. Omar Baszir podczas drugiej wizyty w Rosji, przy okazji finału mistrzostw świata w piłce nożnej w lipcu 2018 roku, rozmawiał z Putinem o rozwoju współpracy militarnej. W grudniu 2018 roku Baszir nieoczekiwanie odwiedził w Damaszku Baszara el-Asada. Było to przełamanie izolacji syryjskiego dyktatora w świecie arabskim – prezydent Sudanu był pierwszym od początku rewolucji w Syrii arabskim liderem, który spotkał się z syryjskim przywódcą. Baszir do Damaszku dostarczył rosyjski samolot wojskowy. Rosjanie dali dyktatorowi kolejny dowód, że może na nich liczyć. Baszir był ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny pod zarzutami ludobójstwa,

FOT. SSGOVUA

eprasa.pl a63b32ee02

zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości – związanymi z krwawym tłumieniem rewolty w Darfurze. Rosja była sygnatariuszem traktatu powołującego tzw. trybunał haski, ale nigdy nie ratyfikowała umowy. Zaś w listopadzie 2016 roku wycofała swój podpis. Nic dziwnego, że Moskwa ignorowała zakaz międzynarodowych podróży Baszira – był w Rosji dwa razy, a potem Rosjanie zorganizowali mu „wycieczkę" do Syrii.

„Górnicy" Wagnera

Baszir wzmocnił swoją antyamerykańską retorykę i wyraźnie zaprosił Moskwę do „zdecydowanego ataku" i „wykorzystania Sudanu jako klucza Rosji do Afryki". Podczas wspomnianej wizyty w Soczi Baszir spotkał się też z premierem Dmitrijem Miedwiediewem. Rozmowy doprowadziły do podpisania kilku umów, m.in. o ruchu bezwizowym dla posiadaczy paszportów dyplomatycznych. W ramach całego pakietu dokumentów podpisano też umowę koncesyjną na wydobycie złota między Ministerstwem Zasobów Mineralnych Republiki Sudanu a spółką M Invest. Jak się później okazało, to ona była najważniejsza. Dlaczego? M Invest należała do sieci spółek powiązanych z Jewgienijem Prigożynem, właścicielem Grupy Wagnera.

Już w grudniu 2017 roku w Chartumie z pokładu samolotu z Moskwy zeszła nie tylko pierwsza ekipa rosyjskich geologów, lecz także ich ochrona. Zaraz potem Omar Baszir publicznie pochwalił „wymianę specjalistów" z Rosją, którzy „przygotowują sudański personel wojskowy". Głównym zadaniem najemników z Grupy Wagnera miało być jednak zabezpieczenie działalności M Invest. W sierpniu i październiku 2018 roku spółka ta złożyła zamówienia w dwóch firmach analitycznych: jednej zapłaciła 14,6 mln rubli za „opracowanie strategii rozwoju dla Republiki Sudanu", a drugiej 9,4 mln za napisanie „programu reformy sektora bankowego i finansowego Sudanu". M Invest powołała do eksploatacji złóż złota w Sudanie spółkę Meroe Gold. Ta przystąpiła szybko do prac poszukiwawczych na złożach sudańskich. Warto przypomnieć, że w 2016 roku Sudan był trzecim największym producentem złota w Afryce, z wydobyciem ponad 90 ton rocznie. Po wejściu do Sudanu, przez kolejne 18 miesięcy, jak wynika z danych rosyjskiej służby celnej, Meroe Gold sprowadziła do Sudanu 131 transportów: sprzęt górniczy, budowlany, ciężarówki, amfibie i dwa transportowe helikoptery. Jeden z nich sfotografowano zresztą w 2021 roku w Republice Środkowoafrykańskiej. Gdy USA nałożyły na firmy Prigożyna sankcje, Rosjanie kontynuowali i kontynuują działalność w Sudanie pod przykrywką lokalnej firmy Al-Solag.

Wsparcie dyktatora

W Sudanie powtórzyła się, w pewnym stopniu, sytuacja z Syrii. Tam zdany na rosyjskie lotnictwo Asad przekazał firmie Prigożyna prawa do części zysków z ropy i gazu. W Sudanie wagnerowcy mieli zapewnić bezpieczeństwo Baszirowi w zamian za zyski ze złota. Umowa z dyktatorem była bowiem taka, że Rosjanie równolegle z ochroną biznesu Meroe Gold i M Invest będą szkolić sudańskie siły bezpieczeństwa. W styczniu 2018 źródło związane z sudańską bezpieką (National Intelligence and Security Services) potwierdziło dziennikarzom, że Grupa Wagnera ściśle współpracuje z NISS. W lutym 2018 roku Baszir oznajmił, że między Moskwą a Chartumem obowiązuje „program rozwoju zdolności bojowych Sudanu". Najemnicy rosyjscy szkolili też jednostki wojskowe rządu. Kontyngent wagnerowców liczył ponad stu ludzi. Pytanie, czy to byli ci sami ludzie, którzy mieli zadanie osłaniać działalność Meroe Gold? Zdjęcia satelitarne z 25 maja 2018 r. pokazały 20 ciężarówek Ural-4320 w pobliżu siedziby Meroe Gold w Chartumie. Grupa Wagnera sprowadziła też co najmniej dwa śmigłowce Mi8-T. Tak jak wcześniej w przypadku Syrii, do Sudanu najemnicy od pewnego momentu byli transportowani we współpracy z rosyjską armią. Samoloty 223. jednostki powietrznej Ministerstwa Obrony FR regularnie latały do Chartumu, ale też do Bengazi (Li-

Na jesieni 2017 roku w rezydencji Putina w Soczi sudański dyktator roztoczył wspaniałe perspektywy, jakie stoją przed Rosją, jeśli zdecyduje się ona wejść do Sudanu. Rozmawiano o budowie rosyjskiej bazy wojskowej nad Morzem Czarnym i o biznesie.

eprasa.pl a63b32ee02

bia) i Bangi (Republika Środkowoafrykańska). Wszystkie loty odbywały się z międzylądowaniem w syryjskiej bazie Chmejmim. 223. jednostka powietrzna zawarła bowiem kontrakt z firmą M Invest na przewóz najemników z Rosji do Syrii, Sudanu, Libii i Republiki Środkowoafrykańskiej. W grudniu 2018 r. jeden z samolotów poleciał z Moskwy, przez Syrię, do Chartumu, ale wrócił nie do Chmejmim, jak zwykle, ale poleciał do Damaszku. Okazało się, że ta rosyjska powietrzna taksówka posłużyła do przywiezienia na spotkanie z Asadem prezydenta Sudanu, Omara Baszira.

Miejscowa ludność niezbyt przyjaźnie przyjęła pracowników rosyjskiej firmy i ich ochronę. W marcu 2018 roku doszło do starcia: spłonęło rosyjskie obozowisko, pięciu Sudańczyków zostało rannych. Strzelał do nich rosyjski najemnik. Wiadomo, że od marca do lipca 2018 roku około 500 Rosjan stacjonowało w obozie szkoleniowym na granicy Sudanu z Republiką Środkowoafrykańską, około 15 km na południe od Um Dafuq i jedynego drogowego przejścia granicznego. Wagnerowcy uczyli miejscowych składania i rozkładania broni, działań z użyciem pojazdów, umiejętności paramedycznych. Rosjanie mieli tam spędzić pięć miesięcy szkoląc zarówno sudańskie oddziały rządowe, jak i muzułmańskich rebeliantów z działającej w Republice Środkowoafrykańskiej koalicji Seleka. „Duża liczba rosyjskich specjalistów pracuje w naszym kraju i dlatego wysoce oceniamy i dziękujemy Pańskiemu krajowi za rolę, jaką odgrywa w przygotowaniu sudańskiego personelu wojskowego" – mówił Baszir podczas wizyty w Moskwie z okazji finału piłkarskiego Mundialu. To był jego drugi i ostatni wyjazd do Rosji. Pięć miesięcy później w Sudanie wybuchły masowe protesty ludzi niezadowolonych z drastycznego wzrostu cen, braku żywności i paliwa. Demonstranci zaczęli też żądać dymisji Baszira, gdy na jaw wyszły plany dyktatora dotyczące zmian w konstytucji, co miałoby umożliwić mu utrzymanie władzy także po zakończeniu kadencji w 2020 roku.

▶ Wojsko bierze władzę

W grudniu 2018 roku tłumy wyszły na ulice miasta Atbara, protestując przeciwko rosnącym cenom chleba, powszechnej korupcji i bezrobociu. Protesty szybko rozprzestrzeniły się na inne części kraju, w końcu docierając do Chartumu. Służby bezpieczeństwa z NISS, szkolone i wspierane przez rosyjskich najemników z Grupy Wagnera, odpowiadały gazem łzawiącym i ostrą amunicją. Demonstracje były jednak coraz liczniejsze, sięgając setek tysięcy ludzi. Przed siedzibą armii w Chartumie powstało ogromne miasteczko namiotowe. Znienawidzony dyktator nie miał już szans wyprowadzić kraju z gospodarczej zapaści. Generałowie, którzy wcześniej bez szemrania wykonywali rozkazy Baszira i dopuszczali się zbrodni, choćby w Darfurze, uznali, że istnieje zagrożenie ulicznej rewolucji, która doprowadzi do upadku Baszira i przejęcia władzy przez cywilną opozycję. Postanowili uprzedzić bieg wypadków.

W kwietniu 2019 roku wojsko ze wsparciem RSF przejęło władzę, umieszczając dyktatora w areszcie domowym. Armia szybko umacniała kontrolę, zawieszając konstytucję i wprowadzając trzymiesięczny stan wyjątkowy. Ale protesty nie ustawały i pojawiły się wezwania do przekazania władzy władzom cywilnym. W czerwcu siły RSF zabiły co najmniej 128 demonstrantów w Chartumie. W sierpniu, po mediacji Unii Afrykańskiej i Etiopii, cywilni przywódcy i wojskowi zgodzili się podzielić władzą na okres przejściowy. Wybory zaplanowano na 2023 rok, powstał rząd z prozachodnim premierem Abdallą Hamdokiem na czele. Ta dwuwładza nie miała jednak szans przetrwać długo. Wojsku i RSF nie uśmiechała się perspektywa utraty wpływów politycznych, zbyt wielu oficerów ma na rękach krew choćby mieszkańców Darfuru oraz innych demonstrantów, by nie obawiać się rozliczeń po umocnieniu władz cywilnych. Do tego wciąż intrygowali islamistyczni zwolennicy obalonego Baszira, mający spore wpływy w armii (zresztą wojsko zablokowało wydanie dyktatora Hadze). Gdy w marcu 2020 roku doszło do (nieudanego) zamachu na premiera Hamdoka, napięcie między mundurowymi a cywilnymi politykami sięgnęło zenitu. Gwałtownie rosnąca inflacja przekraczająca 100 proc. oraz pandemia COVID-19 pogłębiały problemy gospodarcze.

▶ Dwuwładza, junta, protesty

Na jesieni 2021 roku doszło do przesilenia. Najpierw udaremniona została rzekoma próba zamachu stanu przez wojskowych związanych z Baszirem. Niewykluczone, że była to prowokacja generałów mająca uzasadnić planowane już działania. Oto część cywilnych partii powiązanych z armią wezwała wojskowych do przejęcia władzy i zaprowadzenia porządku w Sudanie. Jednak większość politycznych partii i związki zawodowe wezwały ludzi na ulice na znak poparcia dla rządu. Klamka już jednak zapadła. 25 października 2021 roku armia aresztowała cywilnych członków rządu. Wśród nich premiera Abdallę Hamdoka. Ogłoszony został stan wy-

eprasa.pl a63b32ee02

jątkowy. USA i Bank Światowy w odpowiedzi zawiesiły pomoc dla Sudanu. 11 listopada 2021 roku powstała nowa junta wojskowa z generałem al-Burhanem na czele i generałem Dagalo jako jego zastępcą. Unia Afrykańska zawiesiła Sudan w prawach członka. Masowe protesty przeciwko puczowi spowodowały jednak, że Hamdok został przywrócony na stanowisko premiera. Ale już 2 stycznia 2022 roku zrezygnował. Rozpoczęły się trudne negocjacje junty wojskowej z cywilną opozycją.

Wojskowi, RSF i większość cywilnych liderów Sudanu podpisali 5 grudnia 2022 roku wstępne porozumienie ws. przywrócenia cywilnych rządów w ciągu dwóch lat. Ale ulice wciąż były pełne demonstrantów. Wojskowi i cywilni przywódcy spotkali się na początku stycznia 2023 roku, by omówić kluczowe kwestie sporne. Zastępca szefa junty, dowódca RSF gen. Dagalo, grał już wtedy wyraźnie przeciwko gen. Burhanowi. Mówił, że pucz z 2021 roku był błędem, który ożywił pozostałości reżimu Baszira. Próbował się dogadać z częścią cywilnej opozycji. Z kolei gen. Burhan, także pod wpływem zwolenników Baszira, opóźniał jak mógł, zawarcie ostatecznego porozumienia z cywilami. Jego podpisanie planowano było dwukrotnie przełożone. 13 kwietnia armia ostrzegła, że Sudan znajduje się w „niebezpiecznym punkcie zwrotnym". Wojskowi obawiali się, że dogadanie się z cywilami RSF zdominują rządy w kraju. Dwa dni później Dagalo uderzył, niewykluczone, że uprzedzając atak rywala. Tak rozpoczęła się krwawa wojna domowa między dwoma obozami dysponującymi podobną siłą, co zapowiada długi konflikt.

W grudniu 2018 roku tłumy wyszły na ulice miasta Atbara, protestując przeciwko rosnącym cenom chleba, powszechnej korupcji i bezrobociu. Demonstracje dotarły do Chartumu. Służby bezpieczeństwa z NISS, szkolone i wspierane przez rosyjskich najemników z Grupy Wagnera, odpowiadały gazem łzawiącym i ostrą amunicją.

Wojna generałów

Grupa Wagnera dostarcza broń i amunicję paramilitarnym Szybkim Siłom Wsparcia (RSF). Pociski ziemia-powietrze znacznie wzmocniły RSF, narażone na ataki lotnictwa, które opowiedziało się po stronie Burhana. Na podstawie analiz satelitarnych CNN twierdzi, że dwa dni przed rozpętaniem wojny domowej przez Dagalo rosyjski samolot transportowy kursował między dwiema kluczowymi libijskimi bazami lotniczymi Haftara a lotniskiem RSF. Haftar od kilku lat korzysta z usług wagnerowców. Dagalo rozpętał bowiem wojnę nie tylko w obronie wpływów swej formacji, którą w przyszłości w ramach demokratycznych zmian miano wcielić do wojska. Drugi ważny powód to ochrona brudnych interesów z Rosjanami. Gen. Mohamed Hamdan Dagalo jest bowiem kluczowym partnerem Moskwy w przemycie złota. To on złożył wizytę w Moskwie w przeddzień rosyjskiej inwazji na Ukrainę. W styczniu 2023 roku Departament Skarbu USA nałożył sankcje na podmioty związane z Grupą Wagnera.

Generał Dagalo należy do wpływowej rodziny Hamdan z plemienia Rizigat w Darfurze, trzęsącej sudańskim handlem złotem. Wszedł w układ z wagnerowcami, którzy dostali koncesje na wydobycie złota w Sudanie. Tyle, że wywozili je nielegalnie z kraju. Dzięki osłonie RSF długo uchodziło im to na sucho. Zwłaszcza że gen. Burhan dogadał się z Moskwą ws. budowy rosyjskiej bazy wojskowej w Port Sudan. Tyle że po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Zachód zaczął mocno naciskać na juntę sudańską, by przerwała proces bogacenia się Moskwy na złocie znad Nilu. Generał Burhan podobno zyskał obietnicę, że jeśli wyrzuci Rosjan z kraju, będzie miał decydujący głos w dogadaniu się z cywilami o oddaniu władzy. W lutym br. władze zaczęły przesłuchiwać ludzi związanych z rosyjskim złotym biznesem. To był też sygnał dla Dagalo, że być może bezpośrednie starcie z Burhanem staje się nieuniknione. Zaatakował, gdy uzyskał gwarancję pomocy rosyjskiej. Należy pamiętać, że Moskwa walczy o zachowanie wpływów w Sudanie także dlatego, że kraj ten jest ważnym ogniwem na trasie przerzutu do Rosji złota i diamentów z sąsiedniej Republiki Środkowoafrykańskiej. Drogocenne minerały wydobywane przez firmę Lobaye Invest (siostrzaną dla wcześniej wspomnianej Meroe Gold) trafiały przez „zieloną granicę" do Sudanu, następnie statkami do Syrii, a stamtąd do Rosji. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Tomasz Sakiewicz

Spełniona przepowiednia Friedmana

Chodzi oczywiście o George'a Friedmana (nie mylić z ekonomistą Miltonem), amerykańskiego politologa żydowskiego pochodzenia, urodzonego w Budapeszcie, który założył ośrodek analityczny Stratfor, nazywany prywatnym CIA. W 2009 roku przeczytałem jego książkę „Następne 100 lat", w której wróżył wzrost mocarstwowych zapędów Rosji i w rezultacie jej starcie z Zachodem. Moskwa miała to stracie przegrać, a Polska, we współpracy z USA, odegrać w nim kluczową rolę. Pomyślałem sobie, że chyba w polskiej wersji ktoś Friedmanowi dorzucił kilka miło brzmiących dla nas rozdziałów. Jednak to, co pisał, miało sens.

Środowisko „Gazety Polskiej" oraz politycy dzisiejszego obozu władzy ostrzegali przed rosnącym zagrożeniem ze strony Rosji i domagali się silnych związków ze Stanami Zjednoczonymi. Rosja była już po krwawej masakrze w Czeczenii i napadzie na Gruzję. Rok później Rosjanie zabili polskiego prezydenta w Smoleńsku, co potwierdzało rosnącą agresję Moskwy wobec Zachodu, szczególnie tej części, która nie chciała widzieć w Putinie partnera.

Friedman pisał, że USA nigdy nie wycofają się z Europy, a próby Niemiec wyparcia Waszyngtonu z tej części świata skończą się zmniejszeniem znaczenia Berlina w globalnej rozgrywce. Według Friedmana, Stany Zjednoczone będą musiały postawić na Polskę. Nasze położenie, potencjał i tradycja historyczna pozwolą Amerykanom na budowę trwałej strefy ich wpływów w Europie w oparciu o Warszawę.

Wojna na Ukrainie jest absolutnym spełnieniem przewidywań Friedmana. Rosja udowodniła całemu światu, że jest niebezpiecznym imperialnym agresorem, Niemcy – delikatnie mówiąc – okazały się słabym partnerem zarówno dla USA, jak i Ukrainy, a Polska odgrywa w tej wojnie kluczową rolę. Friedman pisał też, że za zaangażowaniem politycznym USA pójdzie zaangażowanie gospodarcze. Powoli zaczyna to być widać. Polska należy do najszybciej rozwijających się krajów w Europie. Rzeczywiste wyniki generalnie wyprzedzają prognozy. Większość przewidywań ekonomistów uwzględnia zastałą sytuację, ale słabo adaptuje wiedzę co do zdarzeń geopolitycznych, szczególnie przy tak dużej dynamice zdarzeń jak w tej części świata. W ubiegłym roku konsumpcja w Polsce była napędzana napływem milionów Ukraińców, co spowodowało, że przy światowym kryzysie mieliśmy 5-proc. wzrost gospodarczy. W tym roku Ukraińców jest trochę mniej, więc konsumpcja oczywiście spadła, ale za to rozpędza się produkcja. Sam fakt tworzenia zaplecza militarno-logistycznego dla Ukrainy rozgrzewa różne dziedziny gospodarki. To dopiero początek wielkich inwestycji w nasz region. Polskę rzeczywiście może czekać złoty okres. Może, ale nie musi. Mamy to szanse idealnie zepsuć, jeżeli nie będziemy pilnować naszego życia publicznego. W minimalnej wersji pilnować naszych spraw powinniśmy w czasie wyborów.

Polskę rzeczywiście może czekać złoty okres. Może, ale nie musi. Mamy to szanse idealnie zepsuć, jeżeli nie będziemy pilnować naszego życia publicznego. W minimalnej wersji pilnować naszych spraw powinniśmy w czasie wyborów.

Friedman napisał, że USA są na tyle wielkie, że stać je na duże błędy. Polska jeszcze na pewno nie może sobie na to pozwolić. Ale nawet politycy amerykańscy powinni wiedzieć, że zmiana opcji politycznej w Warszawie popsuje im na dłużej ich plany co do Europy. Czy to wiedzą? Przekonamy się, obserwując zachowania mediów z amerykańskim kapitałem. ■

eprasa.pl a63b32ee02

Disney+ na start przez rok w prezencie z TV w Polsat Box

Opłata miesięczna za pakiet TV z Disney+ w pierwszym roku od 30 zł, w drugim roku od 58,99 zł, następnie od 68,99 zł.

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i internetowej przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z minimalnym zobowiązaniem od pakietu S lub Wygodnego łącznie z dostępem do serwisu Disney+. Aplikacja Disney+ dostępna na dekoderach polsat box | 4K i polsat box | 4K lite. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 1.06.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane

eprasa.pl a63b32ee02